

LIBERTÉ!

GŁOS WOLNY, WOLNOŚĆ UBEZPIECZAJĄCY

NUMER II

BERNARD KOUCHNER

BRONISŁAW GEREMEK — POLSKI DEMOKRATA,
EUROPEJSKI MĄŻ STANU

ADAM MICHNIK

MINISTER SPRAW ZAGRANICZNYCH
DEMOKRATYCZNEJ POLSKI

JERZY STĘPIEŃ

POLACY NIE ROZUMIEJĄ PRAWA

ISSN 2080-4326

projekt: **polska**



Redaktor Naczelny
Leszek Jażdżewski

Zespół Liberté!

Piotr Beniuszys, Alicja Błaszowska, Michał Ciechan, Sławomir Drelich, Joanna Elmann, Maria Filipiek, Daria Hejwos, Witold Jarzyński, Maciej Jędraszek, Małgorzata Jastrzębska, Michał Kałużyński, Michał Kolanko, Łukasz Kowalski, Dominik Krakowiak, Adrian Kret, Tomasz Krzyżanowski, Włodzisław Kuzitowicz, Igor Lyubashenko, Kamila Łepkowska, Malwina Nowak, Ewa Pęcherska, Yana Prystupa, Monika Rosa, Mariusz Samulak, Anna Strożek, Adam Szłapka, Aneta Wawrzyńczak, Katarzyna Wolanin, Wojciech Zasadowski, Michał Żakowski, Anna Żamejć

Redakcja i korekta wersji drukowanej
Alicja Błaszowska, Anna Strożek

Korekta liberte.pl
Alicja Błaszowska, Marta Niedziałkowska, Anna Strożek

Rada patronacka
Henryka Bochniarz, Witold Gadomski, Szymon Gutkowski, Jan Hartman, Ireneusz Krzemiński, Janusz Lewandowski, Andrzej Olechowski, Zbigniew Pełczyński, Wojciech Sadurski, Marek Safjan, Tadeusz Syryjczyk, Jerzy Szacki, Adam Szostkiewicz, Paweł Śpiewak, Jan Winięcki

Wydawca
 **Fundacja Industrial**

Fundacja Industrial (al. Kościuszki 1G, 90-418 Łódź)
Błażej Lenkowski — Prezes Zarządu
Leszek Jażdżewski — Wiceprezes Zarządu
Kamil Janiszewski — Sekretarz Zarządu
Filip Miłoszewski — Członek Zarządu
Rafał Szkudlarek — Członek Zarządu

Projekt i skład
 **QUALITY PIXELS**
Quality Pixels — Adam Plesiak, Łukasz Domiza

Projekt graficzny okładki
Filip Frydel

Strona www.liberte.pl oraz www.liberteworld.com
Kamil Janiszewski, Filip Miłoszewski, Rafał Szkudlarek

Koordynator projektu LiberteWorld.com
Tomasz Krzyżanowski

Tłumaczenia
Alicja Błaszowska, Jadwiga Bogucka, Julia Jasińska, Magdalena Jermacz, Dominik Krakowiak, Marta Kurek, Kamila Łepkowska, Ewa Pęcherska, Katarzyna Wocław

Druk
Wydawnictwo PAPIRUS
37-500 Jarosław, ul. Spytka 11

Specjalne podziękowania za pomoc przy tworzeniu II numeru Liberté! składamy na ręce: Jolanty Kurskiej, Jarosława Kurskiego, Marcina Frybesa, Szymona Gutkowskiego, Wojciecha Unolta, Łukasza Kowalskiego oraz Ambasady Francji w Polsce.

Zrealizowane ze środków Ministerstwa Kultury i Dziedzictwa Narodowego

projekt: **polska**

Henryk Panusz

Friedrich Naumann
STIFTUNG **FÜR DIE FREIHEIT**

BIOFARM

razem
89'09"

Lewiatan

PROFESOR BRONISŁAW GEREMEK
CENTRUM HISTORII I KULTURY

LIBERTÉ!

OD REDAKTORA NACZELNEGO

Ale nam się wydarzyło

Kiedy na początku roku oddawaliśmy Państwu do rąk I numer „Liberté!”, nie wiedzieliśmy jeszcze, czy będzie miał następców, czy też było to wydarzenie jednorazowe. Z dumą możemy powiedzieć — udało się. Oto II numer „Liberté!” w druku.



Przez ten czas wiele się wydarzyło. Kiedy czytacie Państwo te słowa, w Internecie na www.liberte.pl znajduje się już dziewiąta edycja pisma i wiele bieżących komentarzy, wystartowaliśmy też z angielską wersją „Liberté!” na www.liberteworld.com. W tym roku ukażą się także jeszcze dwa numery pisma drukiem, które znajdą Państwo jesienią w Empikach. „Liberté!” rozwija się i profesjonalizuje, co mam nadzieję będzie widoczne już w tym numerze.

Postanowiliśmy go poświęcić w znacznej części na próbę bilansu minionego 20-lecia z liberalnego punktu widzenia. Żle się dzieje, kiedy w odpowiedzi na frustracje tych, dla których III RP jest Rywinlandem, odpowiadamy bezkrytyczną hagiografią. Jesteśmy dumni z ostatnich 20 lat, ale stać nas na krytyczne spojrzenie, także wobec środowiska liberalnej, proeuropejskiej inteligencji, z którym się utożsamiamy.

Postacią-symbolem dla tej grupy jest prof. Bronisław Geremek, którego tragiczna śmierć rok temu pogrążyła nas w żałobie. Wielu z nas sprawami publicznymi zajęło się właśnie ze względu na niego — autorytet największego formatu. Europejczyka, który bez kompleksów głosił polskie, środkowoeuropejskie przesłanie w Europie. Polaka, który myślał w kategoriach europejskiej racji stanu i miał odwagę wytykać rodakom ich małość. Bronisław Geremek, dla nas Profesor, był wybitnym politykiem, tak często niedocenianym nad Wisłą. W tym numerze podejmujemy próbę przedstawienia i zinterpretowania jego programu politycznego, którego spadkobiercami się czujemy.

Pomnik, jakiego zapewne by sobie życzył Bronisław Geremek, to pojętni uczniowie, którzy będą nieść dalej jego myśl o otwartej Polsce w silnej Europie. Europie żyjącej w harmonii i pokoju, którymi historia w jej dziejach szafowała tak oszczędnie.

Zapraszam serdecznie do lektury
Leszek Jażdżewski, redaktor naczelny „Liberté!”

Prenumerata

Jeszcze w tym roku zapraszamy Państwa do lektury III i IV numeru „Liberté!”
Oba numery dostępne będą w sprzedaży w dobrych punktach prasowych. Zapraszamy także do prenumeraty, dwa numery w promocyjnej cenie: 30 zł. Osoby zainteresowane prosimy o kontakt na adres e-mail: fundacja@findustrial.pl

Reklama

Podmioty zainteresowane reklamą w III i IV numerze „Liberté!”, a także na stronie www.liberte.pl prosimy o kontakt na adres e-mail: fundacja@findustrial.pl

KRAJ

4

Szymon Gutkowski	Od wielkiej transformacji do małych zmian	4
Błażej Lenkowski	Kilka idei Księcia	11

IDEE

16

Piotr Beniuszys	Konfliktogenna? Krótkowzroczna? Jałowa?	16
Sławomir Drelich	Kultura „wykpiwaczy” i „uchylców”	20

GOSPODARKA

24

Jan Winiecki	Potęga rynku — Gospodarczy bilans transformacji w Polsce — wywiad Kamili Łepkowskiej	24
Marek Góra	Wymiana systemu emerytalnego. Wielka rewolucja ostatnich 20 lat — wywiad Błażeja Lenkowskiego	30
Małgorzata Starczewska-Krząszczoszek	Polska przedsiębiorczość — poszukiwanie ścieżek rozwoju	38
Witold Gadomski	Splata długu po II RP	46

SPOŁECZEŃSTWO

52

Paweł Ciacek Szymon Gutkowski Marcin Meller Agata Passent Stanisław Trzciński	Pokolenie '89 — debata	52
Adam Szłapka	Razem '89 — krótka historia świętowania	62
Łukasz Klejnowski Jean Paul Oury Aleksander Plahr Milan Lorinc	Nowe pokolenie wspólnej Europy — debata młodych Europejczyków	66

PRAWO

72

Jerzy Stępień	Polacy nie rozumieją prawa — wywiad Tomasza Krzyżanowskiego	72
---------------	---	----

GEREMEK

78

POLITYK

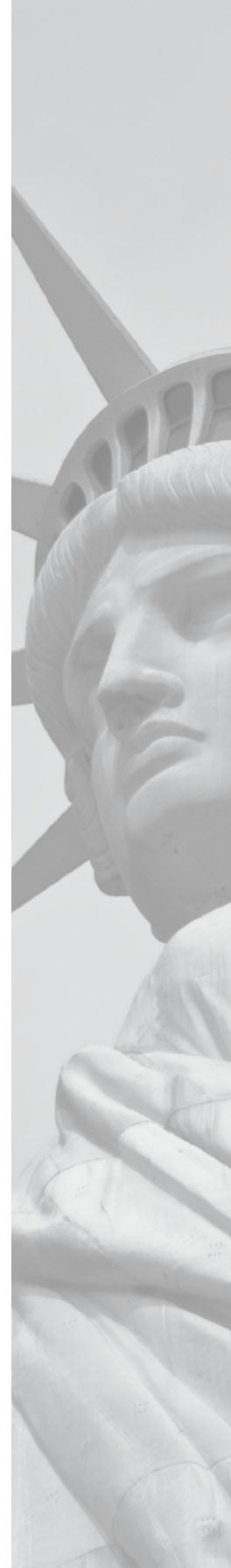
Bronisław Geremek	Dwa narody. Nie ma sprawiedliwości bez wolności. Ze wstępem Marka Goldfingera	78
Jan Skórzyński	Bronisław Geremek i Solidarność. Realizm wartości	85
Hanna Suchocka	Consensus facit legem — Bronisława Geremka szkoła prawa	94
Patryk Pleskot	Twardy orzech do zgryzienia. Solidarnościowa dyplomacja Bronisława Geremka w ocenach dyplomatów PRL	96
Andrzej Wielowieyski	Pożegnanie Profesora	100

EUROPEJCZYK

Adam Michnik	Minister spraw zagranicznych demokratycznej Polski	105
Bernard Kouchner	Bronisław Geremek — polski demokrat, europejski mąż stanu	108
Paolo Morawski	Genius loci Polski	111

CZŁOWIEK

Jolanta Kurska	Centrum im. Prof. Bronisława Geremka. O Fundacji i jej celach — wywiad Mariusza Samulaka	116
Marcin Gasiuk	Profesor — rozmowa z Dominikiem Krakowiakiem	118
Marcin Geremek	Iść do przodu — wywiad Marii Filipek	124





OD WIELKIEJ TRANSFORMACJI DO MAŁYCH ZMIAN

Szymon Gutkowski

20 lat temu wielkie historyczne wydarzenie w Europie Środkowo-Wschodniej zainspirowało setki, a nawet tysiące ludzi do działania. Wielu młodych zaczęło zakładać własne firmy, zostało prawnikami, konsultantami, dziennikarzami czy specjalistami PR. Większości tych profesji właściwie w krajach komunistycznych nie było. Przez 20 lat ci młodzi ludzie rozwinęli się zawodowo i zebrali

cenne doświadczenie. W 20. rocznicę warto spojrzeć w przeszłość, by lepiej zrozumieć nasze dzisiejsze położenie, a następnie w przyszłość, aby uświadomić sobie wyzwania, przed jakimi stoimy.

1989-2009

Jestem jednym z tych młodych Polaków, którzy rozpoczęli swoje dorosłe życie w 1989 roku. Miałem wtedy 19 lat. Od tamtego czasu moje życie i życie moich rówieśników nabrało prędkości tak jak pociąg. Ze stacji ruszyliśmy w '89 i ciągle jedziemy tak szybko, jak to tylko możliwe. Choć żaden z „nowych” krajów europejskich nie ma jeszcze pociągów TGV, to my odgrywamy ich rolę w Europie Środkowo-Wschodniej. Minęło 20 lat, lecz patrząc wstecz, czasami ma się wrażenie, że upłynął zaledwie rok, może dwa. W 1989 nie musieliśmy zadawać sobie zbyt wielu pytań, ponieważ większość odpo-

Nietolerancja i ksenofobia są wciąż głęboko zakorzenione w społeczeństwie. Kościół katolicki silnie angażuje się w politykę, a religii zamiast w kościele dzieci uczą się w szkole.

wiedzi była oczywista. W ówczesnej Polsce, Czechosłowacji, na Węgrzech, we wschodnich Niemczech, Rumunii czy Bułgarii pieniądze leżały na ulicy. Wystarczył talent i bez doświadczenia zaczynało się własny biznes i karierę. To nie był czas na myślenie, ale na działanie. Wszyscy wykorzystywaliśmy naszą wolność: ekonomiczną, społeczną, wolność słowa i ekspresji. Kiedy się rozejrzymy i zadamy sobie pytanie o to, co należy zrobić przez 20 następnych lat, odpowiedzi są bardziej skomplikowane. Czas prostych rozwiązań dla naszej części Europy minął.

Jednym słowem, Polska odniosła wielki sukces. Ostatnie 20 lat to jeden z najlepszych okresów w historii Polski, choć nie w oczach każdego Polaka, ponieważ nie wszyscy skorzystali na transformacji w równym stopniu.

Dobrze jest pamiętać, ile udało nam się osiągnąć do tej pory. Większość krajów bloku wschodniego jest w Unii, co można uznać za historyczny sukces. Gospodarka Polski zajmuje już 6. miejsce w UE. Mamy wolny rynek, stabilną walutę i dynamiczną giełdę papierów wartościowych. Wskaźnik PKB rośnie w 2009, czyli w roku globalnego kryzysu. Żyjemy w państwie demokratycznym z silnym i sprawnym samorządem lokalnym. Należymy do NATO i mamy dobre relacje ze wszystkimi państwami sąsiadującymi, z wyjątkiem Białorusi. Młodzi Polacy mają możliwość pracy i uczenia się w większości krajów europejskich. Kobiety zaczynają odgrywać coraz większą rolę w biznesie i w polityce, a społeczności homoseksualne

wyszły z cienia. Jednym słowem, Polska odniosła wielki sukces. Ostatnie 20 lat to jeden z najlepszych okresów w historii Polski, choć nie w oczach każdego Polaka, ponieważ nie wszyscy skorzystali na transformacji w równym stopniu. Chociaż biorąc pod uwagę sytuację Polski sprzed dwóch dekad, zmiana robi wrażenie. W 1988 miałem 18 lat, więc dobrze ten czas pamiętam. Nie było wolności słowa, choć sytuacja poprawiła się w połowie lat 80. Ciągłe jednak za publiczne wyrażanie własnej opinii można było trafić do więzienia. Wtedy Zachód był dla nas krainą marzeń. Polska była szara, Zachód – kolorowy. Kolorowe opakowania produktów przysyłanych przez nasze rodziny z zagranicy, ładne domy, dobre samochody, świetne wakacje i przyzwoite warunki pracy. Wszyscy wiedzieliśmy,

Jednym słowem, Polska odniosła wielki sukces. Ostatnie 20 lat to jeden z najlepszych okresów w historii Polski, choć nie w oczach każdego Polaka, ponieważ nie wszyscy skorzystali na transformacji w równym stopniu.

że w Niemczech każdy robotnik ma samochód. Dziś również u nas większość robotników może sobie pozwolić na niemieckie auto, używane, ale jednak wciąż porządne. Ludziom w moim wieku z Europy Zachodniej trudno sobie wyobrazić skalę tych zmian – wybuchu pozytywnych emocji i energii. Przecież w latach 90. pracowaliśmy na okrągło, nie jeździliśmy na wakacje, prawie nie spaliśmy. To była długa i niełatwa droga, ale większości z nas przyniosła wiele korzyści.

Wolność i odpowiedzialność

Przez ten czas zrozumieliśmy, że wraz z wolnością zwiększa się znaczenie odpowiedzialności. W ustroju komunistycznym większość decyzji ktoś podejmował za nas. W demokracji – wręcz przeciwnie – ty sam musisz decydować. Na przykład: na kogo głosujesz? Albo: jak pomożesz ulepszyć szkołę swoich dzieci? Co możesz zrobić, żeby ci, którym się nie powiodło, też otrzymali szansę? W komunistycznej gospodarce każda firma była częścią utopijnego centralnego planowania. To już przeszłość. Jeśli masz wybór, jesteś odpowiedzialny za rezultaty. Jeśli głosujesz, odpowiadasz za tych, których wybrałeś. Jeśli nie robisz tego, co do nich należy, musisz zareagować. Jeśli natomiast nie głosujesz, jesteś odpowiedzialny za niedokonanie wyboru. Odpowiedzialność za nasze wspólne dobro to dla nas nowe doświadczenie. Jak więc będziemy głosować w nadchodzących wyborach? Co jest kluczowe dla rozwoju Polski i Europy Środkowo-Wschodniej? Czy powinniśmy „wykorzystać” Unię Europejską, troszcząc się tylko o to, jak dużo funduszy uda nam się pozyskać? A może powinniśmy wziąć na siebie część odpowiedzialności za jej przyszłość? Unia jest

graczem na skalę światową, więc może warto przyjąć część odpowiedzialności za działania, które podejmuje globalnie? Wszystko to są pytania retoryczne, jednak nowe dla krajów Europy Środkowo-Wschodniej. Na kogo zagłosujemy? Jaki program warto wybrać na następne 20 lat?

Nietolerancja i ksenofobia są wciąż głęboko zakorzenione w społeczeństwie. Kościół katolicki silnie angażuje się w politykę, a religii zamiast w kościele dzieci uczą się w szkole.

Wciąż mamy przerośniętą biurokrację, skomplikowane prawo podatkowe i prawo pracy. Wiele firm jeszcze nie sprywatyzowano. Nie wyznaczyliśmy realnej daty wstąpienia do strefy euro. Nasze społeczeństwo obywatelskie jest słabe. Nie ufamy sobie nawzajem. Polska zajmuje ostatnie miejsce w Europie, jeśli chodzi o indeks zaufania. A przecież to ono tworzy kapitał społeczny, a ten z kolei decyduje o sile społeczeństwa obywatelskiego. Polacy rzadko są członkami organizacji pozarządowych, stowarzyszeń czy fundacji. W tej dziedzinie także zajmujemy bardzo dalekie miejsce w rankingu krajów Unii. Nietolerancja i ksenofobia są wciąż głęboko zakorzenione w społeczeństwie. Kościół katolicki silnie angażuje się w politykę, a religii zamiast w kościele dzieci uczą się w szkole. Podejrzani przez miesiące są trzymani w areszcie bez procesu. Warunki w więzieniach są w większości przypadków fatalne. Nie mamy autostrad, a nieliczne powstające nie zapewniają szybkiego dojazdu do stolicy. To tylko niektóre problemy, z którymi się borykamy. Kto zatem weźmie odpowiedzialność za zmianę? Kto sprawi, że polska gospodarka będzie bardziej efektywna, a polska kultura bardziej otwarta?

Naturalnie to partie polityczne powinny się tym zająć. Niestety zamiast tworzyć realne plany reform, doskonałą umiejętności PR. Koncentrują się na tym, aby dojść do władzy i tę władzę utrzymać, a nie na tym, by ją dobrze wykorzystać. Z tych powodów stworzyliśmy Projekt:Polska. Staramy się wskazywać, co powinno zostać zmienione. Patrzymy w przyszłość.

Liberalizm następnych 20 lat

Chcemy, aby za następnych 20 lat Polska stała się bardziej liberalnym krajem z większą wolnością w gospodarce i bardziej otwartym społeczeństwem. Jednak rzadko używamy słowa „liberalizm”. W Polsce nie mamy wystarczająco długiej tradycji liberalizmu. Mamy tradycję lewicową, ludową, narodowo-chrześcijańską, niestety również nacjonalistyczną, ale nie liberalną.

W naszej historii brakuje silnych ruchów liberalnych. Ponadto dziś każde słowo kończące się na „-izm”, jak liberalizm, przywołuje komunizm. Każdą „-izm” brzmi z zasady politycznie



lub ideologicznie. Po 50 latach komunizmu i rządów PZPR Polacy mają alergię na wszelkie „-izmy”. Czy to znaczy, że promowanie wartości liberalnych w Polsce jest trudne, a nawet niemożliwe? Nie. Trzeba tylko znaleźć właściwe słowa, które będą niosły ze sobą takie znaczenie, jakie chcemy. Tym słowem może być wolność. Nasza historia ostatnich 200 lat to historia walki o wolność. Walki o to, byśmy po prostu mogli być Polakami, o wolność słowa, możliwość działania i organizowania się. „Solidarność” również powstała m.in. po to, by dać ludziom wolność. W języku polskim słowa „wolność” i „liberalizm” nie pochodzą od jednego rdzenia jak w angielskim (ang. liberty – wolność). Jeśli zadamy przechodniom na ulicy proste pytanie: „Czy mamy wolność w Polsce?” – każdy na pewno odpowie: „Tak, oczywiście, że mamy wolność”. Jednak pytając: „Co to jest wolność?”, otrzymalibyśmy ciekawszą odpowiedź. Wielu ludzi musiałoby się długo zastanowić przed jej udzieleniem. To jest właśnie dobry punkt wyjścia – głębsze i powszechne rozumienie znaczenia wolności. Ile jeszcze potrzebujemy wolności w gospodarce i dla siebie samych? A jeśli oczekujemy wolności dla siebie, to musimy zagwarantować ją też innym. Musimy zrozumieć, że wolność oznacza także wolność dla wszelkich mniejszości. Społeczne rozumienie prostego faktu, że chcąc wolności dla siebie samych, musimy zapewnić ją innym, jest kluczowe. Nie ma pełnej wolności, jeśli np. kobiety mają tylko równe szanse, a nie możliwości. Nie ma jej, jeśli lekcja jednej religii w szkole ma taki sam status jak lekcja matematyki, bo to kwestionuje wolny wybór w sprawach religii. Musimy stworzyć kulturę dialogu. Musimy otwarcie dyskutować o ważnych i drażliwych kwestiach. Mam prawo wyrażać własne poglądy, ale muszę także zaakceptować prawo istnienia i wyrażania innych poglądów: w moim mieszkaniu, na mojej ulicy, w bloku, gdzie mieszkam, i w szkole, do której chodzą moje dzieci. Budowa społecznej kultury dialogu może dziać się oddolnie, bez udziału polityków. To jest to, w co wszyscy możemy się zaangażować.

Z tych powodów społeczność liberalne w Polsce powinny znaleźć platformę porozumienia również z Kościołem Katolickim, którego pozycja nadal pozostanie silna. W tej kwestii różnimy się od pozostałych krajów Europy. Nawet jeśli uda nam się usunąć religię ze szkół, Kościół może pozostać siłą polityczną, czego nie można akceptować. Z dru-

giej strony Kościół odgrywa dużą rolę społeczną w małych miastach i na wsi. W parafii ludzie uczą się, jak ważna jest współpraca i troska o innych: starych, samotnych, ciężko chorych, biednych, bezrobotnych... Wielu księży dobrze rozumie, że polityczne zaangażowanie niszczy wiarygodność Kościoła. Warto pamiętać, że większość wartości liberalnych to równocześnie wartości chrześcijańskie. Znalezienie sposobu wykorzystania tego podobieństwa doprowadziłoby do szybszych zmian społecznych w Polsce i być może wzmocniłoby, obecnie słaby, nurt reformatorski w Kościele.

Sami możemy wiele zdziałać, ale są rzeczy, na które musimy zwrócić uwagę rządów. Edukacja to klucz do naszej przyszłości. Reforma edukacji nie wydarzy się bez determinacji rządzących. Potrzebujemy np. nowego systemu kształcenia nauczycieli. Kompetentnych w swojej dziedzinie, ale także otwartych i tolerancyjnych, zdolnych przekazać dzieciom ducha współpracy, zarażać pasją i zachęcać do kreatywnego myślenia. Dzisiaj to edukacja decyduje o tym, gdzie będziemy jutro. To proste, ale wielu ludzi w Polsce tego nie rozumie. Rzecz, którą trzeba ciągle i konsekwentnie ulepszać, jest właśnie edukacja. Musimy także zwrócić uwagę naszego rządu na innowację i technologię, na ideę społeczeństwa informacyjnego. Nie wszystko mogą zrobić prywatne przedsiębiorstwa. Niezbędne jest równoległe opracowanie legislacji i infrastruktury. Innowacja i technologia idą ręką w rękę z edukacją.

Myśląc o nadchodzących 20 latach, należy pamiętać, że jesteśmy częścią Unii Europejskiej. Musimy się upewnić, że jest mocna. Potrzebujemy silnej Europy nie tylko po to, żeby mogła skutecznie rywalizować w globalnej konkurencji, ale by mogła aktywnie tworzyć światową równowagę. Unia Europejska powinna być bardziej aktywna w rozwiązywaniu globalnych problemów. Zmiana klimatu, bieda i brak wody w Afryce, relacje z islamem i państwami islamskimi to najbardziej oczywiste przykłady. Potrzebujemy silnej i skutecznie działającej Europy, która byłaby symbolem otwartej demokracji, udowadniając, że ludzie pochodzący z różnych kultur i krajów o innej historii, mówiący różnymi językami mogą żyć w pokoju i wspólnie się rozwijać. Większość państw społeczeństw UE nie docenia niestety konieczności istnienia silnej Europy, a obecny kryzys nie pomaga w zmianie tego

podejścia. To dlatego kraje takie jak Polska, gdzie jest wciąż żywa pamięć o komunizmie, powinny być orędownikami silnej, wolnej Europy. Z tej historycznej perspektywy zmiana, która dokonała się 20 lat temu w Europie Środkowo-Wschodniej, była zmianą liberalną. Gospodarkę planowaną centralnie zastąpił wolny rynek, a cenzurę i kontrolę życia społecznego – wolność i demokracja. Nie każdy jednak postrzega demokrację i wolny rynek jako dobro. Naturalnie demokracja przynosi ze sobą nierozwiązane kwestie i problemy. Wykorzystując to populistyczne i radykalne partie.

Myśląc o następnych 20 latach, musimy znaleźć liberalne, racjonalne rozwiązania problemów, które przynosi ze sobą demokracja. Liberalowie muszą podjąć decyzję, czy chcą wziąć odpowiedzialność za dalsze reformy, czy wolą pozostać obok głównego nurtu życia politycznego, jedynie doradzając i przedstawiając swój punkt widzenia.

Antydemokratyczne slogany skrajnej lewicy albo prawicy często odnoszą się do wyprzedawania majątku narodowego zagranicznym przedsiębiorcom. Bezrobocie to kolejna pożywka dla populistów. Przedstawia się ludzi zamożnych jako odpowiedzialnych za biedę. Myśląc o następnych 20 latach, musimy znaleźć liberalne, racjonalne rozwiązania problemów, które przynosi ze sobą demokracja. Liberalowie muszą podjąć decyzję, czy chcą wziąć odpowiedzialność za dalsze reformy, czy wolą pozostać obok głównego nurtu życia politycznego, jedynie doradzając i przedstawiając swój punkt widzenia. Jeśli oddamy pole socjalistom, będą oni chcieli regulować gospodarkę, powierzając więcej władzy państwu. Politycy prawicy będą chcieli rozbudować narzędzia kontroli nad sferą prywatną obywateli. Dlatego warto, aby liberalowie mieli wpływ na rząd i wykorzystali go do zwiększania wolności w gospodarce i społeczeństwie. Jeśli mamy bronić tych wartości, nie powinniśmy bać się rozmawiać o wadach demokracji. W krajach z nową demokracją, wprowadzoną po 50 latach komunizmu, wyborcy nie są w pełni świadomi mechanizmów wolnego rynku i wolnego społeczeństwa. Musimy pokazać, że zwiększenie władzy państwa przyniesie jeszcze więcej problemów. Najlepszym rozwiązaniem jest mądre prawo. Światła drogowe to dobry przykład. Nie ograniczają wolności, ale chronią wolność każdego z nas do przemieszczania się

w różnych kierunkach. Gdybyśmy ich nie mieli, byłoby więcej wypadków. Oczywiście powodują czasami na drogach korki. Ale co jest lepsze: korki czy wypadki? Każdy kierowca dobrze wie, że spowodowanie policjanta, aby pomógł rozładować korek, w efekcie go powiększy. Tak naprawdę potrzebujemy więcej dróg, autostrad i skrzyżowań, czyli lepszych reguł porządkujących demokrację i rynek. Ta uproszczona, może nawet dziecinnie prosta metafora to przykład, jak możemy rozmawiać z ludźmi o ideach liberalizmu. Kiedykolwiek pojawia się problem, powinniśmy w pierwszej kolejności pomyśleć o tym, czy rozwiązania można szukać w świecie organizacji pozarządowych, czyli obywatelskich, lub czy nie są potrzebne zmiany prawne. W efekcie obszary nadzorowane przez finansowane z podatków państwo będą się kurczyć.

Dlatego musimy mówić o problemach młodej demokracji i w dialogu szukać dobrych rozwiązań. Dobrze to ilustruje bardzo delikatna kwestia: wolne media. Transformacja przyniosła Polsce wolne media, tak jak i innym krajom naszego regionu. Powstanie ich jest jedną z ważnych, jeśli nie najważniejszych zmian, które zaszły 20 lat temu. Dzięki nim nasza demokracja rozwija się lepiej, bo mamy społeczną kontrolę nad rządem i parlamentem. Niestety pojawia się konflikt interesów: walka o rankingi oglądalności i czytelnictwa nie sprzyja jakości informacji. Jeśli prawda jest nieatrakcyjna dla masowego odbiorcy albo zbyt droga do „wyprodukowania”, media przestają jej szukać. Ponieważ dziś media tworzą społeczeństwo, niska jakość informacji to bardzo poważny problem. Wielu dziennikarzy i właścicieli mediów dostrzega ten fakt. Szukając rozwiązania, musimy pamiętać, że lepiej zachować media w formie obecnej, niż w jakikolwiek sposób ograniczać ich wolność. Wolność słowa to fundament demokracji. Żadna państwowa instytucja nie powinna zatem odpowiadać za kontrolę mediów. Prawo do prawdy powinno być jednak uznane za fundamentalne prawo człowieka. Jak zatem zwiększać jakość informacji, tak aby w mediach było więcej rzetelności i odpowiedzialności za słowa, nie ograniczając prawa do wolności wypowiedzi? Porównajmy je do innego podstawowego prawa – prawa własności. Mass media pojawiły się w XX wieku w przeciwieństwie do własności, która liczy już tysiące lat. Ludzkość miała czas, by wypracować przepisy regulujące własność bez ograniczania praw właściciela. Podobnie

potrzebujemy rozwiązań dla mass mediów. Ale musimy pamiętać, że tam, gdzie kończy się wolność słowa, kończy się wolność w ogóle. Media muszą same brać większą odpowiedzialność za to, co przedstawiają milionom odbiorców. Trudno zbudować mądre społeczeństwo bez dostępu do prawdy. Internet, prawdopodobnie największy wynalazek XX wieku, nie ułatwia sprawy. Z jednej strony jest skutecznym narzędziem społecznej kontroli również nad mediami, z drugiej umożliwia natychmiastowe rozprzestrzenianie się informacji. YouTube pozwala każdemu mówić do milionów bez żadnych inwestycji. Żyjemy i pracujemy w internecie. Większość z nas spędza w nim wiele godzin dziennie, ucząc się, bawiąc, komunikując i szukając informacji. W internecie możemy znaleźć niezależne poglądy, ale także tracić czas na fałszywe informacje o niskiej jakości. Internet stwarza nieograniczoną przestrzeń dla zwykłego chamstwa i słownej brutalności ukrytym za nickiem internautom. Dlatego razem ze spo-



Myśląc o następnych 20 latach, musimy znaleźć liberalne, racjonalne rozwiązania problemów, które przynosi ze sobą demokracja. Liberalowie muszą podjąć decyzję, czy chcą wziąć odpowiedzialność za dalsze reformy, czy wolą pozostać obok głównego nurtu życia politycznego, jedynie doradzając i przedstawiając swój punkt widzenia.

tecznością mediów trzeba zainicjować stworzenie pozarządowych organizacji, które będą monitorowały wolne media. Dostęp do prawdy to fundamentalne prawo człowieka. Musimy je chronić. Zrozumienie znaczenia, ale i ograniczeń wolnych mediów to ważny element społecznej zmiany, jakiej potrzebujemy w Polsce.

Nie ma łatwych odpowiedzi na nadchodzące 20 lat. Teraz w Polsce żyje się lepiej, ale jest trudniej określić, co należy zrobić, by w przyszłości było jeszcze lepiej. Nie dokona tego jedna zmiana jak 20 lat temu, ale setki małych zmian. Wszyscy jesteśmy odpowiedzialni za te małe zmiany.

Artykuł jest tłumaczeniem angielskiego tekstu, który będzie opublikowany w listopadzie 2009 r. w rocznicowej publikacji Fundacji im. Friedricha Naumanna — Fundacji na Rzecz Wolności. ■

O autorze:

Szymon Gutkowski

Absolwent Wydziału Matematyki, Informatyki i Mechaniki Uniwersytetu Warszawskiego. Na początku lat 90. był asystentem Jacka Kuronia. Współwłaściciel i dyrektor generalny agencji reklamowej DDB Warszawa. Przewodniczący Stowarzyszenia Projekt: Polska.



Kilka Idei Księcia

Błażej Lenkowski

„A z drugiej strony to, co jest w ogóle typowe dla Polaków — strach przed opinią publiczną. Wielkość Piłsudskiego polegała na tym, że on się z tym nie liczył. Że szedł pod włos społeczeństwu. I wygrywał. Bo z tym społeczeństwem to można jednak zrobić”. Te słowa Jerzego Giedroycia dedykuję Donaldowi Tuskowi.

A z drugiej strony to, co jest w ogóle typowe dla Polaków — strach przed opinią publiczną. Wielkość Piłsudskiego polegała na tym, że on się z tym nie liczył. Że szedł pod włos społeczeństwu. I wygrywał. Bo z tym społeczeństwem to można jednak zrobić”. Te słowa Jerzego Giedroycia dedykuję Donaldowi Tuskowi. Czy Polska po 20 latach wolności jest państwem, z którym utożsamiałby się Jerzy Giedroyc? Jerzy Giedroyc, ikona polskiej emigracji powojennej, publicysta, polityk, epistolograf, twórca i redaktor paryskiej „Kultury” — najważniejszego polskiego emigracyjnego periodyku, wydawanego w czasach epoki dominacji Moskwy nad Polską.

Znając krytyczny charakter i polemiczny styl Księcia polskiej emigracji, można przewidzieć, że na pewno znalazłby mnóstwo kwestii wartych krytyki we współczesnej Polsce. Giedroyc w latach 90. był częściowo sceptyczny wobec tej nowej rzeczywistości. Fascynujące wydaje się jednak porównanie tego, co mówił o Polsce w niezwykle osobistej rozmowie, jaką przeprowadziła z nim na początku lat 80. Barbara Toruńczyk — z naszą obecną rzeczywistością. Z rozmowy opublikowanej w książce *Rozmowy w Maisons-Laffitte 1981* pochodzą cytaty z wypowiedzi Księcia, na których opiera się niniejszy artykuł.

Porównanie owych dwóch rzeczywistości to frapująca analiza tego, co nam się udało, tego, co być może powinniśmy jeszcze zmienić oraz tego, w jakim kierunku powinna zmieniać się dalej Polska. Oczywiście jest to analiza niepełna i wycinkowa, ale daje obraz Jerzego Giedroycia, przedstawiciela ruchu demokratycznego i liberalnego, który jednak swą oryginalnością, niepokornością i odwagą sądów ucieka tak naprawdę od wszelkich schematów. Człowieka, który pokazał, jak w skrajnie trudnych warunkach trwale wpajać Polakom idee i poglądy, obecne ciągle po śmierci Redaktora. Warto, aby nieco

zagubieni dziś liberałowie przyjrzeni się, jak Giedroyc to uczynił.

Od idei przedwojennych do III RP

Trudno mi się zaszeregować politycznie, ale muszę powiedzieć, że zawsze byłem na marginesach obozu Piłsudskiego. W dużej opozycji nie w stosunku do Piłsudskiego, ale w stosunku do piłsudczyków. (...) To jednak, co najbardziej cenię u Piłsudskiego, to jego realizm polityczny. On znalazł rozwiązanie, które jest dla Polaków jedyne. Jego polityka była bardzo realistyczna, o pozorach romantyzmu.

Giedroyc wyznawał ideę silnego państwa polskiego, budowanego na zasadach świeckich. Popierał Piłsudskiego, ale dostrzegał jego dwie osobowości — tę lepszą, otwartą, przed okresem załamania i pobytu w Sulejówku i tę drugą, która nosiła już potężne skazy. W obozie piłsudczyków, po śmierci wodza Legionów, popierał zmarginalizowanego, umiarkowanego Kazimierza Sosnkowskiego i usiłował działać przeciwko rosnącej dyktaturze Edwarda Rydza-Śmigłego. Jednocześnie Giedroyc był ogromnym przeciwnikiem państwa wyznaniowego, wszelkich nacjonalistycznych fobii i polskiego ciemnogrodu. Byłby zapewne gorącym przeciwnikiem ksenofobicznych, wywodzących się od endecji idei, z których czerpie dziś PiS, LPR czy Radio Maryja.

Niepokoi mnie wciąż bardzo silny syndrom endecji, silny zwłaszcza w sensie mentalności (myśl polityczna u endeków tak samo nie egzystuje). To jest mentalność, jak sądzę, bardzo wielkiego procentu społeczeństwa. Cały ten antysemityzm, szowinizm, ksenofobia. I to jest w dużym stopniu wzmacniane przez — nie chciałbym tego za ostro formułować — przez pewien sojusz z Kościołem. W Kościele tak samo są elementy wsteczne. Ta wsteczność polega właśnie na mentalności endeckiej.

Z drugiej strony wydaje się jednak, że III RP lepiej niż II RP wygrywa z tą zaściankową mentalnością, z zagrożeniami dla rozwoju kraju. Społeczeństwo III RP, nawet jeśli popełnia błędy (flirt z ideą IV RP), samo w demokratycznym procesie potrafi wyciągnąć wnioski i odrzucić tych, którzy prowadzą kraj w destrukcyjnym kierunku. W II RP Piłsudski musiał posuwać się do metod niedemokratycznych.

Przewagą III RP nad II RP jest jednak mozolna edukacja obywatelska, dzięki której społeczeństwo dojrzewa i z mądrością wychodzi z opresji. Sądzę, że Giedroyc byłby z tego dumny. Mimo krytyki demokracji, w czasie przewrotu majowego Giedroyc był jednak w Belwederze, gotowy czynnie jej bronić:

Ja wtedy byłem przekonany, że Piłsudczykiem i jednak uważałem, że trzeba się opowiedzieć po stronie rządu legalnego. Można powiedzieć z krwawym sercem.

Niezwykłe jest to, że Giedroyc faktycznie przewidywał klęskę spadkobierców idei endeckiej:

Moim zdaniem to niebezpieczeństwo jest neutralizowane. Mimo że endecy rządzą właściwie większością tego narodu. Tylko że endecy nie są zdolni do działania. Także w rezultacie, jak co do czego przychodzi, zawsze zwycięża lewica, mimo że jest rozbita. I tak było zawsze. (...) Społeczeństwo było po drugiej stronie. No, ale jednak Roman Dmowski nie wygrał, wygrał Piłsudski. (...) Także jest na szczęście jakaś taka samoregulacja.

Czy to zdanie nie opisuje sytuacji po zwycięstwie PiS-u i całego funkcjonowania koalicji PiS-LPR – Samoobrona? Jej działania były przecież faktyczną autodestrukcją, niezdolnością do działania i rządzenia państwem. To samo stało się przecież z rządem Olszewskiego!

Polityka zagraniczna

Giedroyc krytykował endecję również za tendencję do wiecznego szukania protektora Polski:

Dla endecji jest jeszcze charakterystyczny, poza tym antysemityzmem i tymi wszystkimi nieprzyjemnymi cechami, brak wiary we własne siły narodu, konieczność szukania protektora. (...) To szukanie protektora... Dawniej to była Anglia czy Francja, teraz uważa się, że jesteśmy skazani na Związek Sowiecki i musimy się do niego dostosować, nie próbując niczego wywalczyć.

Tę samą tendencję można dziś dostrzec wśród polityków polskiej prawicy w stosunku do Stanów Zjednoczonych Ameryki. Przez lata zgadzałem się z tezą najściślejzego soju-

szu Polski z USA, niezależnie od ceny, jaką Polska miałaby za to płacić, będąc głęboko przekonany, że przez jednego z moich najwybitniejszych wykładowców, dr. Przemysława Żurawskiego vel Grajewskiego. Po raz kolejny to Giedroyc miał rację. Przecież wybór Baracka Obamy na prezydenta USA, cała obecna sytuacja z tarczą antyrakietową czy farsą związaną z rakietami Patriot pokazuje, jak krótkowzroczna może okazać się polityka poszukiwania jedyne- go silnego protektora. Dziś jest jasne, że Ameryka Obamy nie będzie chciała bronić Polski. Dywersyfikacja sojuszy jest więc niezbędnym rozwiązaniem i ściśle związki również w Europie są dla Polski niezbędne. Wydaje się, że Giedroyc pochwalałby raczej politykę wielobiegunowych sojuszy, niż odrzucenia Europy na rzecz ślepego związku ze Stanami, jak chce polska prawica. Sojusze III RP z krajami Unii Europejskiej są więc logiczną konsekwencją tej myśli politycznej.

Ciekawa jest ocena przez Giedroycia obecnej polskiej polityki wschodniej. Kwestia ukraińska była dla niego absolutnym, strategicznym wyzwaniem dla Polski:

Dla nas niebezpieczeństwo rosyjskie jest kolosalne. I dlatego jeżeli zajmuję się sprawami narodowościowymi, to nie tylko ze względów humanitarnych – obrony praw człowieka etc. Dla mnie problem najważniejszy to stworzenie niezależnego państwa ukraińskiego – żeby był kraj buforowy między nami i Rosją. To jest kraj, który ma 40 mln ludzi i jest ilościowo większy niż my. I to jest dla nas sprawa zupełnie zasadnicza. To nie jest kwestia federacji; nie bardzo tę federację wi-

Rozejście się dróg państwa i Kościoła w Polsce, na wzór francuski, to drugi po sprawie Ukrainy cel w te- stamencie wyzwań Giedroycia, który stoi przed nami.

dzę i ona jest niepotrzebna — za dużo krwi jest między nami, żeby dzisiaj mówić o federacji polsko-ukraińskiej i mówienie o tym doprowadza Ukraińców do wściekłości. Ale sam fakt powstania tego państwa daje nam możliwość manewru. Wtedy ma Pani sojusznika ukraińskiego w jakiejś akcji przeciwko państwu rosyjskiemu. (...) To jest kwestia życia lub śmierci państwa polskiego.

Wydaje się, że przez lata 90. i początek XXI wieku polscy politycy mieli głęboką determinację w realizacji swego politycznego testamentu Giedroycia wobec Ukrainy. Apogeum tej polityki stanowiła ukraińska Pomarańczowa Rewolucja, podczas której zapewne Książę przyklasnąłby polityce byłego członka PZPR, ówczesnego prezydenta Polski, Aleksandra Kwaśniewskiego, od którego nie przyjął w swoim czasie Orle Białego.

Niestety, z powodu rozczarowania wewnętrzną sytuacją polityczną Ukrainy po rewolucji, Polscy politycy zapomnieli o tym testamencie. W kampanii do Parlamentu Europejskiego w Polsce, w roku 2009, o kwestii ukraińskiej nie było ani słowa. Zniechęcona polska klasa polityczna okazuje się zbyt mało zdeterminowana w realizacji polskiej racji stanu. Nie ma ważniejszego strategicznego wyzwania dla Polski w polityce zagranicznej niż utrzymanie Ukrainy w zachodniej strefie wpływów. Członkostwo Ukrainy w Unii Europejskiej jest absolutnym priorytetem. Dziś nie widać w ekipie Platformy Obywatelskiej determinacji w tej sprawie. Zbyt mało również dzieje się na odcinku zainteresowania organizacji społeczeństwa obywatelskiego Ukrainą. Moda na Ukrainę, która wybuchła po Pomarańczowej Rewolucji, przysłała nadmiernie szybko, choć nie bez winy samej Ukrainy, podzielonej i pozbawionej stabilnych rządów. To może mieć dla nas tragiczne skutki. Ukraina to prawdopodobnie jedno z największych wyzwań Polski na następne 20-lecie.

Kościół

Giedroyc zestawiał endecję z Kościołem, do którego odnosił się niezwykle sceptycznie:

To jest problem nacjonalistyczny, przede wszystkim antysemityzm. Nigdy ze strony Wyszyńskiego jako głowy Kościoła nie było wyraźnego potępienia antysemityzmu. W 1968 to było samotne wystąpienie Zawieyskiego i bodajże w Sejmie coś jeszcze powiedział Stomma i to było wszystko. To było bardzo niewiele. (...) Wyszyński uważał, że zachowanie polskości jest uzależnione od pozycji Kościoła. Jeżeli Kościół będzie silny i jednolity, to jest to zachowanie, obrona interesów Polski. To jest w dużym stopniu prawda, ale nie można tych spraw identyfikować. Istnieje ogromne niebezpieczeństwo identyfikowania interesów Kościoła z interesami Polski, a one się nie zawsze pokrywają. Bywały czasy, że się nie pokrywały. Myśmy z tego powodu przegrali masę rzeczy w naszej historii. Chociażby kwestię Ukrainy. Kwestię Unii. Normalizacji stosunków z unitami. Niech Pani zauważy, kto zwalczał politykę Władysława IV? Albo polityka Zygmunta III — on był manewrowany przez Kościół całkowicie i pogrzebał wtedy jedyną w naszej historii szansę dogadania się z Rosją czy zdobycia wpływów na Rosję. (...) Ale z chwilą, gdy sytuacja trochę się ustabilizuje, to nasze drogi — interes

państwa, polska racja stanu i interes Kościoła — mogą się rozchodzić. Powinny się rozjeść.

Wpływ Kościoła katolickiego na ostatnie 20-lecie w historii Polski był zdecydowanie zbyt duży. Niestety, ta sytuacja wciąż się utrzymuje. Dwa odłamy Kościoła rywalizują o wpływy w dwóch głównych polskich partiach politycznych. Nikt od lat nie jest w stanie rozdzielić interesu państwa i Kościoła. Ten paradoks dotyczy nawet postkomunistycznych rządów Leszka Millera. Rozejście się dróg państwa i Kościoła w Polsce, na wzór francuski, to drugi po sprawie Ukrainy cel w testamencie wyzwań Giedroycia, który stoi przed nami.

Szkola Prostych Reguł... w polityce według Giedroycia?

Szkola Prostych Reguł to innowacyjne podejście do zarządzania przedsiębiorstwem. Koncepcja opracowana w latach 90. była odpowiedzią na wzrost konkurencji na rynku oraz przyspieszenie konkurencji na skutek rozwoju Internetu. Tradycyjne, skomplikowane, analityczne strategie nie były w stanie odpowiedzieć na wyzwania przyspieszonej rzeczywistości. Christensen, twórca tej teorii, położył nacisk na zapomnianą wśród skomplikowanych strategii zasadę, mówiącą, że istotą budowy przewagi konkurencyjnej jest umiejętność korzystania z przelotnych i chwilowych szans. Szkoła Prostych Reguł podkreślała wagę budowy takiej struktury firmy, w której managerowie mogą podążać za ulotnymi szansami, są w stanie śledzić i wykorzystywać zmieniającą się rzeczywistość dla celów firmy. SPR zakłada, że taktyczne wartości i działania firmy powinny podlegać stałym modyfikacjom w zależności od zmieniającej się sytuacji, tak aby najsukcesyjniej realizować strategiczne cele firmy.

Giedroyc wypowiedział niezwykle istotne zdanie, które można uznać za swojego rodzaju przełożenie tej teorii na działania w sferze polityki. Zdanie wypowiedziane w roku 1981, kiedy o Szkole Prostych Reguł nikt jeszcze nie słyszał:

Bo polityka nie jest sakramentem. Niestety, Polacy uważają (i chyba tylko Polacy), że wierność przekonaniom jest przymiotem. Wręcz przeciwnie. Trzeba umieć się przystosować do zmieniającej się rzeczywistości, nie tracąc z oczu celu, do którego się dąży.

A więc w polityce jak w biznesie trzeba taktycznie, skutecznie i pragmatycznie reagować na zmieniającą się rzeczywistość — po to, aby bronić racji stanu i celów strategicznych. Tej elastyczności w taktyce politycznej nie potrafiła realizować grupa osób, która faktycznie stworzyła III RP, czyli Unia Wolności. Przegrała. Nie słuchała Księcia.

Odwaga

A z drugiej strony to, co jest w ogóle typowe dla Polaków — strach przed opinią publiczną. Wielkość Piłsudskiego polegała na tym, że on się z tym nie liczył. Że szedł pod włos temu społeczeństwu. I wygrywał. Bo z tym społeczeństwem to można jednak zrobić. Pamiętam (...) moje rozmowy z Rydzem-Śmigłym, jak był internowany w Rumunii. (...) Kiedyś zapytałem go: „Panie Marszałku, dlaczego kampania wrześniowa była tak prowadzona, dlaczego trzeba było bronić poznańskiego, korytarza pomorskiego zamiast skrócić front, powiedzmy co najmniej na Wiśle?” I on odpowiedział: „Niech mnie Pan nie uważa za idiotę, gdybym pół Polski oddał bez strzału, tego naród polski nigdy by mi nie wybaczył”. On się bał opinii publicznej. Wobec tego trzeba było walczyć o Poznań, trzeba było walczyć o Pomorze, o Bydgoszcz itd. Mając te siły (i tak niewielkie i słabe) niepotrzebnie rozstrzelone na całym szeregu odcinku. On się bał opinii publicznej! I zupełnie niesłusznie.

Strach przed opinią publiczną może prowadzić do błędów. Giedroyc podaje też drugi przykład:

Niech Pani weźmie pod uwagę chociażby rozmowy Sikorskiego ze Stalinem. Sikorski odmawiał dyskusji na temat granicy wschodniej. Że niby to wszystko zależy od Sejmu niepodległej Polski po wojnie. A przecież takie ustalenie wcześniejsze, choć niewiele by pomogło, toby przecież opóźniło pewne procesy. Dlatego, że Stalin był gotowy zostawić Lwów i jego żądania były wtedy znacznie

mnijšie. Od umowy Majski-Sikorski było przecież wiadomo, jak bolszewicy podchodzą do tej sprawy: oni uważali, że ten plebiscyt przesądza włączenie tych ziem do Związku Sowieckiego etc. Sikorski natomiast łudził siebie i całe społeczeństwo, że jednak uda się dogadać i to bez ceny jakichś ofiar. (...) Dlatego że bał się opinii publicznej. Sikorski się bał, że jeżeli on powie, będzie rozmawiał ze Stalinem, że Małopolska Wschodnia czy Kresy Północne są dla nas stracone, to jego to skończy w oczach Polaków. To jest cecha wszystkich polskich mężów stanu.

Giedroyc zapewne popierałby skuteczną politykę, w której liderzy kreują idee i następnie potrafią nimi zarazić społeczeństwo, porwać do trudnych wyzwań i niezbędnych reform. Wolałby polityków, którzy potrafią realnie oceniać rzeczywistość i osiągać maksimum korzyści w danych warunkach, a nie pseudo-liderów, którzy zapatrzeni w słupki sondażowe są sparaliżowani jak Rydz-Śmigły. Donald Tusk do tej pory potrafił wznieść się ponad niewolę opinii publicznej tylko raz — w sprawie reformy emerytur pomostowych. Jego wizerunek na tym zyskał. Bo odwaga procentuje. Ale raz to za mało.

Dzisiejszą kampanią wrześniową jest walka z kryzysem ekonomicznym. Gospodarka nie była w centrum zainteresowań Giedroycia, ale wbrew pozorom przykładł on do niej dużą wagę, krytykując m.in. Piłsudskiego, że absolutnie nie był zainteresowany tą dziedzina rządzenia. Życmy i sobie, i Donaldowi Tuskowi, aby nie zabrakło mu odwagi w walce z tą hydrą XXI wieku. Aby nie bał się społeczeństwa, aby radykalnie walczył z deficytem, ograniczając wydatki państwa, aby słuchał rad ekspertów i pamiętał o racji stanu.

Wszystkie cytaty pochodzą z książki Barbary Toruńczyk *Rozmowy w Maisons-Laffitte 1981, Fundacja Zeszytów Literackich, Warszawa 2006.* ■

O autorze:

Błażej Lenkowski

Absolwent Wydziału Studiów Międzynarodowych i Politologicznych Uniwersytetu Łódzkiego. Jest przedsiębiorcą. Pełni funkcję wiceprzewodniczącego Stowarzyszenia Projekt: Polska. Prezes zarządu Fundacji Industrial – wydawcy czasopisma *Liberté!*

Konfliktogenna? Krótkowzroczna? Jałowa?

Piotr Beniuszys



W Polsce walka polityczna nosi znamiona wojny, konkurencja polityczna pełni rolę wroga. Poseł SPD do Bundestagu Markus Meckel zapytany podczas niedawnej polsko-niemieckiej debaty o przemianach ustrojowych w obu krajach o największą różnicę między polską a niemiecką rzeczywistością polityczną stwierdził, że uwagę zwraca następująca rzecz. W Niemczech politycy różnych partii traktują się jak konkurentów, codzienną działalność polityczną, a kampanie wyborcze w szczególności, pojmują w kategoriach starcia idei oraz merytorycznych programów i pomysłów reform. W Polsce walka polityczna nosi natomiast znamiona wojny, konkurencja polityczna pełni rolę wroga. Co więcej, jest to wróg, któremu, jak stwierdził, „odmawia się w istocie prawa do egzystencji” na scenie politycznej i w publicznej debacie.

Celem w polityce zawsze jest władza. Według Meckela, podczas gdy w Niemczech dąży się do osiągnięcia większości dla określonego programu i potem ewentualnie do ugruntowania tej większości na dłuższą metę skutecznym rządom i mocnym fundamentom aksjologicznym, tak w polskiej polityce celem marginalizacja jest zniszczenie wrogiego obozu, usunięcie go ze sceny, uszczuplanie jego poparcia, aż całkowicie zniknie.

Rodzi to bardzo poważne konsekwencje dla wszystkich aspektów życia publicznego. Destrukcyjne podejście odciska piętno na procesie doboru kadr politycznych przez partie. W rzeczywistości niemieckiej najsilniejszą pozycję polityczną w poszczególnych ugrupowaniach uzyskują medialni, ale jednak eksperci w konkretnych dziedzinach. W telewizyjnej debacie przedstawia się ich nie tylko podając przynależność partyjną, ale także dziedziny, w jakiej pełnią rolę „spikerów” swojej partii lub ich zastępców. Jest wiele różnych takich dziedzin: polityka budżetowa, podatkowa, przemysłowa, ubezpieczeń społecznych, zdrowotna, bezpieczeństwa wewnętrznego, zagraniczna, europejska, praw konsumenckich, rynku pracy, rodzinna, etc., etc.

Czy bylibyśmy w stanie przypasować do tak zdefiniowanych przedziałów jakichkolwiek polityków polskich, spośród tych, którzy w mediach najczęściej reprezentują swoje partie? W jakiej dziedzinie ekspertem jest Stefan Niesiołowski, w jakiej Joachim Brudziński? W żadnej? We wszystkich wyżej wymienionych? Oni są ekspertami od bycia „fighterami” swoich ugrupowań. Tego typu politycy stanowią dobrze 75 proc. wszystkich występujących w mediach. Są oczywiście tacy i w Niemczech, ale dysproporcja ich udziału i częstotliwości wystąpień na antenie pomiędzy oboma krajami powala. To oczywiście generuje dalsze konsekwencje: tematyka codziennych dyskusji w TVN24 jest zwykle żenująca, poziom polskiej debaty publicznej określa kreatywność w generowaniu bon motów, rodzi się agresja, pojawiają inwektywy, ukazuje czytelna

nalizacji SLD. Jednak właśnie fakt, że zjawiska te zaistniały, jest powodem tak wzmożonej wrogości pomiędzy polskimi politykami. Dążą oni do anihilacji wroga, ponieważ wiedzą, że w Polsce jest ona możliwa. Słabość i prawdopodobieństwo całkowitego upadku polskich partii, co jest cały czas aktualne i odnosi się do wszystkich, także dzisiejszych graczy na polskiej scenie, jest pokusą. Politycy wietrzą szansę całkowitego pograżenia siebie nawzajem, dlatego idą ze sobą na wojnę totalną. W ustabilizowanych systemach partyjnych poszczególne ugrupowania nie stawiają sobie tego za cel także dlatego po prostu, że zdają sobie sprawę z płonności tych starań. CDU i CSU wiedzą, że mogą osłabić SPD, ale nie usuną socjaldemokratów ze sceny i odwrotnie. Dziś nawet mniejsze partie, jak FDP czy Zieloni, są nie do ruszenia.

W Polsce walka polityczna nosi natomiast znamiona wojny, konkurencja polityczna pełni rolę wroga. Co więcej, jest to wróg, któremu, jak stwierdził, „odmawia się w istocie prawa do egzystencji” na scenie politycznej i w publicznej debacie.

dla widza nienawiść pomiędzy interlokutorami. Obniża to potencjał ewentualnej współpracy ponadpartyjnej, która bywa konieczna szczególnie w czasach kryzysowych. Prowadzenie politycznej wojny totalnej staje się zagrożeniem dla kraju.

Niski poziom polityków jest przyczyną niskiego poziomu zaangażowania obywateli w życie kraju, czy to się wyraża w niskiej frekwencji czy też w słabym rozwoju infrastruktury społeczeństwa obywatelskiego.

Oczywiste jest zagrożenie dla systemu politycznego i partyjnego. Brak stabilności podmiotów partyjnych i ich ideologiczna nieczytelność oznaczają niestabilność kraju. W ciągu 20 lat historii parlamentaryzmu III RP objawiało się to na różne sposoby: przez polityczne rozdrobnienie, stałe rozpady partii i klubów poselskich, częste dezercje zamazujące ciągłość ideologiczną środowisk, nie-naturalny pęd do tworzenia „świeżych projektów politycznych” wobec niepowodzeń w walce o władzę w dotychczasowych partiach, podupadanie partii dużych, które były filarami systemu, w końcu wytworzenie się układu noszącego znamiona syndromu TINA (There Is No Alternative). Można nie żałować rozpadu AWS, eliminacji UW czy margi-

Brak jest stabilnej opozycji w polskim systemie. Nie jest on w stanie zapewnić istnienia alternatywy politycznej w postaci co najmniej dwóch mocnych ekip, zdolnych w każdym momencie przejąć na siebie odpowiedzialność za kraj. I to prawdziwą odpowiedzialność, przez duże O. Taka opozycja jest siatką bezpieczeństwa dla kraju, dzięki niej problemy jednej partii rządzącej nie muszą przekładać się na kryzys funkcjonowania całego państwa. W Polsce dotychczas było tak, że początki kadencji charakteryzowała chroniczna słabość opozycji, jej rozbitcie i kompromitacja, wobec czego brakowało realnej politycznej kontroli nad władzą wykonawczą. Pod koniec kadencji degrengoladzie ulegał obóz władzy, co z jednej strony powodowało kurczowe trzymanie się przez jego ludzi stanowisk, tak aby swe funkcje pełnić za wszelką cenę tak długo, jak to możliwe, bynajmniej nie kierując się przy tym troską o interes kraju. Z drugiej zaś opozycja chwytła wiatr w żagle i ulegała radykalizacji, zapowiadając całkowitą zmianę i zerwanie z rządami poprzedników, przez co wywoływała niepewność i obawy wielu obywateli co do jej zamiarów.

Pochodną niestabilności ogniw systemu partyjnego jest boleśnie przez Polskę odczuwane

lekceważenie polityków wobec wymogu pewnej kontynuacji międzykadencyjnej. W takich krajach jak Niemcy, Brytania czy USA, mimo jaskrawej retoryki wyborczej, zmiana koalicji rządzącej nie oznacza radykalnego zaprzeczenia dotychczasowej polityce. Nowo wybrani, mimo świeżej legitymacji, starają się uzgodnić swoje postulaty z praktyką poprzedników, tak aby zmiana kierunku nie tworzyła pozorów zerwania ciągłości w logice sprawowania władzy i reformowania kraju. Brak takiego podejścia Polska odczuła wielokrotnie w ostatniej dekadzie poprzez: odwrócenie reformy służby zdrowia, odsuwanie i zatracenie istoty reformy edukacji, poniechanie działań przygotowujących kraj na przyjęcie waluty euro (co okazało się mieć poważne i długoletnie konsekwencje), ciągłe zmiany koncepcji reformy systemu sądownictwa i prokuratury, odkładanie reformy systemu świadczeń społecznych, ograniczenia przywilejów emerytalnych i likwidacji szczególnego statusu rolników w systemie podatkowym czy socjalnym, a nawet zerwanie z zasadą ponadpartyjnego konsensusu co do zasadniczych kierunków polityki zagranicznej, pogarszanie stosunków z niektórymi państwami z pełną premedytacją i naprawianie ich przed kolejny rząd, co sprawia wrażenie lawirowania. Wiąże się to z całkowitą, wręcz niewia-

rygodną niemożnością polskiej klasy politycznej, aby te wymienione i inne problemy analizować w perspektywie czasowej szerszej zakres jednej kadencji i następnych wyzwań wyborczych. Wyłania się z tego obraz kraju rządzonego przez ludzi niepoważnych. W końcu przestaje się wręcz dostrzegać, kto w permanentnym konflikcie ma słuszność, ważniejszy jest bowiem fakt niesterowalności całego systemu.

Ta niestabilność jest oczywiście konsekwencją kolejnego aspektu choroby polskiego życia publicznego. Partie u nas tracą władzę i upadają, gdyż całe milionowe grupy wyborców się od nich potrafią odwrócić w ciągu zaledwie kilku lat. Ideologiczna nieczytelność stronnictw ułatwia przerzucanie poparcia „od ściany do ściany”, pomiędzy teoretycznie skrajnie różnymi ugrupowaniami, które na scenie znajdują się na przeciwległych biegunach. Niemal całkowity brak socjologicznego zakorzenienia dużych grup społecznych (wiekowych, regionalnych, zawodowych czy lobby interesów) w elektoratach określonych partii o mocnym profilu ideowym jest niestety przejawem słabego poziomu integracji społecznej.

Jednak lata mijają i Polska demokracja powoli krzepnie. Wydawać by się mogło, że stopniowo kraj będzie pozytywnie ewoluował, świadomość wyborców i kultura polityczna polityków będą się poprawiać. Dla osób zadowolonych z aktualnego składu sceny politycznej jej względna stabilność od 2001 roku (poza eliminacją dwóch skrajnych partii efemerydalnych) jest dowodem na taką poprawę. Jednak system ten jest ideologicznie niewydolny, zdominowany przez dwie partie zasadniczo konserwatywne i wbrew pozorom do siebie podobne (co było czytelne do roku 2006, gdy logika systemu partyjnego uczyniła z nich głównych konkurentów do władzy, czyli w polskich warunkach śmiertelnych wrogów), które na dłuższą metę nie będą w stanie „obsłużyć” całego spektrum wartości, postaw i interesów społecznych. Trudno wyobrazić sobie trwałość tego systemu, a jego już dosyć długotrwałe utrzymywanie się tłumaczy raczej wprowadzony u progu tej dekady system finansowania partii, który czyni rozłamy rodem z lat 90-tych XX wieku wysoce ryzykownymi z banalnych, materialnych przyczyn. Nie tędy droga do podniesienia poziomu kultury politycznej i osiągnięcia bardziej merytorycznego kształtu debaty.

Przed wszystkim jednak gołym okiem widzimy, że przez ostatnie 5-7 lat poziom polskiej kultury politycznej spada. Okazuje się bowiem, że szkodzi jej dodatkowo osiągnięcie przez Polskę wszystkich najbardziej doniosłych celów, związanych z przełomem oraz budową demokratycznej państwowości. Mimo obecności wszystkich nakreślonych powyżej wad, czas podejmowania najpoważniejszych i najtrudniejszych wyzwań rozdził dawniej w polityce miejsce dla ludzi kompetentnych, a nawet mężów stanu. Budowa systemu konstytucyjnego z prawdziwie nowoczesnym państwem prawa, potrzeba szybkiego wprowadzenia mechanizmów gospodarki rynkowej, wyzwanie w postaci zapobieżenia wybuchowi społecznemu przeciwko bolesnym reformom ekonomicznym, reforma edukacji i administracji państwa, wejście

do NATO i Unii Europejskiej – tego typu zadania wiązały polityków i zmuszały do merytorycznej pracy. Mniej było czasu na „występy”, mniejsze było zainteresowanie „happeningami”. Gdy Polska wszystko to osiągnęła, politycy postanowili wziąć urlop od poważnej polityki. Nagle, około 2004-5 roku, zmieniła się formuła politycznego komunikowania. Wszystko stało się proste jak konstrukcja cepa, a sukcesy w robieniu partyjnych karier w poszczególnych ugrupowaniach odnosić zaczęli nie ci, którzy mówili najmądrzej, ale ci którzy byli najgłośniejsi.

Moja prognoza na najbliższą przyszłość nie jest optymistyczna. Nic nie wskazuje na to, że Polacy mają dość tego stylu politycznego, którego słowem-wytrychem jest „PR” a symbolem „spór o krzesło” czy koncentracja mediów na polityce à la Palikot czy Nelli Rokita. W żadnej z partii nie obowiązuje zasada, że merytoryczna wiedza jest drogą na szczyty list wyborczych. Znamienne, że najbardziej odpowiedzialne stanowiska obsadzone są ekspertami z zewnątrz partii, takimi jak Michał Boni czy Jacek Rostowski, zaś politycy z pierwszego partyjnego szeregu raczej widzą się w roli szefów „klubów parlamentarnych”, „gabinetów premiera” czy „ministrów w kancelarii”. Powszechny ton komentarzy po publikacji dokumentu „Polska 2030”, będącego zestawem trudnych wyzwań długofalowych dla kraju, jest taki, że choć nie ma sporu co do tego, że w istocie są to wyzwania najważniejsze, to szanse na to, że polscy politycy będą w stanie je pomyślnie podjąć, są znikome. Merytorycznych ekspertów polityka musi szukać poza swoimi szeregami, gdyż przestała wierzyć, że poprzez wiedzę i szacunek dla niej, szczerą komunikację z obywatelem i rzetelną pracę nad trudnymi reformami można budować poparcie wyborców. Tę wiarę musimy jej przywrócić. Prawdziwa polityka to mozolnie budowana pozycja, popularność przez szacunek. Nie jest nią błyskawiczna „kariera medialna” pod skrzydłami możnego protektora. ■

O autorze:

Piotr Beniuszys

Magister politologii i socjologii. Kościerzanin z urodzenia, obecnie mieszkaniec Wolnego Miasta Gdańska. Był ostatnim przewodniczącym Unii Wolności w Gdańsku. Były członek Partii Demokratycznej demokraci.pl.



politycznej, pozostając poza zasięgiem rządzonych mas, charakteryzuje przede wszystkim społeczeństwa państw autorytarnych) i uczestniczącą (dla której charakterystyczne jest duże zaangażowanie społeczeństwa w sprawy polityczne i dążenie do partycypowania w rządzeniu, charakterystyczna dla społeczeństw dojrzałych demokracji).

Zastosowanie pojęcia kultury politycznej przez Almonda i Verbę nie miało wyłącznie celu naukowo-deskrypcyjnego. Usiłowali oni za jego pomocą pokazać wyjątkowość amerykańskiej kultury politycznej jako najbliższej opisywanemu ideałowi kultury uczestniczącej. Tym samym wskazywali, że ów typ uczestniczący powinien być wskazywany jako ideał dążeń nowoczesnych społeczeństw liberalno-demokratycznych, wiąże się on bowiem — ich zdaniem — ze stabilnością systemu politycznego i przewidywalnością działań polityków oraz obywateli. Badania politologów europejskich — Gerharda Lehmbrucha nad kulturą polityczną Austrii i Szwajcarii oraz Arenda Lijpharta nad systemem holenderskim — wykazywały, że to w Europie znajdują się społeczeństwa najbardziej stabilne i o kulturze politycznej najbliższej typowi uczestniczącemu.

Dzieje polskiego uczestnictwa

Pomijając wątek idealizacji masowego uczestnictwa obywateli w sferze publicznej — chociaż rzeczywiście z punktu widzenia idei demokratycznych wydaje się to być kwestia dość istotna — warto by zastanowić się, na ile po 1989 roku udało się zbudować w Polsce kulturę polityczną na miarę tej, którą Almond i Verba nazwali uczestniczącą. Przyglądając się oficjalnym wynikom frekwencji wyborczej, trzeba by uznać, że okres najaktywniejszego uczestnictwa Polacy mają już za sobą. Według oficjalnych — rzecz jasna sfałszowanych — wyników wyborów do sejmu PRL-owskiego, frekwencja w okresie powojennym wynosiła niemalże 100 proc. Od roku 1957, kiedy to ogłoszono, że do urn poszło 94 proc. obywateli Polski Ludowej, frekwencja stale rosła o jeden punkt lub kilka dziesiątych punktu procentowego przy każdych kolejnych wyborach (1961 – 95 proc., 1965 – 96,6 proc., 1969 – 97,6 proc., 1972 – 97,9 proc., 1976 – 98,3 proc., 1980 – 98,9 proc.). Paradoksalnie wyniki te kazałyby mówić o PRL-u jako ideale kultury politycznej uczestniczącej. Jeśli dodać do

tego masowe uczestnictwo Polaków w obchodach świąt państwowych (np. pochody pierwszomajowe), wówczas obraz ów jeszcze bardziej się dopełnia.

Komuniści, umacniając mit masowego uczestnictwa Polaków w życiu publicznym, usiłowali legitymizować swoją władzę, a jednocześnie zniechęcali ich do brania udziału w wyborczo-obywatelskiej fikcji. Wszyscy doskonale wiedzieli, jaki będzie wynik wyborów, i że komunikaty oficjalne podadzą fałszywe wyniki zarówno głosowań, jak i frekwencji.

Już wtedy wykształciła się szczególna kultura „wykpiwaczy” i „uchylców”: ludzie odcinających się od państwa i jego instytucji, pogardzających aparatem państwowym, umywających ręce od wszystkiego, co określane było słówkiem „polityczny”. Ci, którzy administracyjnie byli zmuszani do uczestnictwa w obywatelsko-aktywistycznej fikcji totalitarnego państwa, tym bardziej pogardzali instytucjami takimi jak chociażby wybory.

Skoro polityka to jedno wielkie oszustwo, to nie warto przywiązywać do niej zbyt dużej wagi. Skoro państwo kłamie i oszukuje, to dlaczego obywatel nie ma sztydzić sobie z maszyny państwowej i śmiać się z niej w domowym zaciszu, przebywając zaś w sferze publicznej, oko w oko z Lewiatanem — sprawiać wrażenie, że wszystko jest w należytym porządku.

Nie dziwi więc, że polskie społeczeństwo po okresie socrealnego „odrętwienia” postanowiło wyłączyć się z życia publicznego i zrezygnowało nawet z udziału w najważniejszym demokratycznym rytuale, jakim powinny być wybory. Wybory parlamentarne po 1989 roku nieczęsto gromadziły przy urnach ponad 50 proc. uprawnionych do głosowania (1989 – 62 proc., 1991 – 43,2 proc., 1993 – 52,08 proc., 1997 – 47,93 proc., 2001 – 46,29 proc., 2005 – 40,57 proc., 2007 – 53,88 proc.). Większym zainteresowaniem cieszyły się jedynie — bardziej spersonalizowane — wybory prezydenckie (1990 – 60,6 proc. [I tura], 53,4 proc. [II tura], 1995 – 64,7 proc. [I], 68,23 proc. [II], 2000 – 61,12 proc., 2005 – 49,74 proc. [I], 50,99 proc. [II]), zaś samorządowe i europejskie notują co najwyżej rekordy spadków frekwencji. Wyższy poziom uczestnictwa notowano w okresie



©iStockphoto.com/ jgroup

Kultura „wykpiwaczy” i „uchylców”

Sławomir Drelich

Polska kultura polityczna weszła w 1989 roku w nowe stadium. Totalitarna i wszechspoglądająca władza wycofała się i oddała pole swobodzie osobistej i wolności obywatelskim. Niewydolny system centralnie planowanej gospodarki zastąpiły wolny rynek, wolna konkurencja, własność prywatna i indywidualna przedsiębiorczość. Hegemonia „jednomysli” partii komunistycznej ustąpiła hałaśliwemu pluralizmowi. Obywatele mieli wyjść z piwnic, komórek i strychów, zdeptując cenzurę i system kontroli bezpieczeństwa wewnętrznego. Zaczęto budować Nowej Polski, a wraz z nią — nowej kultury politycznej: demokratycznej, obywatelskiej, aktywistycznej, tolerancyjnej i wolnościowej.

Kultura polityczna

XX-wieczna politologia wielokrotnie posługiwała się terminem kultury politycznej, a jej koryfeusze pojęcie to uznali za istotne w refleksji nad zachowaniami polityków oraz obywateli we współczesnych państwach. Wielość definicji oraz różnorodność podejść w badaniu kultury politycznej każe nam przyjąć ów konglomerat wyjaśnień i koncepcji, tworząc z nich swoistą syntezę, a jednocześnie podkreślając części wspólne. W trzech najpopularniejszych teoriach — Sidney’a Verby, Dennisa Kavanagha oraz Luciana Pye’a — zwraca

się uwagę zarówno na aspekt intelektualny pojęcia kultury politycznej, jak i na aspekt aksjologiczny. Kultura polityczna obejmować ma więc z jednej strony wszelką wiedzę dotyczącą tego, jak instytucje państwa działają i jakie możliwości działania posiada obywatel; z drugiej zaś — szereg wartości oraz symboli istotnych dla sfery politycznej i definiujących polityczne działanie.

Sidney Verba i G. Bingham Powell te dwa wskazane powyżej poziomy zagadnienia rozbijają na cztery elementy: poznawczy (obejmujący wiedzę na temat procesów politycznych), normatywny (zawierający reguły i zasady, które przyjmuje się za właściwe dla politycznego działania), emocjonalny (na który składają się zachowania, jakie możemy obserwować na scenie politycznej i sposoby reakcji na tego rodzaju zachowania), a także oceniający (obejmujący całokształt ocen na temat działania mechanizmów państwa oraz aktorów sceny politycznej: polityków i rządzących). Gabriel Almond wraz z Sidney’em Verbą, biorąc pod uwagę te właśnie czynniki, stworzyli typologię form kultury politycznej. Wyróżnili oni kulturę zaściankową (cechującą się znikomym zainteresowaniem zagadnieniami politycznymi, występującą z reguły w kulturach plemiennych, o niskiej organizacji struktur państwa), poddańczą (w której sfera polityczna zostaje ściśle wydzielona dla jakiejś klasy

II Rzeczypospolitej, kiedy to frekwencja wyborcza oscylowała w okolicach 70 proc. uprawnionych (1922 – najniższy poziom 65,85 proc. w okręgu siedleckim, 1930 – 75 proc., 1935 – 46,6 proc., 1938 – 67,1 proc.). Jak widać, jedynie w wyborach z 1935 roku, kiedy to prawicowa opozycja ogłosiła bojkot wyborów w proteście przeciwko zapisom i procedurze uchwalenia konstytucji kwietniowej, nie uzyskano poziomu 50 proc. uczestnictwa w wyborczej procedurze.

„Uchylcy” społeczno-polityczni

Wyniki frekwencji wyborczej w Polsce po 1989 roku uznać należy za wielką porażkę III Rzeczypospolitej, która przecież za jeden z celów fundamentalnych przyjęła zadanie zbudowania nowoczesnego społeczeństwa obywatelskiego, społeczeństwa obywateli aktywnych, zainteresowanych sprawami swojego państwa i „ojczyzny lokalnej”. Z perspektywy politycznego realizmu należałoby cieszyć się z takiego stanu rzeczy, albowiem trzeba by uznać za lepszą sytuację, kiedy głosują jedynie osoby świadome swoich politycznych poglądów oraz przyjmujące uczestnictwo w krajowej polityce za działanie ważne, zaś nieświadomi i niezorientowani zostają w domu. Można by się spodziewać, że owi „uświadomieni” podejmą decyzje lepiej przemyślane, że nie ulegną emocjom, medialnym przekazom i wyborczym sporom, kłótniom oraz inwektywom. Ale przecież nikt nie gwarantuje, że to ci „uświadomieni” do wyborów chodzą, a ja bym raczej obawiał się, że „uświadomieni” nie stanowią 40 proc. naszego społeczeństwa. „Społeczno-polityczne uchylstwo” — uchylanie się obywateli od współuczestniczenia w kreowaniu nowej rzeczywistości, nowego porządku — jest niewątpliwie wielką klęską demokratycznej Polski, ale wydaje się to być jedynie skutkiem klęski o skali nieporównanie wyższej.

Klęską znacznie poważniejszą jest fakt, iż nie udało się twórcom i luminarzom III RP zbudować więzi między społeczeństwem a rządzącymi. Nie udało się przekonać Polaków, że projekt rozpoczęty w 1989 ma sens i jest czymś więcej niż tylko nieślubnym dzieckiem „reformatorskich i pragmatycznie nastawionych komunistów z PZPR” z „konsensualnie nastawioną opozycją solidarnościową” (wielcy antagoniści i krytycy Okrągłego

Stołu mówiliby zapewne nie o dziecku, ale wręcz o bękarcie).

Brak przywiązania dużej części polskiego społeczeństwa do III RP dało się zauważyć chociażby w 2005 roku, kiedy to ogromny sukces osiągnęła idea zbudowania IV Rzeczypospolitej. Można nie przepadać za Kaczyńskimi i Prawem i Sprawiedliwością, którzy tę koncepcję przyjęli, jednak nie da się nie zauważyć, że początkowo otrzymali oni spore poparcie i duży kredyt zaufania. Społeczeństwo polskie nie czuło się szczególnie zobowiązane względem tego, co naówczas zwano III RP. „Uchylcy” to więc nie tylko ludzie, którym nie chce się angażować w życie społeczne, którzy wolą zamknąć się w czterech ścianach i oglądać telewizję — „uchylcy” to zarazem ludzie, którzy czuli albo niedosyt, albo całkowite niezadowolenie z dróg, na których Polska po wyborach czerwcowych się znalazła.

Polski „uchylca” najwidoczniej uznał, że najprostszym sposobem, aby wyrazić swoje niezadowolenie z działań podejmowanych przez tzw. klasę polityczną, będzie nie-działanie, oddalenie się do samotni i zajęcie swoimi sprawami. Zwracając się do klasyków, trzeba by zadać sobie również pytanie, czy aby nie stało się tak, że Polska kultura polityczna w 1989 roku weszła na drogę, którą opisywał w XIX wieku Alexis de Tocqueville. W swoich rozważaniach nad demokracją w Stanach Zjednoczonych zauważył, że jedną z największych wad systemów demokratycznych jest rozpad więzi społecznych — coś, co można by określić zwrotem indywidualistycznym. Obywatel państwa demokratycznego w swoim dążeniu do maksymalizowania swego szczęścia, przyjemności i dobrobytu, całkowicie oddaje się swoim własnym sprawom, zaś sprawy społeczeństwa, państwa czy po prostu najbliższej wspólnoty, do której należy, odsuwane są na plan dalszy. Polska więc — można pójść śladem myśli Wilhelma von Humboldta — jest typowym przykładem państwa nowożytnego, którego obywatel — z czym i Humboldt by się zapewne zgodził — jest właśnie takim „społeczno-politycznym uchylcą”.

Polska kultura polityczna z perspektywy obywatelskiego i społecznego uczestnictwa w trosce o dobro wspólne jest więc niewątpliwie kulturą „uchylców”, ludzi unikających wzięcia odpowie-

dzialności za innych, za społeczeństwo. I bynajmniej nie wystarczy chyba tutaj wyjaśnienie zaproponowane czy to przez de Tocqueville’a, czy to przez Humboldta, dopatrujące się przyczyn tego w mechanizmach działania państw nowoczesnych oraz demokratycznych i liberalnych wartościach, zwracających człowieka od wspólnoty do siebie, tworzących wręcz jednostkę jako podmiot polityki. Brak bowiem również zaangażowania człowieka w realizowaniu swoich pozytywnych wolności, brak jakiegokolwiek zainteresowania przypadkami nietolerancji, brak współpracy na poziomie najniższych społeczności, brak wreszcie refleksji. Brak również podstawowej wiedzy na temat mechanizmów funkcjonowania państwa, przez co cała machina państwowo-polityczno-administracyjna pozostaje dla przeciętnego obywatela zrozumiała nawet nie jak hieroglif, lecz wręcz jak pismo linearne B.

Panowanie „wykpiwaczy”

Wolność niejednokrotnie rozumiano i rozumie się jako samowolę, równość jako ujednolicenie i dążenie do tego, by wyglądać tak, jak sąsiadka, i mieć to, co ma już sąsiad, własność przypieczętowuje się namiętnym odgradzaniem od sąsiadów (co szczególnie da się dostrzec jadąc w Tatry, gdzie aby przejechać na nartach z jednej doliny do drugiej, trzeba by przejść przez kilka pól i wyciąć kilka dziur w siatkowych ogrodzeniach). Tolerancja natomiast rozumiana jest jako przyzwolenie na publiczne obrażanie zarówno wszelkich mniejszości, jak i osób pełniących najwyższe godności państwowe, a mianem nietolerancji określa się krytykowanie złodziei, bandytów i osób podejrzanych. Poważne traktowanie liberalnych i demokratycznych idei przyjmowane jest jako przykład „dziwactwa” lub „oszołomstwa” albo „inteligentkie bujdy” czy „pseudo-intelektualne dyrdymały”. By dobrze wpasować się w ów klimat epoki, nie wystarczy jednak tylko uchylać się od jakiegokolwiek uczestnictwa czy zaangażowania, trzeba jeszcze obśmiać tych, którzy coś robić próbują.

Polski „wykpiwacz” gardzi rządzącymi, gardzi wszelką władzą, gardzi administracją. Ale takim „wykpiwaczem” jest również polski polityk, który nie potrafi rozmawiać ze swoim politycznym przeciwnikiem, nie potrafi postawić rzeczowego pytania w dyskusji, a udzielane odpowiedzi mają zadowolić jedynie jego elektorat.

Polski „wykpiwacz” bynajmniej nie traktuje swojego politycznego przeciwnika niczym Schmittańskiego egzystencjalnego wroga, bowiem ten polityczny przeciwnik za jakiś czas może stać się przyjacielem, może być potrzebny, żeby walczyć przeciwko komuś trzeciemu. Polityk w ramach tej specyficznej kultury politycznej kpi sobie ze swojego wyborcy, przekonując, że Oceania od zawsze walczyła ze Wschód-Azją i od zawsze znajdowała się w sojuszu z Eurazją, choć przecież wszyscy dobrze pamiętamy — a przynajmniej tak się nam wydaje — że jeszcze niedawno było zupełnie odwrotnie. Wyborca zaś kpi sobie z polityka, bo bardzo dobrze wie, że w następnych wyborach z dużym prawdopodobieństwem zagłosuje na kogoś innego. Polityka staje się jedną wielką kpiną, a nie metodą walki wartości oraz wizji, nie jest już nawet umiejętnym zarządzaniem państwem, bo sprawy państwowe wielokrotnie podporządkowane zostają bieżącym interesom i interesikom.

W polskiej kulturze politycznej ostatnich 20 lat polityka stała się jednym wielkim żartem. Obywatel Rzeczypospolitej Polskiej włącza serwis informacyjny, aby zobaczyć, co zabawnego dziś pokażą przedstawiciele narodu. Polityk — najczęściej poseł na Sejm Rzeczypospolitej Polskiej — trafia przed kamery stacji telewizyjnych, żeby zaprezentować się widzom w jakimś nowym skeczu, żeby opowiedzieć wczoraj zasłyszany dowcip, a najczęściej po prostu, żeby zatańczyć i zaśpiewać bez ładu, składu, bez zdolności i umiejętności, bez wstydu, bez granic i bez sensu. Kiedyś mawiało się, że jeśli ktoś trafił do polityki, to „trafił na salony” czy też „bywa na salonach”. Dziś można by mówić w sposób podobny, używając jednak amerykańskiego słowa „saloon”: można zatańczyć, poderwać jakąś pannę, wypić za dużo, zagrać w pokera za pieniądze. Doskonały polityczny „saloon”, polski polityczny „saloon”. ■

O autorze:

Sławomir Drelich

Absolwent politologii i filozofii na Uniwersytecie Mikołaja Kopernika w Toruniu, doktor w Zakładzie Aksjologii i Etyki Społecznej Instytutu Filozofii UMK. Pracuje jako nauczyciel i przewodnik po mieście Toruń. Współzałożyciel i redaktor pisma naukowego „Dialogi Polityczne” wydawanego przez Wydział Humanistyczny UMK.



Kamila Łepkowska

Potęga rynku — gospodarczy bilans transformacji w Polsce
Wywiad z profesorem Janem Winieckim

PKB Słowacji jest siedmiokrotnie niższe niż Polski, a im mniejszy kraj, tym bardziej korzysta, kiedy w globalnej gospodarce dochodzi do intensyfikacji wymiany międzynarodowej.

Panie Profesorze, będziemy rozmawiać o 20 latach polskiej transformacji gospodarczej, jednak wydajemy od doświadczeń najbliższych nam w czasie. Wydaje się, że spośród krajów Europy Środkowo-Wschodniej w Polsce kryzys gospodarczy ma stosunkowo najłagodniejszy przebieg. Polska ma również szansę stać się jednym z niewielu krajów członkowskich Unii Europejskiej, których gospodarce uda się w tym roku wypracować pozytywny wzrost. W jakich czynnikach upatruje Pan Profesor źródeł tej sytuacji? Czy owa ponadprzeciętna odporność polskiej gospodarki na zawirowania w światowym systemie jest skutkiem jej obiektywnych cech strukturalnych, czy też raczej zawdzięczamy ją polityce gospodarczej prowadzonej w ostatnich latach?

W naszym regionie, a mam tu konkretnie na myśli państwa, które równocześnie z Polską weszły do Unii Europejskiej, nie widać wyraźnej grupy liderów, jeśli chodzi o reformy gospodarcze. Z tej ósemki — bo Bułgaria i Rumunia ekonomicznie grają jednak w innej lidze — bardzo trudno byłoby wyróżnić kraje, które reformy przeprowadziłyby wzorcowo. Początkowo awangardę stanowiły Polska, Czechy i Węgry, ale w pewnym momencie wszystkie te trzy kraje doznały swoistej reformatorskiej zadyszki. Były wiceprezes Europejskiego Banku Odbudowy i Rozwoju — Michael Bruno określał to zjawisko

mianem „reform fatigue”, mając na myśli stan, kiedy reformy przyniosły już wiele efektów, ale równocześnie na dalsze działania nie starcza już sił — pojawia się za duży opór społeczny, a politycy boją się ryzykować swoje kariery. Kiedy grupie pierwotnych liderów, przytrafiła się właśnie taka reformatorska

Staliśmy się częścią normalnego świata i to jest największy sukces.

zadyszka, do przodu wyskoczyła druga grupa, a więc kraje bałtyckie, przede wszystkim Estonia, ale także Litwa. Litwie udało się zresztą dołączyć do grupy reformatorów dopiero za którymś razem, bo nie do końca powiodły się próby wdrożenia reform, podejmowane tam co najmniej dwa lub trzy razy. Następnie dołączyła Słowacja, która dotychczas pozostawała daleko w tyle za liderami regionu ze względu na spuściznę czasów semi-dyktatury mecziarowskiej. Jednak to właśnie Słowacja dokonała najdalej idących reform.

Uważam, że jest sześć krajów, które reformy przeprowadziły naprawdę dobrze. Nieco gorzej niż Estonia i Litwa, reformy wdrożyła Łotwa, gdzie nie uniknięto błędów politycznych z daleko idącymi konsekwencjami w późniejszych latach. Mamy też przypadek najbogatszego kraju naszego regionu, czyli Słowenii, która ciągle ma jeszcze przewagę związaną ze swoim relatywnie większym bogactwem w momencie rozpoczynania reform. Jednak inne kraje powoli doganiają Słowację, bo w Ljublanie programu reform nie udało się przeprowadzić w dostatecznie radykalny sposób. Odporność polskiej gospodarki na kryzys — w istocie większa niż na przykład w Czechach czy Słowacji — nie wynika jednak z jakości reform, ale z wielkości i struktury gospodarki. PKB Słowacji jest 7-krotnie niższe niż Polski, a im mniejszy kraj, tym bardziej korzysta, kiedy w globalnej gospodarce dochodzi do intensyfikacji wymiany międzynarodowej. W fazie koniunktury ekonomicznej taki kraj ma szansę na bardzo szybki wzrost, jednak, gdy w światowej gospodarce pojawia się recesja, to małe kraje są dotknięte szczególnie silnie.



Ta teoretyczna teza znajduje empiryczne potwierdzenie. Jak się spojrzy na wzrost gospodarczy w latach 2000–2007 ósemki krajów, które weszły do Unii Europejskiej w roku 2004, to zdecydowanie na czele były Estonia, Litwa i Łotwa. I to nie tylko na czele, bo wykazywały w tym okresie tempo wzrostu 2-krotnie szybsze niż Polska, Czechy i Węgry. W czasach koniunktury wzrosty były więc bardzo silne, jednak gdy przyszedł czas dekonunktury, te małe i nastawione na eksport gospodarki również ponadprzeciętnie silnie ucierpiały. Oczywiście w przypadku Łotwy dochodzi jeszcze taka nazbyt rozwiązła, choć nie w sensie moralnym rzecz jasna, polityka

makroekonomiczna. Przede wszystkim mam tu na myśli kwestie monetarne, czyli nadmierne rozszerzenie kredytu mieszkaniowego. Trzeba w tym miejscu zauważyć, że również Polska zaczęła iść tą drogą — pojawiły się banki, które oferowały kredyty na 100 czy nawet 110 proc. wartości nieruchomości. Gdyby podobne tendencje wystąpiły u nas 2–3 lata wcześniej, dziś mielibyśmy podobne problemy. Mieliśmy po prostu trochę szczęścia, w związku z tym u nas kryzys kredytów mieszkaniowych nie rozprzestrzenił się tak, jak na Łotwie, w Hiszpanii czy Irlandii. Choć trzeba również oddać sprawiedliwość, że również odpowiedzialna reakcja obecnego rządu na kryzys gospodarczy spowodowała, że nie odczuwamy go tak drastycznie jak inne kraje.

Czy na złagodzenie skutków kryzysu mógł wpływ mieć płynny reżim walutowy, jaki wybrała Polska? Czy ten walutowy bufor mógł zaabsorbować istotną część kryzysowego szoku?

W swojej książce, wydanej przez Routledge w 2002 roku pt. *Transition economies and foreign trade*, jeden z rozdziałów poświęciłem właśnie wyborom kursowym. Okazało się, że spośród tej ósemki krajów, które zdały maturę, wchodząc do Unii Europejskiej, mieliśmy do czynienia aż z trzema reżimami walutowymi. I właściwie okazuje się, że w ramach każdego reżimu kursowego, o ile prowadzi się dobrą politykę gospodarczą, można osiągnąć sukces. Moim zdaniem ten kurs nie odgrywał specjalnie dużej roli, a z pewnością mniejszą niż błędy popełnione bądź niepopołnione w pewnych obszarach polityki gospodarczej. Kluczowa jest natomiast wielkość gospodarki. Jesteśmy w kraju większym, tąpnięcie eksportu nawet rzędu 25 proc. tak, jak to miało miejsce w Polsce na początku roku, nie ma aż tak silnego przełożenia na całą gospodarkę, bo udział wymiany międzynarodowej jest relatywnie mniejszy. Więc jeśli mówimy o tej poduszce chroniącej, to był nią raczej silny popyt wewnętrzny.

Patrząc z perspektywy 20 lat, co w trakcie tych dwóch dekad transformacji gospodarczej udało nam się zrobić szczególnie dobrze, co można określić jako największy sukces?

Nam się udało całość. W roku 1989, a dokładnie w jego ostatnich miesiącach, borykaliśmy się jeszcze z inflacją rzędu 1000 proc. Niezwykle były także przemiany, dotyczące codzienności zwykłych ludzi, którzy mieszkali wtedy w Polsce. O szybkości i radykalności tych przemian przypomina mi historia pewnej mojej koleżanki z konspiracji, która w 1989 r. spodziewała się dziecka. Kiedy termin porodu się już zbliżał, jej mąż zapisał się na listę społeczną po pralkę. W takiej kolejce trzeba było stać nierzadko miesiąc, dwa lub trzy, żeby w końcu kupić potrzebny sprzęt. Któregoś dnia to właśnie jej mężowi przypadł

obowiązek pojawienia się w kolejce i ewentualnego poinformowania „współ-kolejkowiczów”, że pralki właśnie dostarczono. Jednak w tym samym czasie koleżanka zaczęła rodzić i szansa na pralkę przepadła. To wszystko działo się w połowie grudnia, przez dwa tygodnie pieluszki wożono do prania do domu jej mamy. 1 stycznia weszły natomiast w życie reformy zwane reformami Balcerowicza i ci moi znajomi już w pierwszym tygodniu ich obowiązywania poszli do sklepu i po prostu kupili tę pralkę. Więc można powiedzieć, że z domu wariatów przeszliśmy do normalności. Po prostu można było rzeczy zwyczajnie kupić, a nie wystać, czy jak to się mówiło załatwić, zorganizować. Mój kolega — profesor ekonomii z Krakowa — mawiał, że nie ma w komunizmie jak dobre pochodzenie. Ale nie chodzi tu o pochodzenie arystokratyczne czy nawet przynależność do partii, tylko że tu pochodzisz, tam pochodzisz i może coś załatwisz, więc po prostu przestało się liczyć to dobre pochodzenie i zrobiło się normalnie. Radykalną różnicę można było zaobserwować również w odniesieniu do jakości towarów. Tę zmianę zawdzięczamy otwarciu granic. To są przemiany na szczeblu ludzkim, jednak specjalnie podkreślam ich znaczenie, bo to przecież ludzie żyli w tym ustroju i teraz też gospodarka jest dla ludzi. Przemiany na poziomie makroekonomicznym są tym bardziej wyraźne — na przykład w zakresie handlu zagranicznego. W połowie lat 80. rząd Jaruzelskiego z triumfem ogłosił, że wartość sprzedaży polskich to-



To pokazuje siłę rynku — kiedy zostały zlikwidowane dostawy obowiązkowe między krajami komunistycznymi, to okazało się, że w przeciągu trzech lat nastąpiło odwrócenie udziałów krajów wschodnich i zachodnich.

warów na rynki zachodnie przekroczyła 5 miliardów dolarów. W zeszłym roku polski eksport wyniósł ponad 140 miliardów dolarów. Innymi słowy, w tej chwili eksportujemy mniej więcej tyle w ciągu dwóch tygodni, ile oni w ciągu roku z wielkim trudem, zabierając z rynku wewnętrznego najcenniejsze produkty. Niezależnie od tego, czy spojrzymy z perspektywy mikro, a więc przeciętnego człowieka, czy z perspektywy makro, to w ogóle znajdujemy się w świecie innych problemów. W skali globalnej jesteśmy krajem średnio zamożnym i mamy do czynienia z problemami znanymi cywilizowanemu światu. Zastanawiamy się, czy kupić samochód używany, czy pojechać na wakacje na Cypr, czy na Mazury. To jest rodzaj problemów, który przemawia także do Hiszpana, czy Anglika, listy społeczne na zakup pralki, to dla nich z kolei problem zupełnie abstrakcyjny. Staliśmy się częścią normalnego świata i to jest największy sukces. I przypuszczam, że niewielu było takich, którzy wierzyli, że w takiej skali on nam się przytrafi.

A co Pana profesora osobiście zdziwiło, zaskoczyło podczas tych 20 lat?

Kwestie związane z wymianą międzynarodową. Mimo że obracałem się w środowiskach takich jak seminarium organizowane przez Leszka Balcerowicza czy Konwersatorium Doświadczenie i Przyszłość Profesora Geremka i stawiałem się coraz bardziej zaangażowanym liberałem, nie przypuszczałem, że można tak szybko zmienić orientację gospodarki na pro-eksportową. W styczniu 1989 — jeszcze przed Okrągłym Stołem i wyborami napisałem do „Financial Times’a” artykuł pt. *How to get the ball rolling*, w którym skrótowo przedstawiłem program reform niezbędnych do radykalnego przejścia od komunizmu do gospodarki rynkowej. Wtedy argumentowałem jednak, że reformy powinny przebiegać etapami, czyli najpierw liberalizujemy ceny krajowe, a potem zagraniczne. Prof. Janusz Beksiak, ja i jeszcze dwie osoby przygotowywaliśmy wtedy dla Obywatelskiego Klubu Parlamentarnego projekt reform oparty o to założenie, ale do naszego zespołu przyszedł Jeffrey Sachs i zasugerował, żebyśmy zrobili wszystko za jednym zamachem. To było nowatorskie myślenie, bo do tej pory wszystkie kraje o podobnej sytuacji wyjściowej myślały jednak w kategoriach etapów. Daliśmy się jednak przekonać i następnie w ciągu trzech lat została odtworzona struktura handlu zagranicznego, taka jak istniała w latach 20., czyli przed wojną i wielkim kryzysem. To pokazuje siłę rynku — kiedy zostały zlikwidowane dostawy obowiązkowe między krajami komunistycznymi, to okazało się, że w przeciągu trzech lat nastąpiło odwrócenie udziałów krajów wschodnich i zachodnich. Nawet ja, twardy liberał, nie przypuszczałem, że to się tak szybko da zrobić, więc jeśli mówimy o zaskoczeniach, to było chyba największe.

Całościowego sukcesu 20 lat polskiej transformacji nie sposób negować, jednak z pewnością są rzeczy, które można było zrobić lepiej. Gdzie Pan Profesor upatruje największych porażek tego okresu?

Przed wszystkim odnieśliśmy porażkę w zakresie prywatyzacji. Opór wobec prywatyzacji istniał zawsze i wszędzie, ale ze wszystkich krajów u nas był najbardziej aberracyjny, a ponadto obejmował najszersze spektrum polityczne: od postkomunistów po różnorakie ugrupowania pseudoprawicowe. Ministrowie odpowiedzialni za kwestie prywaty-

zacji byli ciągle przedmiotem ataków, stawiano im wota nieufności, a gdy zmieniała się ekipa rządząca, to nawet napuszczano na nich prokuraturę. Janusz Lewandowski, który przez dwa lata był ministrem przekształceń własnościowych, miał 63 sprawy sądowe, choć oczywiście we wszystkich tych został uniewinniony. Ta porażka ma również wymiar ludzki. Mimo tak gigantycznego sukcesu nie udało się przekonać społeczeństwa, że nie tylko transformacja jest sukcesem, ale i prywatyzacja. Prywatny właściciel działa nieskończenie bardziej efektywnie niż nie-prywatny, a i sama prywatyzacja może mieć wiele twarzy. Najskuteczniejsza jest wtedy, gdy nowy inwestor jest strategiczny, tzn. może kontrolować działania spółki i posiada doświadczenie w danej branży, które może do spółki wnieść. Niestety, ciągle jeszcze w ludzkich głowach tkwią takie atawistyczne przekonania, że prywatyzacja to jest złodziejska, choć i na tej płaszczyźnie można zaobserwować pewne paradoksy. Czytałem niedawno o badaniach zleconych przez szkołę im. Koźmińskiego, z których wynika, że ok. 50 do 70 proc. Polaków pojęcie prywatyzacji identyfikują z takimi zjawiskami jak: rozgrabianie majątku, kradzież, wyprzedaż majątku narodowego. Gdy z kolei zapytano w innej części badania, „Czy zgadasz się ze stwierdzeniem, że własność prywatna jest najbardziej efektywną formą gospodarowania?” to również 70 proc. mówi, że tak. To jest właśnie jeden z wymiarów tych porażek o charakterze psychologiczno-społecznym.

W ostatnim czasie sceptycyzm wobec prywatyzacji słychać nawet z kręgów, które dotychczas były bardzo przychylne temu procesowi. Ów sceptycyzm zasadza się na przekonaniu, że nie warto sprzedawać teraz, gdy wycena spółek jest stosunkowo niska, ale raczej należałoby wesprzeć państwowe firmy, choćby po to, żeby poprawiły swoją sytuację na rynkach zagranicznych. Czy ta teza jest uprawniona?

Ja uważam, że nie, bo istnieje jednak pewna hierarchia celów. Najważniejszym celem prywatyzacji jest podniesienie efektywności funkcjonowania firmy — obojętnie banku czy przedsiębiorstwa produkcyjnego. Ja wykonywałem kiedyś coś, co nazywam „złotą regułą Winieckiego”. Zgodnie z nią przedsiębiorstwo państwowe, kiedy przejdzie proces prywatyzacji, aby wyprodukować taką samą ilość dóbr o takiej samej jakości, potrzebuje

zaledwie połowy zasobów koniecznych do tej produkcji, co w czasach, gdy było państwowe. Również czynniki, na podstawie których państwowy bank podejmuje decyzje, nie mają charakteru wyłącznie ekonomicznego. Oczywiście państwowy bank mógłby próbować wejść na nowe rynki, ale prywatny będzie to czynił w sposób bardziej efektywny. Zresztą przykładów błędów popełnianych przy podobnych okazjach jest aż nadto, wystarczy wymienić nieudane zaangażowanie PKO na Ukrainie czy uwarunkowane politycznie przejęcie elektrowni w Możejkach. To są właśnie decyzje, podejmowane przez menadżerów państwowych firm. Więc zdecydowanie uważam, że prywatyzować trzeba jak najszybciej, nawet jeśli przychód z tego tytułu byłby mniejszy. Prywatny właściciel czyni z tych zasobów lepszy użytek.

Spoglądając na 20 lat polskiej transformacji gospodarczej z perspektywy końca tej drogi, czy płyną z niej jakieś uniwersalne lekcje dla krajów, które znajdują się na jej początku?

Myślę, że tak — wystarczy spojrzeć na Ukrainę. W 1992 roku wielki niepokój budził u nas fakt, że produkcja notowała spadki rzędu 40 proc., a PKB 20 proc. Na Ukrainie ten spadek sięgał ponad 50 proc., co było konsekwencją braku, a potem niekonsekwentnych reform. W przeciwieństwie do Polski czy Węgier na Ukrainie nie uwolniono wszystkich cen. Wiele branż, na przykład chemiczna, korzysta z rozmaitych zniekształceń cenowych dla ich wsadu materiałowego, na przykład energia kosztuje mniej niż kosztowałaby na wolnym rynku. Wskutek tych działań na Ukrainie kształtowała się gospodarka, w której 20 proc. PKB i 50 proc. eksportu stanowi jedna bardzo prosta branża, jaką jest przemysł stalowy. W warunkach wysokiej koniunktury było to dobre, ale teraz nie-

sie za sobą negatywne konsekwencje. Podobna sytuacja miała miejsce w Rosji. Rząd w Moskwie próbował wymusić na przedsiębiorstwach większą efektywność poprzez groźbę bankructwa. Równocześnie bank centralny torpedował te działania, pożyczając firmom po cichu pieniądze. Rosjanie dość szybko przeprowadzili z kolei prywatyzację. Równocześnie nie ustabilizowali jednak sytuacji gospodarczej na poziomie makroekonomicznym. W takim otoczeniu zewnętrznym idea sprzedaży się nie sprawdziła, bo inwestorzy nie byli chętni do wykładania własnych pieniędzy, gdy szalała 3-cyfrowa inflacja. Trzeba więc wszystkie działania przeprowadzać jednocześnie, szerokim frontem: i stabilizację, i liberalizację. Kraje leżące na wschód od Polski, najbardziej boleśnie odczuwały właśnie brak konsekwencji prowadzonych reform.

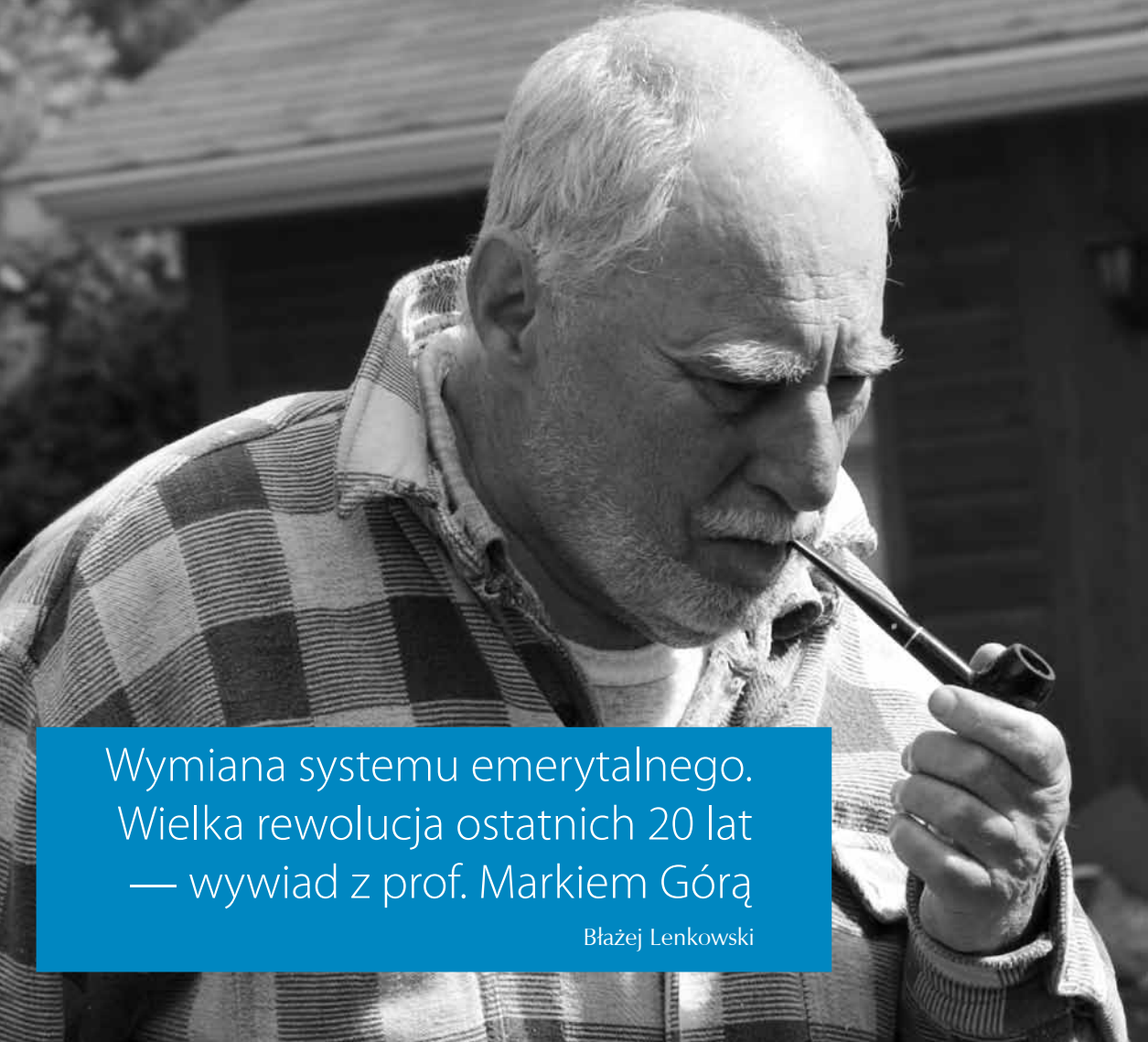
Panie Profesorze, na koniec pytanie, na które w ostatnim czasie każdy ekonomista musi odpowiadać niemal codziennie. Kiedy koniec kryzysu?

Myślę, że w Polsce nie doświadczymy recesji w sensie technicznym. Prognozuję, że ten rok zakończymy jednak pozytywnym wzrostem gospodarczym. Drugi kwartał tego roku będzie stosunkowo najślabszy, ale potem nastąpi stopniowa poprawa. Na świecie widać już zresztą pierwsze sygnały wychodzenia z recesji. Sądzę, że z kryzysem najpierw uporażą się Chiny i Indie, ale potem ożywienie nastąpi również w gospodarkach rozwiniętych. Prowadzona obecnie polityka ekspansji z pewnością przyniesie negatywne efekty w postaci wzrostu inflacji. Jednak zanim te konsekwencje przebiją się do powszechnej świadomości, minie zapewne wiele czasu. ■

O autorze:

Jan Winiecki

Ekonomista, profesor Uniwersytetu Aalborg (Dania) i Uniwersytetu Europejskiego Viadrina we Frankfurcie n. Odrą. Jest współzałożycielem i prezesem fundacji Centrum im. A. Smitha oraz współzałożycielem i byłym prezesem Towarzystwa Ekonomistów Polskich. Zasiadał w Radzie Nadzorczej EBOiR. Laureat Nagrody Kisiela.



Wymiana systemu emerytalnego. Wielka rewolucja ostatnich 20 lat — wywiad z prof. Markiem Górą

Błażej Lenkowski

Problem zaczyna się wtedy, gdy chce się sfinansować z podatków za dużo dóbr i usług, których opłacanie z podatków nie jest racjonalne ekonomicznie.

Zacznijmy może od pytania trochę filozoficznego. Liberalizm zakłada, że nie należy zmuszać ludzi do czegośkolwiek. Czy zatem zmuszanie obywateli do oszczędzania nie kłóci się z ideą wolności wyboru? Czy obywatel sam nie powinien dokonywać takiego wyboru?

Moim zdaniem niedobrze jest zaczynać od ideologicznego podejścia, ja wolałbym zaczynać od podejścia pragmatycznego, ale możemy zacząć od kwestii fundamentalnych. Myślę, że określenie liberalne jest sztucznie przyklejane do różnych koncepcji, które jedynie w tle mają odniesienie do wolności wyboru. Do tego zapomina się często, że liberalizm to także odpowiedzialność, a w moim rozumieniu, także solidarność. Przeciwwstawienie liberalizmu solidarności jest w najlepszym przypadku nieporozumieniem. Faktycznym przeciwieństwem

liberalizmu jest etatyzm. Zabiera on nam zawsze trochę wolności i zdejmuje z nas część odpowiedzialności. A solidarni mogą być tylko ludzie wolni i odpowiedzialni. Z wolności, odpowiedzialności i solidarności wynika bardzo ważny wniosek, który jest kluczowy, by odpowiedzieć na zadane pytanie. Wolność wyboru nie może być realizowana — intencjonalnie bądź nie — cudzym kosztem. Powszechność uczestniczenia w systemie emerytalnym jest właśnie narzędziem przeciwdziałania takiej sytuacji.

Powszechność uczestnictwa to ogólne stwierdzenie. W praktyce pojawia się problem skali tego uczestnictwa. Tu jest istota problemu. Większość osób, które narzekają na system emerytalny generalnie nie lubi podatków. Podatków *de facto* nie lubi nikt. Ja też nie lubię. Przy czym chodzi mi tu nie tyle o samo ich płacenie, co o wpływ, jaki wywierają na de-

Opodatkowujemy się w społeczeństwie po to, aby kupić pewne dobra publiczne ze wspólnej kasy.

motywację do pracy i przedsiębiorczości. Tradycyjnie w powszechnych systemach emerytalnych ekonomicznie składka jest podatkiem. W nowym polskim systemie emerytalnym już nie jest. Cała składka, czyli 19,52 proc. tworzy zobowiązania na indywidualnych kontach emerytalnych (mamy po dwa takie konta w powszechnym systemie), które w przyszłości będą podstawą do uczestniczenia w podziale PKB, którego sami nie będziemy już tworzyć. W skrócie są to nasze oszczędności, z których skorzystamy w okresie starości. Składka w powszechnym systemie ma charakter oszczędności, ale jej percepcja nie zmieniła się jeszcze. Wciąż myślimy o niej jako o podatku i to bardzo wysokim podatku. Czyli generalna niechęć do podatków przekładała się również na system emerytalny. Moja niechęć odnosi się właśnie do wysokich podatków. Generalnie podatki jako takie mają w sobie sens tak długo, jak są na możliwie niskim poziomie. Problem zaczyna się wtedy, gdy chce się sfinansować z podatków za dużo dóbr i usług, których opłacanie z podatków nie jest racjonalne ekonomicznie. Aby sfinansować zwiększone wydatki, trzeba podnosić podatki. Problem tkwi w tym, że ludzie intuicyjnie traktują dobra finansowane za pośrednictwem rządu tak, jak gdyby rząd je finansował. Wiadomo, że to nieprawda. Wiadomo także, że w wielu przypadkach taniej byłoby kupić coś sobie samemu niż płacić podatki konieczne, by rząd nam to kupił (lub niedokładnie to, czego potrzebujemy). Generalnie żyjemy w świecie wysokich podatków — myślę tu nie tylko o Polsce, ale generalnie o całej kontynentalnej Europie. Cierpi na tym także nasze postrzeganie powszechnego systemu emerytalnego. To skala obowiązkowości uczestnictwa w systemie emerytalnym



jest problemem, a nie samo uczestniczenie w powszechnym przedsięwzięciu.

Gdy znaczna część tego, co jest wartością naszej pracy nie trafia do nas jako pracowników lub jako przedsiębiorców, to zmniejsza się nasza motywacja do działania. Opodatkowujemy się w społeczeństwie po to, aby kupić pewne dobra publiczne ze wspólnej kasy. I to nie jest złe dopóty, dopóki nie przesadzimy. Także pytanie nie powinno brzmieć: „Czy podatki są dobre czy złe?”, tylko pytajmy o skalę. To, co w umiarze jest dobre, w nadmiarze może zdecydowanie zaszkodzić. Zresztą dotyczy to wszystkiego, od ekonomii po zażywanie leków, których nie powinniśmy przedawkowywać. Pewne dobra publiczne powinny być kupowane ze wspólnej kasy, to jasne. Problem jest wtedy, kiedy przekraczamy tę minimalną pulę dóbr. Powinniśmy krytycznie analizować, czy coś jest rzeczywiście dobrem publicznym, czy też lepiej będzie, gdy każdy zadba o to sam. To zagadnienie na inną dyskusję ale pokazuje problem.

I teraz wracamy do systemu emerytalnego. W Polsce jak wszędzie na świecie (poza jakimiś krajami kompletnie zacofanymi) istnieje powszechne ubezpieczenie emerytalne. Nie należy tego uważać oczywiście za dobry argument, że jest wszędzie, ale stanowi to pewną wskazówkę. Wszędzie są powszechne

Wymieniliśmy system emerytalny oparty na piramidzie finansowej na zupełnie inny, który jest systemem stabilnym.

systemy emerytalne. Problemem nie jest ich obecność. Problemem jest ich skala. To bardzo dobre uzasadnienie, dlaczego system powinien być powszechny, a obowiązkowość nie jest celem, lecz metodą uzyskania powszechności. Powszechność istnieje po to, aby potem, chcąc nie chcąc, ze zwiększonych podatków nie finansować tych, którzy nie oszczędzali, bo nie chcieli, nie oszczędzali, bo zapomnieli, bo stracili i w końcu tak czy inaczej przechodziliby na utrzymanie za nasze pieniądze z naszych dodatkowych podatków. Jeśli intencjonalnie, bądź nie intencjonalnie, jakaś część społeczeństwa pozostanie bez środków do życia na starość, to jest to sytuacja, której chcielibyśmy uniknąć. Z powodów: ogólnospołecznych, bo żyjemy w społeczeństwie, etycznych czyli pomaganie bliźniemu, ale przede wszystkim z powodów czysto ekonomicznych. Nam się to po prostu nie opłaca. Sensownie jest, kiedy wszyscy oszczędzają i dzięki temu każdy żyje na odpowiednim poziomie, czyli powszechność i konieczna dla jej uzyskania obowiązkowość systemu jest racjonalna. Problem to skala. My nie powinniśmy zmuszać ludzi do zbytniej oszczędności. Niech oszczędzają do jakiegoś poziomu, a potem to już, jak kto woli. Czyli ubezpieczenie dobrowolne, ale dopiero od pewnego



poziomu. Ten obowiązkowy powinien zapewnić dach nad głową, jedzenie, lekarstwa itp. Natomiast system powszechny nie zapewnia życia na jakimś podwyższonym standardzie. Na taki każdy zarabia sam i decyduje sam, czy chce oszczędzać i tu jest nasza wolność wyboru. Każdy powinien móc zdecydować, czy chce więcej skosztować dziś, czy więcej skosztować jutro. Sprawa polega na tym, że nie można pozostawić pełnej dowolności w tym względzie. Wolność jest rzeczą niezwykle ważną. Żeby jakkolwiek ją ograniczyć, trzeba mieć bardzo silne argumenty. Dobrym wyznacznikiem jest sytuacja, w której moja wolność wchodzi w obszar czyjejś wolności. Jeśli ja przepuszczę wszystkie moje pieniądze, będę biednym staruszkiem i zmuszę za pomocą presji wyborczej kogoś innego, kto oszczędzał, aby podzielił się ze mną tym, co z trudem zgromadził, to jest to głęboko niewłaściwe i niemoralne. System jest powszechny po to, aby zdarzało się to jak najrzadziej.

Problemem jest skala. W większości krajów składki są za duże. Warto podkreślić, że stary polski system emerytalny odzwierciedlał pod względem procentu hojności system niemiecki! Ale nie mieliśmy bogatych emerytów, bo byliśmy biednym społeczeństwem. Natomiast w poprzednim systemie, gdyby produktywność polskich pracowników była taka jak niemieckich, to nasi emeryci wylegiwaliby się na plażach tak samo jak Niemcy. To zresztą ze społecznego punktu widzenia było ogromnym błędem. Płaci za niego obecne pokolenie niemieckich pracowników, którzy już na pewno nie będą zażywali takiego luksusu. Obecni emeryci to ostatnie pokolenie, które osiąga tak wysokie dochody na emeryturze. Za duży system jest systemem złym.

Nasz nowy system wprowadza dość dużą dowolność. Jeśli chcemy utrzymać obecny poziom świadczeń w odniesieniu do zarobków, to musimy dodatkowo oszczędzać. To już jednak nasza indywidualna decyzja. Nie ma podstaw do zmuszania do tego wszystkich. Utrzymanie systemu sprzed reformy właśnie oznaczałoby zmuszenie nas już dziś do płacenia o wiele wyższych składek. Lepiej oszczędzajmy dodatkowo sami. Oszczędzajmy to, co musielibyśmy dodatkowo wpłacić do starego systemu, a do nowego już nie musimy.

Jak wyglądał system emerytalny na początku lat 90., jakie były w nim błędy, jakie stały wyzwania przed reformatorami?

Wyzwaniem było przede wszystkim jak najszybsze zamknięcie poprzedniego systemu. Zamknięcie z powodów, które naprawdę niewiele osób sobie użysławia. To dotyczy bardzo szerokiego problemu budowy finansów publicznych, który nazywa się: piramida finansowa. Piramida finansowa, która działa ze względu na czynniki demograficzne, czyli sytuacji, w której każde następne pokolenie jest liczniejsze od poprzedniego. Była to więc forma „rollowania” długów, które łatwiej spłacić, jeśli zaciągała mniejsza liczba osób, a spłacała większa. To był „cudowny” mechanizm i na nim zbudowane zostało tzw. państwo dobrobytu, niestety na bazie piramidy finansowej, czyli czegoś nietrwałego. Od strony finansowej jest to zjawisko, które oddziałuje historycznie, mianowicie ma wpływ na to, co dzieje się w teraźniejszości, ale również sięga głęboko w przyszłość. Sytuacja zmieniła się, ponieważ zdecydowanie wydłużył się wiek życia naszych społeczeństw, a jednocześnie spadła liczba urodzeń. Konieczność zamknięcia poprzedniego systemu nie wynika więc z założeń ideologicznych ale pragmatycznych — źródło finansowania trwale ustało.

Gdyby ktoś prywatnie próbował prowadzić interes na takim założeniu systemowym, jak poprzedni system emerytalny, czyli na piramidzie finansowej, z miejsca poszedłby do więzienia, bo to jest nielegalne. Nie można prowadzić firmy, której suma zobowiązań jest stale większa od wpływów. Wówczas trzeba ogłosić bankructwo. Gdyby zastosować do finansów publicznych taki zdrowy system rachunkowości, pochodzący z firm, to wszystko stałoby się jasne. Można oczywiście udawać, że finanse publiczne nie są zbankrutowane, ale jest to igranie z ogniem, jako że w istocie są zbankrutowane. Przy tych założeniach system się wywróci, a im dłużej będziemy czekać, tym ta wywrotka będzie boleśniejsza.

W tej kwestii Polska ma wielkie osiągnięcie, rodzaj cudu, który się zdarzył, kiedy zrobiliśmy wymianę systemu emerytalnego jako jedni z pierwszych na świecie, a nie, jak to zwykle bywa, jako ostatni! Wymieniliśmy system emerytalny oparty na piramidzie finansowej na zupełnie inny, który jest

systemem stabilnym. Oczywiście mamy nadal stare problemy, wynikające z tego, że musimy spłacić stare długi, które ciągną się za nami ze starego systemu. Nie możemy przecież powiedzieć naszym dziadkom: przepraszamy, ale nie dostaniecie pieniędzy. Spłacamy te długi. Ważne, że one już przestały rosnąć.

A kiedy mamy szansę wyjść z tej spirali długów?

To jest kwestia zasadnicza. Czy będzie to moment, kiedy z systemu wyjdzie ostatnia osoba, która funkcjonowała w starym systemie? Osoby ze starego systemu nawet po przejściu na nowy i tak tkwią w tej spirali długów, z racji funkcjonowania przez część swojego życia w starym. Nie szukajmy eufemizmów, z tą warstwą długów absolutnie skończymy wtedy, kiedy umrze ostatnia osoba, która rozpoczęła pracę przed 1 stycznia 1999 roku. Całość jest już jednak tak skonstruowana, aby nie powodowało to już akceleracji długów. Od 1 stycznia 1999 ten dług przestał rosnąć. Problem z tym długiem polegał na tym, że jego spłata wymagała podniesienia składki bądź podatków. W nowym systemie oczywiście też zaciągamy dług, ale taki, który ma automatyczne finansowanie. Zamieniliśmy więc system, zwiększający obciążenia społeczeństwa na taki, który tego nie czyni, bo posiada automatyczne stabilizatory, niezależne od decyzji politycznych. Te stabilizatory same dopasowują strumień wypłat do strumienia wpłat. Stary system był luźny i wystawiony na bieżące decyzje polityków, zawsze niechętnych do przykręcania wydatków, nawet wtedy, kiedy jest to niezbędne. W poprzedniej formie system mógł "ekspłodować". Co ciekawe zagrożenie eksplozją i zmiana systemu to ciągle kwestie do rozwiązania dla większości krajów europejskich. To nie jest już nasz problem z punktu widzenia Polski, ale nasz problem z punktu widzenia Europy, której jesteśmy częścią. W związku z tym rozwiązując problem w Polsce, nie do końca niestety się go pozbyliśmy.

Czy polski system jest wzorowany na systemie jakiegoś innego kraju. Czy gdzieś taki model już funkcjonuje?

Jest to system, z punktu widzenia konstrukcji ekonomicznej, bliźniaczo podobny do systemu, który tego samego dnia został wprowadzony w Szwecji. Dwa kraje o zupełnie różnej historii i zapatrywaniach

na wiele rzeczy, innym poziomie PKB na głowę, wprowadziły system o generalnie tych samych założeniach. To podobieństwo nie jest absolutnie przypadkiem, ponieważ oba nasze zespoły pracowały razem. To była bardzo owocna współpraca, którą na poziomie naukowym prowadzimy do dzisiaj. System, który ma pewne podobieństwo został również wprowadzony we Włoszech. Polska i Szwecja posiadają więc bardzo zbliżone, prawie że identyczne systemy, tworzone na zasadzie nie naśladownictwa, ale wspólnego konceptu. One się natomiast istotnie różnią w kilku sprawach technicznych, wynikających ze specyfiki krajów. Koledzy ze Szwecji zazdrościli nam trochę, że tutaj udało się wprowadzić kilka rozwiązań, w warunkach szwedzkich nie do zrealizowania. Mogliśmy zrobić więcej i bardziej logicznie. Z drugiej strony oni mają lepszą infrastrukturę, której nam brakuje. Ich ZUS działa naprawdę znakomicie. Mają lepsze rozwiązania systemowe, ich ZUS zbiera wszystkie podatki. Mają jeden kanał przepływu podatków, my zaś mamy dwa, czyli Urząd Skarbowy i ZUS — co jest niepotrzebne. W Polsce również powinniśmy do tego dążyć, ale nie jest to niestety proste. Musimy przede wszystkim pilnować, aby tych kanałów nie było więcej, bo przecież to się dzieje! Na przykład abonament radiowy i telewizyjny. Były próby przekierowania strumienia pieniężnego, który idzie ze składki zdrowotnej itd. Ale jest to widoczne również na co dzień, kiedy m.in. narzuca nam się obowiązek wymiany dowodów osobistych, za co musimy oddziennie zapłacić. To nie powinno mieć miejsca, jako że tworzy się w ten sposób dodatkowy podatek i dodatkowy kanał poboru pieniędzy. W efekcie powstaje niesterowalny, drogi moloch, złożony z różnych instytucji.

Z perspektywy kilku lat, które elementy reformy emerytalnej się udały, które wymagają jakiejś korekty, i gdzie widzi Pan pole do dalszych zmian?

Przede wszystkim uważam, że całe to przedsięwzięcie to gigantyczny sukces i mówię to nie dlatego, że jestem jednym z dwóch autorów koncepcji nowego systemu (drugim jest Michał Rutkowski). Ale jest to ocena obiektywna, oparta na relacjach i ocenach ekspertów spoza Polski. Jest to bardzo ważny punkt odniesienia dla wielu państw, które dziś chcą zmierzać w podobnym kierunku. Oczywiście nic nie jest doskonałe, ulepszeń może być

wiele, ta lista jest długa. Ale są to kwestie dodatkowe. Zasadnicza część zmiany systemu nastąpiła i się udała. Fundamentem całego przedsięwzięcia i największym sukcesem jest to, że składka emerytalna nie rośnie i nie będzie musiała rosnąć. System spłaci wszystko, co ma zapłacić bez przymusu podwyższania składek i podatków. Chodziło właśnie o to, żeby pomyśleć również o młodych ludziach i nie obniżać ich chęci do pracy, poprzez podwyższanie obciążeń związanych z ZUS-em. To się udało!

Natomiast jakie korekty trzeba jeszcze wprowadzić? Może kolejność nie będzie najważniejsza. Po pierwsze to wiek emerytalny kobiet. Dla nich nie jest korzystne, że przechodzą wcześniej na emeryturę. To ewidentne dla osób, które znają się na systemie emerytalnym i rynku pracy, ale wciąż nie rozumie tego większość. W starym systemie wcześniejsza emerytura była postrzegana jako przywilej. Nowy system jest dokładną odwrotnością starego i dziś ani wcześniejsza emerytura ani nierówny wiek emerytalny nie są korzystne, co dotyczy nie tylko kobiet, ale też służb mundurowych. Faktycz-

nie finansowym. W nowym *de facto* w ogóle nie ma potrzeby go wprowadzać, mógłby być dowolny, bo każdy w jasny sposób zarabia na siebie. Dla systemu jest to obojętne. Problem polega na tym, że mogłyby się znaleźć mało odpowiedzialne osoby, które np. w wieku 35 lat, potrzebując środków na jakiś cenny drobiazg, przechodziłyby na emeryturę na bardzo złych warunkach. Pytanie, co z nimi stałoby się dalej? Nie przeżyłyby za przysłowiowe 10 zł. Musimy więc stany kont ludzi „dopchnąć” do pewnego poziomu minimalnego, a potem jest już dowolność. Druga sprawa, która przemawia za utrzymaniem wieku emerytalnego, to podaż pracy. Dla rynku pracy byłoby bardzo niekorzystne, gdyby ludzie zbyt szybko z niego odpływali. Pamiętajmy, że nasi rodzice i dziadkowie, żyjąc statystycznie krócej, pracowali dłużej niż my teraz, choć żyjemy statystycznie dłużej. Jeśli chcielibyśmy odtworzyć sytuację sprzed kilku dekad, to wiek emerytalny powinien dziś wynosić około 80 lat. Tak było w okresie tworzenia systemów emerytalnych. Dziś trudno sobie wyobrazić, aby to wykonać na społeczeństwie. Ale warto do tego zachęcać, bo przy dobrowolnych decyzjach jest to jak

Jest to system, z punktu widzenia konstrukcji ekonomicznej, bliźniaczo podobny do systemu, który tego samego dnia został wprowadzony w Szwecji.

nie ten system dyskryminuje obie grupy. Równy wiek emerytalny czyni sytuację na rynku taką samą dla wszystkich, a więc nie dyskryminuje kobiet. Problemem jest percepcja społeczna, to, co ludzie zinternalizowali przez dziesiątki lat funkcjonowania starego systemu. Podkreślam, że nie chodzi mi tu o podnoszenie wieku emerytalnego, ale o jego ujednolicenie. Dlaczego? Ponieważ nowy system działa w sposób niezwykle *fair* wobec wszystkich; tzn. jeśli ktoś pracuje dłużej, to mu się to wyraźnie opłaca. Przyrost wartości emerytury jest rosnący, czyli z każdym następnym rokiem wzrost emerytury przyspiesza. Dlatego opłaca się długo pracować. W nowym systemie nie musisz pracować bardzo długo. Musisz pracować do określonego momentu, a potem decyzja należy do ciebie. Jeśli ktoś będzie pracował dłużej, będzie miał z tego tytułu wyraźne korzyści. Wiek emerytalny w nowym systemie ma rzeczywiście zupełnie inną treść niż w starym. W starym był zasadniczym parametrem

najbardziej możliwe. Nie należy więc nagradzać za szybkie wyjście z rynku pracy, a raczej zachęcać do tego, żeby ludzie dłużej na nim zostali. Mała dygresja: niektórzy myślą, że zwolnią miejsca pracy dla młodych, jeśli szybko wyjdą z rynku. Nic bardziej mylącego. W makroskali jest odwrotnie. Nie obowiązuje zasada: jak jeden od biurka wstanie, to drugi usiadzie. Dłuższe pozostawanie na rynku pracy jest korzystne dla młodych, ponieważ obniża ich koszty utrzymywania emerytów. Wracając do pytania — wyrównanie wieku emerytalnego nam się nie udało, mimo że do tego dążyliśmy. Niestety politykom zabrakło odwagi.

Druga korekta to pytanie, kto jest dziś objęty tym systemem. Ubezpieczenie powinno być powszechne, ale niestety ta powszechność jest niepełna. Największa grupa, pozostająca poza powszechnym systemem, to rolnicy, poza tym mundurowi i jeszcze kilka mniejszych grup. To jest szkodliwe

z dwóch powodów. Po pierwsze następuje fragmentacja systemu i w efekcie większe koszty dla wszystkich. Po drugie, dla mnie kwestia ważniejsza, to zamykanie ludzi w klatkach ich zawodów. Największą wadą KRUS-u nie są nawet ogromne koszty, jakie ponosi reszta społeczeństwa (co oczywiście jest też niezwykle szkodliwe), ale fakt, że ten system trzyma rolników na wsi. Rolnikom należałoby ułatwić podjęcie zajęć pozarolniczych, a KRUS to czynnik, który konserwuje obecną strukturę. W dużej mierze KRUS jest systemem pomocy społecznej dla biednych mieszkańców wsi, a nie

nia. Tutaj właśnie "złą robotę" robiły wcześniejsze emerytury, skutek naszej historii i stanu wojennego. Wcześniejsze emerytury wprowadzano po stanie wojennym, aby uspokoić społeczeństwo. To nas ciągle bardzo drogo kosztuje. Ustawa o emeryturach pomostowych likwiduje przyczyny, ale do likwidacji skutków jeszcze daleka droga. Ważne jest natomiast poszerzenie rynku pracy, aby zmiana pracy w zaawansowanym wieku nie była takim problemem jak dotychczas. Lepiej zainwestować w elastyczność osób 50+, niż w ich wczesną emeryturę. Bardzo ważne jest też czyszczenie zaszczości

Równy wiek emerytalny czyni sytuację na rynku taką samą dla wszystkich, a więc nie dyskryminuje kobiet.

systemem emerytalnym. Wydaje mi się jednak, że jeśli mamy już płacić na pomoc społeczną, to warto kierować ją tak, aby pomóc np. następnemu pokoleniu wyrwać się z pułapki biedy, a nie tą złą sytuację konserwować. Dziś czyni to KRUS.

A czy widzi Pan szansę na realną reformę KRUS-u, która mogłaby być zaakceptowana politycznie?

Tak, krok po kroku. Będzie to trudne, ale jest niezbędne. Liczy się determinacja. „Kartagina musi być zburzona”. Kolejny problem to emerytury mundurowych. Tu sytuacja jest szczególnie paradoksalna. Nam udało się tę sprawę rozwiązać. Wszyscy młodzi mundurowi zostali objęci reformą nowym systemem, więc niedługo nie byłoby tego problemu. Niestety politycy cofnęli ją, bodajże w 2002 roku. Dziś usiłuje się wprowadzić ułamek tej reformy, która już była. Ruch z 2002 roku to absolutna dewastacja systemu, ogromny błąd. Okazuje się, że łatwiej było przeprowadzić politycznie jedną wielką reformę, którą wiele osób traktowało jako coś bardzo ważnego, niż teraz uczestniczyć w drobnych targach o każdy zapis.

Kolejnym problemem były emerytury pomostowe. To jest fantastyczne osiągnięcie rządu Donalda Tuska. Przygotowano je od razu w 1999 roku, ale niestety wtedy wprowadzić się tych zmian nie udało. Potem wszystkie rządy to odkładały, aż do teraz. Wydaje mi się, że rząd wygrał na tym również PR-owo, co jasno pokazuje, że odwaga procentuje. Kolejna rzecz, która w Polsce bardzo źle wpływa na system emerytalny, to niski wskaźnik zatrudnie-

historycznych, które w Polsce ciągle negatywnie oddziałują na system emerytalny. Wcześniejsze emerytury są problemem wszędzie w Europie, ale skala tego problemu w Polsce była zdecydowanie większa. Warto jednak tego pilnować, aby wcześniejsze emerytury nie zostały ponownie wprowadzone "tylnymi drzwiami".

Mamy jeszcze jeden problem wizerunkowy. Istnieją dwie części powszechnego systemu emerytalnego. Jedną z nich zarządza ZUS, tj. instytucja, która kierowała starym systemem, czyli niejako twarz systemu jest taka sama jak kiedyś. Tymczasem, i to ważne, a często niedostrzegane, ta część systemu, zarządzana przez ZUS, działa na dokładanie tych samych zasadach, co część, zarządzana przez prywatne fundusze. Problem polega jednak na postrzeganiu zobowiązań obu części systemu. Ludziom wydaje się, że w OFE to „pieniądze” są, a w ZUS-ie ich nie ma. Jeśli człowiek ma rachunek w OFE, to otrzymuje dokładne podsumowanie konta swojego rachunku na wzór tego, co otrzymujemy np. z banków. Ludzie powinni dostawać identyczny wyciąg z ZUS-u na tych samych zasadach. To, co dostajemy (jeśli dostajemy) z ZUS-u, jest pod tym względem ułomne. Mówi o takich samych zobowiązaniach systemu wobec nas, ale w sposób, który jest mniej wiarygodny. To bardzo niedobre dla postrzegania systemu przez jego uczestników. Nie chodzi tu o sam system, lecz o motywację jego uczestników. Zniekształcona percepcja to nieoptymalne działanie. Z ZUS-u powinniśmy dostawać informacje identyczne co do formy, z tymi otrzymywanymi z OFE. W obu przypadkach mowa jest bowiem o tym samym, czyli

wartości zobowiązań systemu wobec każdego pojedynczego uczestnika.

W końcu dochodzimy do kolejnego wyzwania, związanego już z poziomem europejskim. Eurostat, a raczej Komisja Europejska, zalicza środki z OFE do długu publicznego. To pogarsza nam statystyki, co ma znaczenie w procesie uzyskiwania pełnego członkostwa w Unii Europejskiej, czyli wejścia do strefy euro. Informacja o deficycie Polski jest zawyżona w porównaniu z deficytem innych krajów. Cóż, wiarygodność kredytowa Polski jest niższa od wiarygodności wielu innych krajów, np. Niemiec. W związku z tym obsługa długu jest kosztowniejsza, a tym samym dla nas bardziej niebezpieczna. Powinniśmy więc dług i deficyt kontrolować jeszcze bardziej starannie niż inne kraje. Generalnie więc krzywda nam się z tego powodu nie dzieje, bo jest to dobre dla rozwoju kraju, z wyjątkiem jednej kwestii, czyli drogi do euro. Po prostu trudniej będzie nam spełnić kryteria. Damy radę. Warto jednak spojrzeć na ten problem szerzej i dostrzec szansę, jaka kryje się w tej sytuacji. Unia Europejska bardzo potrzebuje głębokiego przemyślenia zasad dotyczących traktowania zadłużenia systemów społecznych, z których emerytalny jest zdecydowanie największy. Nasze doświadczenie może okazać się nieocenione w dyskusjach i działaniach, które wcześniej czy później doprowadzą do "przeorania" finansów publicznych. Najogólniej chodzi o przejście z księgowania kasowego na memoriałowe (*accrual accounting*), które daje o wiele lepszą informację o faktycznym stanie finansów. Tak księgowane są finanse firm. Pozwoliłoby to na większą przejrzystość i otwarcie drogi głębokim reformom strukturalnym — chociaż utrudniłoby politykom obiecywanie "gruszek na wierzbie". Możemy w tych działaniach odegrać znaczącą rolę, ale to temat na inną dyskusję.

Na koniec przypomnę jeszcze kilka podstawowych faktów, dotyczących systemu emerytalnego. Jest to wciąż potrzebne, ponieważ są one często prze-

inaczane i mylnie interpretowane. Polski system emerytalny składa się z dwóch kont. Jedno konto, jest zarządzane przez towarzystwa emerytalne, wykorzystując instrumenty finansowe i prywatne instytucje. Drugim zarządza ZUS, nie posługując się instrumentami finansowymi, ZUS wykorzystuje tzw. gospodarkę realną. Używanie dwóch metod jednocześnie stabilizuje system. Obecny kryzys pokazuje, jak oba te elementy wzajemnie się wspierają. Nasze składki dzielone są między dwa konta, przepływają przez te konta i zostawiają tam swój ślad w postaci zobowiązań. Następnie środki te są wydawane, by mogły wygenerować stopę zwrotu. Dla nas ważne są narastające zobowiązania, zapisane na tych kontach. Z punktu widzenia uczestników systemu te konta są do siebie bliźniaczo podobne, choć oczywiście zupełnie inaczej zarządzane. Ale to już kwestia głównie techniczna. Po przejściu na emeryturę środki te wracają do nas (pomnożone) w postaci strumienia wypłat (*annuitetu*).

Czy widzi Pan szansę na implementację tego systemu w innych krajach europejskich?

To jest pewne. Pytanie kiedy i na ile będzie to robione, czy połowicznie z dużymi kosztami, czy bardziej odważnie. W Polsce zrobiliśmy to szybko i dzięki temu dużo oszczędziliśmy. Z resztą warto podkreślić, że to nie była reforma, ale wymiana całego systemu. Dzięki temu nowy system jest prosty i przejrzysty. Będzie to tym silniej tworzyło pozytywne efekty dla uczestników, im szybciej zinternalizują oni jego funkcjonowanie. Największym wyzwaniem tak naprawdę jest więc edukacja ekonomiczna i zmiana języka, w którym mówimy o ekonomii. Ekonomia nie jest antyspołeczna. Takie jej postrzeganie wynika na ogół z niewłaściwego języka, jaki jest stosowany w debacie publicznej. Musimy więc pracować nad jasnym i przejrzystym komunikatem dla społeczeństwa. Jeśli to przewyciężymy, to o wiele łatwiej będzie wprowadzać mądre reformy. ■

O autorze:

Marek Góra

Profesor nadzwyczajny Szkoły Głównej Handlowej w Warszawie. Pracował z wieloma zagranicznymi uczelniami i instytucjami (Erasmus University Rotterdam, London School of Economics, IFO Economic Research Institute w Monachium). Jest autorem wielu krajowych i zagranicznych publikacji, głównie z zakresu ekonomii pracy oraz ekonomii emerytalnej. Współautor projektu nowego polskiego systemu emerytalnego w 1990 roku.



Małgorzata Starczewska-Krzysztosek

Polska przedsiębiorczość — poszukiwanie ścieżek rozwoju

Restrukturyzacja polskiego sektora przedsiębiorstw rozpoczęła się od podziału, od procesu wydzielania ze struktur przedsiębiorstw tych obszarów, które nie stanowiły podstawy ich działalności.

Przedsiębiorca prywatny to w społecznym postrzeganiu człowiek dobrze wykształcony, zamożny, ale jednocześnie oszczędny i rozsądnie wydający pieniądze. Inwestuje w firmę nie licząc na szybki zysk. Niestety jednak obnosi się ze swoim bogactwem, raczej nie przestrzega prawa, nie jest ideałem pracodawcy. Ma też mało czasu dla rodziny i znajomych. [1] Obraz przedsiębiorcy w oczach polskiego społeczeństwa nie jest zatem jednoznaczny. Jednak 68 proc. Polaków twierdzi, że działalność firm prywatnych jest korzystna dla społeczeństwa, a jedynie 2 proc. uważa, że zdecydowanie nie jest korzystna. A zapytani o to, czy zachęcaliby własne dzieci do rozpoczęcia działalności gospodarczej, Polacy w ponad 55 proc. odpowiadają, że tak.[1]

Przedsiębiorcy prywatni, jak na krótką historię obecności w polskim życiu gospodarczym i społecznym, mają zatem już dość silną pozycję społeczną. Ale początki nie były łatwe. Przedsiębiorczość w Polsce była bowiem budowana bez kapitału, bez doświadczenia, bez wiedzy o zarządzaniu firmą w gospodarce rynkowej, bez dostępu do *know-how*, bez dostosowanego do warunków gospodarki rynkowej systemu prawnego, w warunkach olbrzymiej niepewności, wysokiej inflacji, niewymienialnego złotego. Przy dominacji wielkich państwowych przedsiębiorstw, do których należały środki trwałe, rynki zbytu, klienci

GOSPODARKA

i kapitał, którym wtedy dysponowała polska gospodarka. Do państwa należały również banki, które miały ograniczoną wiedzę, podobnie zresztą jak państwowe przedsiębiorstwa, o tym jak prowadzić działalność gospodarczą w nowych, rynkowych warunkach. Dzisiaj nadal brakuje kapitału, ale wiedza i doświadczenie przedsiębiorców są już znacznie większe. System prawny jest co prawda dostosowany do gospodarki rynkowej, ale to nie znaczy, że bardziej przyjazny dla działalności gospodarczej. Inflacja nie daje się już we znaki, ale wymienialność złotego jest ciągle jednostronna. Ponad 85 proc. kapi-

Transformacja polskiej gospodarki nie zaczęła się w 1989 r., ale już w roku poprzednim. W 1988 r. Sejm uchwalił bowiem ustawę o działalności gospodarczej (23 grudnia), zwaną ustawą Wilczka (przestała obowiązywać z końcem 2000 r.). Ustawa ta była najbardziej liberalną regulacją działalności gospodarczej, jaką do dnia dzisiejszego udało się uchwalić.

tału akcyjnego banków komercyjnych należy do inwestorów prywatnych.[2] Jesteśmy w Unii Europejskiej, ale ciągle poza strefą euro. No i mamy cykliczne wahania koniunktury gospodarczej

W końcu lat 80. działało w Polsce 600 tys. prywatnych zakładów rzemieślniczych. Zatrudniały one 1,5 mln pracowników. [3] Polska zatem nawet w okresie socjalizmu nie była przedsiębiorczą pustynią, jak wiele innych gospodarek centralnie planowanych w tym czasie. Jednak to nie rzemieślnicza aktywność zbudowała dzisiejszy sektor przedsiębiorstw prywatnych. Na rzemieślniczej aktywności wyrosło bowiem po 1989 r. jedynie 300 tys. firm.[3] To mniej niż 10 proc. zarejestrowanych dzisiaj podmiotów gospodarczych.[4] Polska przedsiębiorczość poszła zatem inną ścieżką — budowy sektora przedsiębiorstw prywatnych obok rzemiosła, po części na bazie przedsiębiorstw państwowych, w ogromnej mierze jednak od podstaw, bazując na własnych marzeniach, pomysłach, chęci uczestniczenia w zmianach społecznych i gospodarczych i wpływania na te zmiany. Nie była i nie jest to ścieżka łatwa. Miała swoje trudne i łatwiejsze „odcinki”.

„Dziękuję w kolebce kto łeb urwał Hydrze...”

Faza I (1989–1997) — faza podziału i inicjowania nowej działalności gospodarczej

Transformacja polskiej gospodarki nie zaczęła się w 1989 r., ale już w roku poprzednim. W 1988 r. sejm uchwalił bowiem



ustawę o działalności gospodarczej (23 grudnia), zwaną ustawą Wilczka (przestała obowiązywać z końcem 2000 r.). Ustawa ta była najbardziej liberalną regulacją działalności gospodarczej, jaką do dnia dzisiejszego udało się uchwalić. Przygotowała grunt pod zmiany rynkowe, które przyszły wraz ze zmianą władzy w czerwcu 1989 r. Jak na warunki gospodarki centralnie planowanej, w której powstała była rewolucja, bowiem pozwalała każdemu prowadzić działalność gospodarczą na równych prawach i z wykorzystaniem zasady „co nie jest zabronione, jest dozwolone”. W warunkach gospodarki rynkowej stała się natomiast jej podstawą. W 1988 r. przygotowa-

Polska przedsiębiorczość poszła zatem inną ścieżką – budowy sektora przedsiębiorstw prywatnych obok rzemiosła, po części na bazie przedsiębiorstw państwowych, w ogromnej mierze jednak od podstaw, bazując na własnych marzeniach, pomysłach, chęci uczestniczenia w zmianach społecznych i gospodarczych i wpływania na te zmiany.

na została również ustawa Prawo Bankowe oraz ustawa o NBP (weszły w życie w 1989 r.), które zmieniły przepisy regulujące prowadzenie działalności bankowej, stworzyły możliwość prywatyzacji banków państwowych oraz powstawania banków prywatnych.

Polska gospodarka rynkowa miała zatem już na starcie trzy akty prawne, które pozwoliły na dynamiczny rozwój sektora przedsiębiorstw prywatnych. W 1993 r. zarejestrowało działalność już 1,94 mln firm. Do końca 1997 r. przybyło kolejnych 600 tys. przedsiębiorstw (było ich już ponad 2,5 mln), przy czym największe zmiany nastąpiły w latach 1996–1997. Ponad 90 proc. nowo zarejestrowanych firm były to przedsiębiorstwa osób fizycznych prowadzących działalność gospodarczą - polski sektor przedsiębiorstw prywatnych budowany był zatem przede wszystkim na samodzielnej działalności gospodarczej.

Sektor bankowy także się zmienił — z 18 banków państwowych w 1989 r. rozrósł się w 1997 r. do 89 banków komercyjnych, wśród których w 15 dominował kapitał państwowy, a 63 były to banki prywatne (w tym 29 banków to instytucje z przewagą kapitału zagranicznego). Te zmiany były nie do przecenienia. Bez rozbudowującego się sektora bankowego przedsiębiorczość w Polsce nie miałaby szans na rozwój.

Pierwsze lata transformacji polskiej gospodarki nie wróżyły sukcesu. W 1992 r. okazało się, że przedsiębiorstwa państwo-

we, które zostały „przeniesione” do gospodarki rynkowej, nie zawsze umieją sobie w niej radzić. Nie korzystają z rosnącego rynku, spada im sprzedaż, rosną koszty, ponoszą straty finansowe. Ich problemy przełożyły się na sytuację w bankach, w których miały zaciągnięte kredyty, często jeszcze przed 1990 r. Doprowadziło to do sytuacji, w której pojawiło się zagrożenie działania banków, nie spełniały bowiem wymogów kapitałowych, norm bezpieczeństwa. A zagrożenie działania banków to zagrożenie dla całej gospodarki, bowiem odcięta zostaje ona od najważniejszych źródeł finansowania. W odpowiedzi na tę trudną sytuację została przygotowana i wprowadzona w życie ustawa o finansowej restrukturyzacji przedsiębiorstw i banków (w 1993 r.), która miała pomóc rozwiązać tak problemy kapitałowe banków, jak i problemy przedsiębiorstw z zadłużeniem, ale także z brakiem umiejętności działania w nowych, rynkowych warunkach. Ustawa ta wywołała burzę, bowiem pozwoliła państwu na ingerencję w mechanizmy rynkowe, była w wielu opiniach zamachem na dokonujące się zmiany. Jednak z dzisiejszej perspektywy chyba nawet najwięksi przeciwnicy wprowadzonych w 1993 r. rozwiązań wycofują swoje zarzuty. Ustawa o finansowej restrukturyzacji przedsiębiorstw i banków zmieniła sektor bankowy i sektor przedsiębiorstw. Sektor bankowy, dokapitalizowany wyemitowanymi specjalnie w tym celu restrukturyzacyjnymi obligacjami skarbu państwa, stał się stabilny i bezpieczny. W zamian za dokapitalizowanie, banki zostały ustawowo zobowiązane do realizacji zadań, które w normalnych warunkach nie leżą w zakresie ich kompetencji — do restrukturyzacji nie tylko zadłużenia przedsiębiorstw, które z tym zadłużeniem sobie nie radziły, ale do restrukturyzacji działalności firm. Przygotowywały (często wraz z zewnętrznymi ekspertami, dzięki czemu — niejako przy okazji — zaczął się rozwijać rynek usług doradczych) plany restrukturyzacji poszczególnych podmiotów, decydowały o sposobie finansowania procesu ich restrukturyzacji. W efekcie banki uczyły się bezpośrednio w przedsiębiorstwach mechanizmów ich działania, rozumienia ich specyfiki. Dzięki temu dość szybko zaczęły tworzyć bardziej profesjonalne modele scoringowe do analizy firm i ryzyka kredytowego. Uczyły się zarządzania złymi długami. M.in. w efekcie tych działań polski system bankowy uniknął zagrożeń, które dotknęły banki w innych nowych gospodarkach rynkowych. Przedsię-

biorstwa natomiast uzyskały profesjonalne wsparcie w procesie restrukturyzacji i dostęp do zewnętrznych źródeł jego finansowania. Wiele z nich dzięki restrukturyzacji z początku lat 90. zostało sprywatyzowanych na korzystnych warunkach i bardzo dobrze sobie dzisiaj radzi.

Na czym bazowała koncepcja restrukturyzacji przedsiębiorstw zapoczątkowana przez działania banków? Analizy firm w większości przypadków wskazywały na nieefektywnie zbudowane w nich procesy biznesowe. Przedsiębiorstwa, które powstały i działały jeszcze przed 1989 r., miały w swoich strukturach wszystkie rodzaje działalności — i te związane z aktywnością podstawową, jak i „pomocnicze”, np. rozbudowane działy transportu wraz z flotą samochodową (firmy nietransportowe), rozbudowaną działalność socjalną (domy wczasowe, sanatoria), własne minipresiębiorstwa rolne, własne rozbudowane działy sprzątnia, etc. Bardzo często też działalność podstawowa była zbyt zdywersyfikowana. Dlatego restrukturyzacja polskiego sektora przedsiębiorstw rozpoczęła się od podziału, od procesu wydzielania ze struktur przedsiębiorstw tych obszarów, które nie stanowiły podstawy ich działalności. W oparciu o te wydzielone obszary (i majątek trwały z tą działalnością związany) tworzone były spółki-córki, które miały świadczyć usługi spółce-matce. Musiały jednak równocześnie poszukiwać na rynku innych odbiorców swoich usług, bowiem okazywało się zawsze, że te wydzielone w odrębne spółki zasoby są zbyt duże w stosunku do potrzeb spółki-matki. W większości przypadków wyodrębnione spółki-córki były przez firmę-właściciela później sprzedawane. W ten sposób — przez podział - rosła liczba przedsiębiorstw. W ten sposób także w pierwszej fazie rozwoju polskiego sektora przedsiębiorstw dokonano poważnej i efektywnej restrukturyzacji przedsiębiorstw państwowych, które działały jeszcze przed 1989 r. W efekcie zastosowanych procesów restrukturyzacyjnych zmniejszyło się przeciętne zatrudnienie w firmach. Niestety, wzrosło także bezrobocie.

Drugim, znacznie większym jeżeli chodzi o liczbę nowo powstających firm, źródłem zmian w sektorze przedsiębiorstw w pierwszej fazie jego rozwoju było zakładanie przez osoby fizyczne własnej działalności gospodarczej. Część tych firm zatrudniała pracowników, część bazowała na pracy właściciela

(czasami członków rodziny). Firmy te stosowały przede wszystkim strategię kosztową oraz strategię niszową. Musiały bowiem znaleźć dla siebie rynek — produktowy i geograficzny, a także — aby być konkurencyjnymi — musiały oferować towary i usługi taniej niż inne firmy. Strategie te okazały się skuteczne — przedsiębiorstwa nie tylko odpowiadały na rosnący popyt na istniejące towary i usługi, ale kreowały popyt na nowe produkty. Firmy wykorzystywały proste rezerwy — tak tkwiące w ich własnych strukturach, jak i na rynku. W efekcie Produkt Krajowy Brutto zmieniał się w końcu tej fazy w realnym tempie blisko 7 proc. w skali roku.

Proste rezerwy jednak kiedyś się kończą. Niezbędne staje się poszukiwanie innych strategii, aby mieć szansę na rozwój. Tak też się stało w przypadku polskich firm.

„...Ten młody zdusi Centaury...”

Faza II (1998–2000) — faza inwestycyjnego zwiększania efektywności działania

Podziały, które dokonywały się w latach 1989–1997, pozwoliły firmom na umocnienie pozycji na rynku, zmniejszenie kosztów, poprawę systemu zarządzania, znaczne wzmocnienie kondycji finansowej. Przedsiębiorstwa zatrzymywały wyprowadzone zyski netto, zwiększając w ten sposób swoje zdolności

W 2008 r. nastawienie firm do realizowanej w poprzednich trzech latach strategii, zmieniło się. Wypracowane i zakumulowane zyski pozwoliły im zacząć myśleć o zmianie strategii, o poszukiwaniu szczególnych zdolności, które przedsiębiorstwo mogą wyróżniać.

akumulacyjne, a także kredytowe. Rynki, na których działały (produktowe, geograficzne), nie rozwijały się już tak szybko, jak w Fazie I. Przyszedł zatem czas na zmianę strategii tak, aby móc wykorzystać zbudowany w pierwszym okresie potencjał. Przedsiębiorstwa zaczęły dostrzegać znaczenie odróżniania się od innych firm. Wiele z nich zmieniło strategię z kosztowej na strategię dyferencjacji. Przestał im także wystarczać rynek lokalny. Zaczęły myśleć o sprzedaży na innych rynkach. Do tego niezbędne jednak było zwiększenie możliwości produkcyjnych, a także dostęp do nowych kanałów dystrybucji. Oba te cele mogły zostać zrealizowane najszybciej przez inwestycje w fuzje i przejęcia, a także przez proces prywatyzacji. Firmy inwestowały również w rozbudowę własnych możliwości produkcyjnych (rozwój wewnętrzny), jednak cechą charakte-

ryzującą Fazę II było nasilenie się procesów łączenia się firm oraz procesów prywatyzacji.

Do 2000 roku sprywatyzowano banki komercyjne, które powstały na początku lat 90. z wydzielenia ze struktur NBP (np. Bank Zachodni), a także PeKaO S.A. i PZU. Sprywatyzowane zostały także TP S.A. i Elektrociepłownie Warszawskie. Łącznie w latach 1998–2000 wpływy do budżetu z tytułu prywatyzacji wyniosły 47,6 mld zł. Wpływy do budżetu są oczywiście ważne, ważniejsze jednak, że prywatyzowane przedsiębiorstwa zyskały inwestorów strategicznych, dzięki którym mogły zwiększać produkcję i sprzedaż, korzystać z know-how dostarczanego przez spółki właścicielskie, korzystać z ich kanałów dystrybucji. Dzisiaj wszystkie te firmy i instytucje finansowe są jednymi z największych i najlepiej rozwijających się na polskim rynku.

W Fazie II nasiliły się także procesy konsolidacyjne. Tylko w 2000 r. odbyło się w Polsce 381 fuzji i przejęć (M&A). Jednak duża liczba M&A nie wpłynęła na aktywność Polaków związaną z zakładaniem własnych firm. Tylko w ciągu trzech lat II Fazy przybyło netto (różnica między nowo zarejestrowanymi przedsiębiorstwami a firmami wyrejestrowanymi) 550 tys. przedsiębiorstw, w tym ponad 410 tys. to przedsiębiorstwa osób fizycznych prowadzących działalność gospodarczą. Jednak w 2000 r. na 3,2 mln zarejestrowanych w systemie REGON podmiotów gospodarczych tylko 1,77 było aktywnych [5]. Podobne proporcje dotyczące relacji między firmami zarejestrowanymi a aktywnymi utrzymują się we wszystkich latach. Wydaje się, że polska przedsiębiorczość jest „słomiana” — gdy mamy pomysł na działalność gospodarczą, chcemy natychmiast go zrealizować. Gdy przedsięwzięcie nie udaje się, rezygnujemy. Jednak nie wyrejestrowujemy naszej działalności z systemu ewidencji działalności gospodarczej czy to z myślą o nowych przedsięwzięciach w przyszłości, czy też z powodu zniechęcenia. Faza II charakteryzująca się „porządkowaniem” sektora przedsiębiorstw w grupie firm średnich i dużych (bo tych dotyczyła prywatyzacja i konsolidacja) została zahamowana w wyniku osłabienia gospodarczego. Przedsiębiorstwa musiały podjąć działania, które pozwoliłyby im przetrwać ten okres.

Restrukturyzacja polskiego sektora przedsiębiorstw rozpoczęła się od podziału, od procesu wydzielenia ze struktur przedsiębiorstw tych obszarów, które nie stanowiły podstawy ich działalności.



„...Piektu ofiarę wydrze...”

Faza III (2001–2003) — faza przetrwania

W 2001 r. przyszło silne osłabienie gospodarcze - dynamika PKB spadła do 1,2 proc. (r/r). Spadł popyt i inwestycje. Przedsiębiorstwa musiały akceptować mniejszą sprzedaż i odłożenie planów rozwojowych na przyszłość. Wróciły do strategii kosztowej — cięły koszty, bowiem malejąca sprzedaż zwiększała koszty jednostkowe i powodowała, że firmy przestały być konkurencyjne cenowo na rynku. W pierwszej kolejności przedsiębiorstwa ograniczyły wydatki na promocję i reklamę. Jednak te redukcje nie wystarczyły. Firmy musiały przeprowadzić restrukturyzację zatrudnienia. Okazało się, że w Fazie I mimo, iż przeprowadzały one restrukturyzację swojej działalności, nie podjęły się dokonania restrukturyzacji zatrudnienia. Osłabienie gospodarcze taką restrukturyzację wymusiło. Można przyjąć, że w III Fazie zakończył się proces uruchamiania rezerw prostych dla poprawy sytuacji przedsiębiorstw. Strategia ta dała efekt, bowiem w okresie kryzysu nie tylko w polskiej gospodarce, ale w okresie znacznie silniejszego osłabienia u naszych zagranicznych kontrahentów, polskim przedsiębiorstwom udało się zwiększyć eksport. Wzrósł również odsetek firm-eksporterów. Polskie firmy — konkurencyjne cenowo, ale wtedy jeszcze z niezbyt wysoką jakością produktów, znalazły dla siebie miejsce w osłabionych europejskich gospodarkach.

Okres „przetrwania” okazał się zatem okresem bardzo aktywnym — firmy nie skoncentrowały się jedynie na ograniczaniu kosztów, ale aktywnie szukały dla siebie rynków zbytu, I udało im się to. Mimo osłabienia koniunktury gospodarczej w latach 2001-2003 liczba zarejestrowanej działalności gospodarczej netto wzrosła o ponad 400 tys., w tym 290 tys. to osoby fizyczne prowadzące działalność gospodarczą. Wyjaśnienie tego wzrostu liczby zarejestrowanych firm znajduje się zapewne w rosnącym bezrobociu. Osoby tracące pracę szukały dla siebie rozwiązania i znajdowały je — w podejmowaniu działalności gospodarczej. Niestety w większości nie były to udane przedsięwzięcia, bowiem liczba firm aktywnych spadła w tym okresie w stosunku do 2000 r. do 1,73 mln. Rok 2003, jego 2. połowa, był już okresem wychodzenia z osłabienia gospodarczego. Zapewne istotnym czynnikiem okazało się tu planowane na maj 2004 r. wejście Polski do UE.

„...Ten młody zdusi Centaury...”

Faza IV (2004-2008) — faza przebudowy modelu konkurencji

Wejście Polski do UE otworzyło nowe możliwości rozwoju przedsiębiorstw. Jeszcze przed wejściem Polski do UE przedsiębiorcy z sektora małych i średnich przedsiębiorstw pragmatycznie patrzyli na efekty rozszerzenia Unii — 27,8 proc. oczekiwało pozytywnych zmian, 32,2 proc. uważało, że zmiany będą miały charakter zarówno pozytywny, jak i negatywny.[6] Tylko 7,5 proc. uważało, że rozszerzenie UE będzie miało negatywny wpływ na ich działalność, a aż 32,5 proc. nie oczekiwało żadnych zmian. Przez pozytywne zmiany przedsiębiorcy rozumieli poprawę dostępu do funduszy unijnych, wzrost popytu na produkty polskie na rynku unijnych, poprawę dostępności kredytów, poprawę wyników finansowych, wzrost możliwości eksportowych, wzrost popytu na produkty polskie na rynku polskim. Przedsiębiorstwa wyrażały jednak także obawy związane z wejściem Polski do UE. Spodziewały się wzrostu inflacji i wzrostu konkurencji. Konkurencja rzeczywiście wzrosła, ale polskie firmy radzą sobie z nią całkiem dobrze. Do swojej „pierwotnej” przewagi konkurencyjnej — cen — dołączyły jakość produktów i usług oraz jakość obsługi klienta. Powoli toruje sobie drogę także innowacyjność. Inflacja była podwyższona tylko w 2004 r. Zwiększyła się wartość środków unijnych dostępnych polskim firmom, jednak dostęp ten nie był (i nie jest) łatwy ze względu na uciążliwe procedury. Wzrósł popyt na polskie towary tak na rynku europejskim, jak i na rynku polskim. Co roku przedsiębiorstwa osiągały bardzo dobre wyniki finansowe. Poprawił się również dostęp do zewnętrznych źródeł finansowania. To w dużej mierze efekt wejścia do UE, ale także — dobrej koniunktury gospodarczej na świecie.

Fazę IV można podzielić na dwa podokresy. W latach 2004-2007 firmy koncentrowały się na wykrzestaniu dobrej koniunktury. Jeżeli inwestowały, to po to, aby rozszerzyć swoje możliwości produkcyjne, a nie wprowadzać istotne innowacje. Jednak firmom zależało, aby inwestycje pozwalały na podnoszenie jakości produktów. Ponadto duża liczba firm-eksporterów, głównie firm z sektora małych i średnich przedsiębiorstw, rezygnowała z działalności eksportowej (w 2003. liczba eksporterów wynosiła ponad 50 tys., w 2006 r. było ich

już 31,8 tys.), widząc większą szansę dla swojego rozwoju na rosnącym rynku polskim. Decyzje takie podejmowały firmy, w których udział eksportu w przychodach ogółem nie był wysoki. Rezygnowały z aktywności na rynkach poza Polską ze względu na wysokie koszty transakcyjne, które musiały w związku z eksportem ponosić. Koncentracja na rynku polskim pozwalała im zmniejszyć ryzyko działalności, a tym samym obniżyć koszty.

W 2008 r. nastawienie firm do realizowanej w poprzednich trzech latach strategii, zmieniło się. Wypracowane i zakumulowane zyski pozwoliły im zacząć myśleć o zmianie strategii, o poszukiwaniu szczególnych zdolności, które przedsiębiorstwo mogło wyróżniać. Rozpoczął się drugi podokres Fazy IV. Badania PKPP Lewiatan z września 2008 r. [7] wskazują, że firmy dostrzegły znacznie reputacji oraz innowacji dla budowania pozycji konkurencyjnej. Jednak proces budowania pozycji konkurencyjnej na marce oraz na innowacyjności, jeszcze dobrze nie rozpoczęły, został przerwany przez kryzys na światowych rynkach finansowych oraz osłabienie gospodarcze na świecie i Polsce. Szkoda tej zmarnowanej szansy. Dzisiaj polskie przedsiębiorstwa realizowałyby już przedsięwzięcia innowacyjne w sferze procesowej, produkcyjnej, organizacyjnej i marketingowej. Byłby to milowy krok w ich rozwoju, bowiem do tej pory niechętnie wydawały pieniądze na B+R. Realizacja tej strategii jest zatem jeszcze przed przedsiębiorstwami. Pytanie, ile będą potrzebowały czasu, aby po osłabieniu gospodarczym do niej wrócić.

„...Piektu ofiarę wydrze...”

Faza V (2009–) — faza przetrwania

Dobra koniunktura skończyła się bardzo gwałtownie. Firmy nie były na to przygotowane. Z badań zrealizowanych przez PKPP Lewiatan we wrześniu 2008 r. wynika, że większość (ponad 75 proc.) firm małych i średnich oczekiwała w 2009 r. wzrostu przychodów ze sprzedaży i wzrostu zysków. Duży odsetek firm planował w 2009 r. inwestycje. Część firm planowała również powrót na rynki zewnętrzne. Dzisiaj zajmuje je „przetrwanie”. Tak, jak w latach 2001-2002 tną koszty — szczególnie na promocję i reklamę. Zwalniają także pracowników, ale skala zwolnień jest nieporównanie mniejsza niż przy poprzednim osłabieniu gospodarczym. Są też optymistami. Badania NBP, a także badania PKPP

Lewiatan zrealizowane w czerwcu 2009 r. potwierdzają ten optymizm. Przedsiębiorstwa chcą się rozwijać i z kryzysem im nie po drodze. Tym bardziej, że ciągle mają dużo do zrobienia.

„...Do nieba pójdzie po laury” ?

Polska przedsiębiorczość jest ciągle słaba. Jesteśmy w UE na szóstym miejscu pod względem liczby ludności, ale dopiero na dziewiątym pod względem przedsiębiorczości mierzonej liczbą firm na 1000 mieszkańców. Mamy zatem jeszcze dużo do zrobienia. Na razie przedsiębiorstwa uczą się żyć z wahaniami koniunktury gospodarczej i dojrzewają do ważnych zmian — koncentracji na innowacjach i wspieraniu budowy kapitału ludzkiego. Jak na 20 lat szukania własnej ścieżki rozwoju — osiągnęliśmy całkiem dużo. ■

Literatura:

- [1] *Świadomość ekonomiczna społeczeństwa i wizerunek biznesu*, red. L.Kolarska-Bobińska, ISP, 2004
- [2] NBP
- [3] www.zrp.pl
- [4] Na dzień 31.12.2008 r. w systemie REGON zarejestrowanych było 3,63 mln przedsiębiorstw prywatnych; w: Zmiany strukturalne grup podmiotów gospodarki narodowej w 2008 r., GUS, 20.02.2009
- [5] GUS szacuje liczbę aktywnych firm na podstawie przesyłanych do niego ankiet strukturalnych. W grupie mikroprzedsiębiorstw szacuje się liczbę firm aktywnych wykorzystując metodę reprezentacyjną.
- [6] Monitoring kondycji sektora MSP 2005, PKPP Lewiatan
- [7] Monitoring kondycji sektora MSP 2008, PKPP Lewiatan

Cytaty — Adam Mickiewicz, *Oda do młodości*

O autorze:

Małgorzata Starczewska-Krzysztozek

Szefowa ekspertów w Polskiej Konfederacji Pracodawców Prywatnych, dyrektor Departamentu Analiz Ekonomicznych PKPP Lewiatan. Jest doktorem ekonomii na Wydziale Nauk Ekonomicznych Uniwersytetu Warszawskiego. Autorka badania „Konkurencyjność sektora małych i średnich przedsiębiorstw – 2005”

Witold Gadomski

SPLATA DŁUGU PO II RP



Cechą charakterystyczną II RP była nacjonalizacja, na przykład Zakładów Mechanicznych w Ursusie, hut: „Pokój”, „Królewska”, „Laura”, Zakładów Scheibler i Grohman. Prywatyzacja była zjawiskiem rzadkim.

Porównanie dwóch 20-leci Polski niepodległej, oddalonych od siebie 70 latami niespokojnego wieku XX jest zadaniem karkołomnym. Nie tylko dlatego, że mamy do czynienia z dwiema różnymi epokami, innymi społeczeństwami, odmiennymi standardami zachowań, a przede wszystkim zupełnie innymi warunkami do osiągnięcia w polityce zamierzonych celów. Inny też był punkt startu do niepodległości. Porównuję te dwie epoki nie po to, by wykazać wyższość jednej nad drugą, lecz by podkreślić różnice, a przy okazji odnieść się do kilku mitów.

Historia zatoczyła koło

Porównanie wypada zacząć od stwierdzenia oczywistego: przedwojenna Polska była krajem o wiele biedniejszym niż III RP i pod wieloma względami zacofanym. Statystycy posługiwali się innymi miarami, więc trudno jest bezpośrednio porównać poziom PKB. O ile wiem, nikt też nie pokusił się o dokonanie takich szacunków. Ośmiela mnie to do przedstawienia

własnych. Na podstawie historycznych porównań międzynarodowych oraz danych GUS-u, dotyczących produkcji rolnej, przemysłowej i górniczej szacuję, że w roku 1929 PKB Polski wynosił 50–60 mld dolarów (według obecnej wartości dolara), czyli 1600–2000 dolarów na głowę mieszkańca. W roku 2007 PKB Polski wyniósł 422 mld dolarów, a uwzględniając parytet siły nabywczej złotego i dolara — 590 mld dolarów. Jesteśmy mniej więcej 8–10-krotnie bogatsi niż nasi dziadkowie. To znaczy, że przez ostatnie 70 lat rozwijaliśmy się w średnim tempie (uwzględniając katastrofę wojny i okupacji) 2,3 proc. Nie było to tempo wolne, ale też nie mamy powodu do szczególnej satysfakcji. W podobnym tempie rozwijał się cały świat. W gruncie rzeczy pozycja Polski w świecie — mierzona potencjałem

Szacuję, że w roku 1929 PKB Polski wynosił 50–60 mld dolarów (według obecnej wartości dolara), czyli 1600–2000 dolarów na głowę mieszkańca. W roku 2007 PKB Polski wyniósł 422 mld dolarów, a uwzględniając parytet siły nabywczej złotego i dolara — 590 mld dolarów. Jesteśmy mniej więcej 8–10-krotnie bogatsi niż nasi dziadkowie.

gospodarczym — jest dziś niewiele większa niż przed II wojną światową. Jej najlepszym miernikiem jest udział polskiego eksportu w obrotach światowych, który w roku 2007 wynosił 1,1 proc., 70 lat wcześniej 0,8 proc.

Dwie modernizacje

II Rzeczpospolita była krajem rolniczo-przemysłowym, w którym 2/3 ludności utrzymywało się z rolnictwa. To wskaźnik typowy dla kraju, w którym dokonuje się pierwsza fala modernizacji — urbanizacja, industrializacja, tworzenie się wielkich zakładów przemysłowych, ze szczególnym uwzględnieniem przemysłu ciężkiego. W roku 1931 w górnictwie i przemyśle pracowało 1675 tysięcy robotników i 106 tysięcy pracowników umysłowych. Kryzys gospodarczy lat 1929–1933, który w Polsce był wyjątkowo głęboki, zatrzymał industrializację, która dopiero pod koniec lat 30. nabrała ogromnej dynamiki. W latach 1936–1938 Polska była jednym z najszybciej rozwijających się krajów na świecie.

W ciągu 10 lat (1921–1931) udział ludności żyjącej w miastach wzrósł z 24,6 do 27,2 proc., a w końcu lat 30. przekroczył 30 proc. Liczba ludności Warszawy wzrosła o ponad 200 tysięcy, Łodzi o 150 tysięcy, Poznania o blisko 100 tysięcy. Bardzo szybko rosła liczba ludności w należących do Polski

miastach Górnego Śląska. To była nie tylko zasługa migracji ze wsi do miast, ale też przyrostu naturalnego, który należał do najszybszych w Europie.

Do końca II RP sytuacja w rolnictwie była jednak najważniejszym problemem, jeżeli nie gospodarczym, to społecznym i politycznym. Reforma rolna i poprawa struktury agrarnej udała się tylko częściowo. Rozwiązaniem byłaby szybka industrializacja, ale wymagałaby ona ogromnego nakładu kapitałów, których w Polsce brakowało.

Ważnym wyzwaniem dla modernizatorów była także likwidacja analfabetyzmu — w 1921 roku 33,1 proc. ludności Polski nie potrafiło czytać i pisać. Na wsi było to aż 38 proc. Dziesięć lat później analfabetów było już „tylko” 23,1 proc., przy czym na wsiach 27,6 proc. Nie mamy informacji o analfabetyzmie

Praktycznie nikt nie zauważał, że kilka milionów przedsiębiorczych, zwykle lepiej od Polaków wykształconych Żydów, mających międzynarodowe powiązania gospodarcze, jest wielkim bogactwem Polski. Tyle że wykorzystanie tego atutu wymagałoby silniejszej integracji Żydów z państwem polskim, a wiele ścieżek kariery było w II RP dla nich zamknięte.

w ostatnich latach II RP (spis powszechny był zaplanowany na rok 1941, z oczywistych względów się nie odbył), ale z wycinkowych danych wynika, że postęp edukacji podstawowej był szybki i analfabetyzm — poza rejonami najbardziej zacofanymi — przestawał być problemem.

W III RP rewolucja edukacyjna dokonała się na szczeblu wyższym. Liczba studentów wzrosła niemal pięciokrotnie i Polska stała się jednym z najlepiej wykształconych krajów w Europie. Tak przynajmniej wynika z liczb, gdyż do jakości kształcenia można mieć wiele zastrzeżeń. III RP zaczęła się wówczas, gdy w krajach wysokorozwiniętych zaawansowany był proces, który Alvin Toffler nazwał trzecią falą modernizacji. Zaczyna się wtedy zmniejszać liczba pracowników produkcyjnych, szybko rośnie rola usług i nowoczesnych technologii.

Wyzwania, które stanęły przed krajami wcześniej uprzemysłowionymi według zasad centralnego planowania, były dramatyczne. Należało rozmontować dużą część przemysłu i przebudować w sposób rynkowy. Efekty, jakie osiągnęliśmy, były bardziej imponujące niż w II RP. Wprawdzie koszty społeczne były znaczne — można je mierzyć liczbą osób, które wycofały się z aktywności zawodowej — ale po 20 latach transformacji struktura polskiej gospodarki jest lepiej dopasowana do po-

trzeb wynikających z kooperacji ze światem niż w okresie II RP. W roku 1923 polski eksport wyniósł 2056 mln zł, w 1938 — 1185 mln zł. Wprawdzie realny spadek był mniejszy (ceny

I wojna światowa oznaczała gwałtowny odwrót od globalizacji. O ile w roku 1914 zagraniczne aktywa w stosunku do PKB w całym świecie stanowiły 17,5 proc., o tyle w 1930 już tylko 8,4 proc. i ten wskaźnik nieustannie spadał.

światowe wówczas spadały), ale w najlepszym wypadku można mówić o stagnacji eksportu. Tymczasem w III RP eksport, będący miarą dopasowania krajowej gospodarki do rynków światowych, wzrósł w ciągu 20 lat przeszło dwudziestokrotnie.

Gospodarka narodowa

Żyjąc od ponad pół wieku w państwie jednolitym narodowo, nie zawsze pamiętamy, że II RP była mieszkanką kilku narodów, a konflikty na tle narodowościowym były na porządku dziennym. W gospodarce szczególnie znacząca była rola osób narodowości żydowskiej. W 1938 roku na 469 tysięcy zakładów handlowych prawie połowę stanowiły zakłady należące do Żydów, nieco ponad 40 proc. do katolików, a właściciele reszty zakładów wyznawali inne religie lub nie podawali o tym informacji.

„Kwestia żydowska” była silnie powiązana ze sprawami gospodarczymi. Niemal wszyscy politycy i intelektualiści zgadzali się, że jest to kwestia bardzo istotna dla Polski. Proponowano różne jej rozwiązania — od emigracji po asymilację ludności pochodzenia mojżeszowego. Być może najoryginalniejsza była propozycja środowiska skupionego wokół „Słowa”, tygodnika wychodzącego w Wilnie — dotyczyła ona stworzenia samorządnych gmin żydowskich, prowadzących własną politykę podatkową i społeczną.

Na drugim krańcu była endecja, wzywająca do bojkotu żydowskich sklepów i rzemiosła. Polskie elity „kwestię żydowską” uważały za obciążenie, trudny problem do rozwiązania. Praktycznie nikt nie zauważał, że kilka milionów przedsiębiorczych, zwykle lepiej od Polaków wykształconych Żydów mających międzynarodowe powiązania gospodarcze jest wielkim bogactwem Polski. Tyle że wykorzystanie tego atutu wymagałoby silniejszej integracji Żydów z państwem polskim, a wiele ścieżek kariery było w II RP dla nich zamkniętych.

Żydzi, którzy wyemigrowali do USA, bez trudu zaadoptowali się w społeczeństwie amerykańskim, stając się często

wybitnymi naukowcami, prawnikami, bankierami. Dlaczego nie było to możliwe w II RP? To temat na osobne rozważania, ale warto je podjąć.

Odpyływ i przypyływ globalizacji

I wojna światowa oznaczała gwałtowny odwrót od globalizacji. O ile w roku 1914 zagraniczne aktywa w stosunku do PKB w całym świecie stanowiły 17,5 proc., o tyle w 1930 już tylko 8,4 proc. i ten wskaźnik nieustannie spadał. Światowy eksport, który w 1913 roku stanowił około 8 proc. światowego PKB, spadł w latach 30. do około 5 proc. Świat się zamykał, odgradzał barierami celnymi, na porządku dziennym były wojny handlowe. Ten międzynarodowy kontekst jest ważny, jeśli chcemy rozumieć politykę gospodarczą II RP.

Naszym najważniejszym partnerem handlowym były Niemcy — największy kraj europejski, z którym Polska miała najdłuższą granicę. Na kraj ten przypadała mniej więcej połowa obrotów handlowych Polski. Gdy w roku 1925 wygasała klauzula największego uprzywilejowania, którą Polska miała w handlu z Niemcami na mocy Traktatu Wersalskiego, Niemcy uzależniły zawarcie stałego traktatu handlowego z Polską od ustępstw politycznych. Skończyło się to wojną handlową, w wyniku której obroty handlowe między obydwojema państwami spadły — bardziej zresztą import z Niemiec niż polski eksport do tego kraju. O ile jednak Polska była dla Niemiec drugorzędnym partnerem, to polska gospodarka odczuła napięcia z Niemcami bardzo boleśnie.

Zagrożenie z zewnątrz — gospodarcze, ale także polityczne i militarne — było istotnym determinantem polityki gospodarczej przedwojennych rządów. Gdy w drugiej połowie lat 30. rząd postanowił stworzyć Centralny Okręg Przemysłowy, został on ulokowany w Polsce centralnej, niemal w równej odległości od nieprzyjaznych Niemiec i Rosji. Również druga sztandarowa inwestycja II RP — Gdynia — miała silny kontekst polityczny. Chodziło o uniezależnienie się od portu w Gdańsku, który co prawda był kontrolowany przez polskie władze, ale liczone się z groźbą utraty tej kontroli.

Etatyzm

Nieprzyjazne otoczenie, szczupłość krajowego kapitału oraz ogromne problemy logistyczne wynikające z konieczności integracji trzech różnych organizmów gospodarczych, powodowały, że przedwojenne rządy musiały, chcąc nie chcąc, silnie angażować się w sprawy gospodarcze. Etatyzm jako hasło był niepopularny. Opozycja zarzucała każdemu rządowi poczynania etatystyczne, a rządy się broniły, twierdząc, że z etatyzmem nie mają nic wspólnego. Ale zastępowały prywatny kapitał w roli przedsiębiorców i modernizatorów. Według szacunku historyków gospodarczych należące do państwa przedsiębiorstwa wytwarzały około 30 proc. PKB. To bardzo dużo, jeśli weźmiemy pod uwagę znaczną rolę rolnictwa (na szczęście prywatnego) oraz drobnego rzemiosła i handlu. W bankowości i dużym przemyśle rola państwa była decydująca.

W ciągu 20 lat niepodległości państwowa własność rozszerzała się. Najbardziej znaczące sukcesy gospodarcze II RP — ujednolicenie dróg kolejowych, budowa Gdyni, COP, Zakładów Azotowych — to zasługa państwa. Mało kto dziś pamięta, że państwowy sektor przynosił niewielkie zyski i pochłaniał szczupłe zasoby kapitałowe. III RP startowała z drugiego końca, od gospodarki niemal całkowicie kontrolowanej przez państwo, lecz struktura własności szybko zmieniała się na korzyść sektora prywatnego. Cechą charakterystyczną II RP była nacjonalizacja, na przykład Zakładów Mechanicznych w Ursusie, hut: „Pokoń”, „Królewska”, „Laura”, Zakładów Scheibler i Grohman. Prywatyzacja była zjawiskiem rzadkim.

III RP wystartowała w momencie, gdy na całym świecie dominowały liberalne poglądy na gospodarkę. Prywatyzacja była jednym z podstawowych celów transformacji i choć stopniowo zamarła, zmiany własnościowe (także na skutek tworzenia prywatnych firm od podstaw) są jednym z najważniejszych fenomenów ostatnich 20 lat. Często zazdrościmy sprawności państwa II RP. Ot choćby państwowa fabryka obrabiarek w Rzeszowie powstała w ciągu kilku miesięcy, w ramach inwestycji w Centralny Okręg Przemysłowy. Dziś same plany i uzgodnienia trwałyby kilka lat. Ale prywatny sektor potrafi dziś skuteczniej gromadzić kapitał i inwestować niż w II RP.

Unoszeni przez koniunkturę

III RP natrafiła na wyjątkowo korzystną koniunkturę międzynarodową, dzięki której miała ułatwioną transformację, otrzymała znaczne wsparcie finansowe, a przede wszystkim nie napotkała przeszkód w kontaktach gospodarczych z zagranicą. Gdy na początku lat 20. kolejne rządy próbowały przeprowadzić reformę walutową, największym problemem było uzyskanie zagranicznych pożyczek, stabilizujących polską walutę. Ponieważ kraj był postrzegany jako mało wiarygodny, wierzyciele żądali zabezpieczeń w towarach lub prawach do pewnych dochodów państwa. Włosi udzielili pożyczki 12 mln dolarów zabezpieczonych przez monopol tytoniowy, Szwedzi 6 mln w zamian za dochody monopolu zapalczanego. Za wielki sukces uznawano pożyczkę stabilizacyjną, wynegocjowaną w 1927 roku w Stanach Zjednoczonych — 62 milionów dolarów i 2 milionów funtów (niecały 1 mld dzisiejszych dolarów).

III RP była w momencie powstania faktycznym bankrutem, lecz z powodów politycznych cieszyła się poparciem Stanów Zjednoczonych i międzynarodowych instytucji finansowych, na które rząd USA ma duży wpływ — MFW i Banku Światowego. Reforma Balcerowicza była osłaniana przez Fundusz Stabilizacyjny w kwocie ponad 1 mld USD, będący darowizną dla Polski. Powstanie funduszu zostało wynegocjowane w ciągu kilku tygodni. Zanim odzyskaliśmy zaufanie rynków finansowych, do kraju wpłynęło kilka miliardów dolarów pożyczek z MFW i Banku Światowego. Porozumienie z wierzycielami, skupionymi w Klubie Paryskim (pożycz-

ki gwarantowane przez rządy) i Londyńskim (banki komercyjne) zawarte w roku 1991 i 1993 pozwoliły nie tylko zredukować dług, odziedziczony po PRL, ale przede wszystkim otworzyły drogę Polsce, polskim bankom i firmom do międzynarodowego rynku kapitałowego.

Dobra koniunktura polityczna dla Polski, która przekłada się pozytywnie na gospodarkę, wynika nie tylko z upadku totalitaryzmów i fali demokracji, ale także w pewnym sensie jest efektem moralnego długu odczuwanego wobec Polski przez Stany Zjednoczone, Europę, a przede wszystkim Niemcy. Moralnym wierzycielem była II RP, zdradzona przez sojuszników i rozbita przez Hitlera i Stalina. W III RP otrzymaliśmy za to częściową rekompensatę. Ostatnią jej ratą są miliardy euro z funduszu strukturalnego Unii Europejskiej. Za kilka lat ten napływ pomocy się skończy. Trzeba będzie żyć na własny rachunek. ■

O autorze:

Witold Gadomski

Publicysta ekonomiczny „Gazety Wyborczej”. Absolwent Wydziału Nauk Ekonomicznych na Uniwersytecie Warszawskim. W stanie wojennym był założycielem miesięcznika „Niepodległość”, promującego idee liberalne. Jest laureatem Nagrody Kisiela. Autor biografii Leszka Balcerowicza.



Ciacek Gutkowski Meller Passent Trzciński Jażdżewski



„Pokolenie '89 to dojrzewanie w komunie, stosunek do komunizmu od lekkiej niechęci po zwalczanie systemu, pierwsze w życiu głosowanie w 1989 roku, a potem „róbta co chceta”, czyli każdy poszedł w swoją stronę. Jest to najbardziej fuksiarskie pokolenie Polski” — Marcin Meller.

Zapis debaty z dnia 16 czerwca 2009 roku, spotkanie odbyło się w Skwerze — filii Centrum Artystycznego Fabryka Trzciny przy Skwerze Hoovera w Warszawie.

Prowadzenie: Leszek Jażdżewski, redaktor naczelny „Liberte!”

Leszek Jażdżewski: Spotkaliśmy się dziś, aby porozmawiać o Pokoleniu '89. Czy w ogóle możemy mówić o tym, że istnieje taka grupa jak Pokolenie '89, czyli grupa osób, która rozpoczęła swoje „dorosłe” życie w roku 1989, a dziś jest mniej więcej w wieku lat 40? Czy ta grupa ma jakieś cechy wspólne? Zanim przejdziemy jednak do tego zasadniczego pytania naszej debaty, chciałbym, żeby każdy z debatujących pokrótce

opisał, z jakim bagażem doświadczeń wchodził w rok 1989, z jakiej perspektywy obserwował czy uczestniczył w polskim przełomie.

Agata Passent: Rok 1989 i upadek muru berlińskiego w ogóle nie zastał mnie w Polsce. Należałam do grupy osób, która żyła w postawie głębokiej ignorancji. Ja dopiero faktycznie od roku 1993 nadrabiam swoje zaległości, uzupełniam wiedzę z dziedziny historyczno-politycznej. W czasach PRL-u byłam odizolowanym dzieckiem we mgle. Należałam do grupy osób, których rodzice korzystali z tamtego systemu, można powiedzieć, że byli tam notablami. W moim domu o sprawach historyczno-narodowych rozmawiano mało. Po roku 1989 byłam nadal trochę bez tożsamości, nie wiedziałam, co tu się dzieje, przebywałam wtedy w Stanach, zajęta trochę egoistycznie sobą i walką o przetrwanie w wyścigu szczurów na prestiżowej amerykańskiej uczelni. Różne ważne książki takie jak wspomnienia Wata, które ukazały się dużo wcześniej, przeczytałam dopiero jakieś 16 lat temu. Wyrastam więc z grupy osób, które dorastały w pewnym zakłamaniu. Uważałam, że tamten system miał wiele dobrych stron, wiele kwestii z mojej wczesnej młodości wspominam bardzo dobrze, a teraz musimy te wspomnienia zrewidować.

Paweł Ciacek: Dla mnie w sensie formacyjnym rok 1989 to wyzwolenie, to dokończenie działań, które podejmowaliśmy w czasach komuny. Dla mnie KOR, Jacek Kuroń, to była część dzielnicy, w której mieszkalem i dorastałem, to było moje środowisko, moja formacja, moja wrażliwość, więc cieszyłem się, że nam się udało.

L. J.: To ja chciałbym spytać radykała z NZS-u, jak to wszystko wyglądało z drugiej strony?

Marcin Meller: Jak słucham Agaty, to widzę dwa zupełnie różne światy. Ja od początku byłem po drugiej stronie. Pamiętam, jak mój ojciec przez długi czas był bez pracy, musiał zarabiać na życie jako kasjer po roku 1968. Pamiętam moją niezwykle odważną nauczycielkę historii, która wbrew oficjalnej wersji mówiła nam prawdę o Katyniu. Dla mnie ważnym momentem były wydarzenia roku 1980, miałem wtedy 12 lat, ale widziałem, że co innego mówią w telewizji, a co innego mówi mi ojciec. Można powiedzieć, że niechęć do Generała wysłałem z mlekiem matki. To było więc

naturalne, że zaraz w liceum zaczęła się jakaś dziecinna konspiracja. Wydawanie gazetek, rozmowy, to z resztą było liceum Reja, generalnie bardzo liberalne. Pamiętam tę atmosferę na pogrzebie Popiełuszki, gdzie był cały Rej. Także u mnie taka postawa nie wymagała jakiegoś specjalnego wysiłku intelektualnego, to po prostu wypływało z mojego otoczenia, z rodziny, ze szkoły, z dzielnicy. Potem był to też efekt studiów na Wydziale Historycznym, atmosfera po Kuroniu, Kołakowskim, Michniku tam trwała, tam się nie tyle studiowało, co konspirowało.

L. J.: Dostrzegam zatem wiekowe pęknięcie pomiędzy Pawłem i Marcinem, którzy, będąc kilka lat starsi, załapali się na wydarzenia stanu wojennego, a tymi młodszymi, których biograficznie to ominęło.

Stanisław Trzciński: Tak, to prawda, jeśli chodzi o mnie, rocznik 1972, zaznałem smaku PRL, a wychowywałem się w bardziej artystycznych i wolnych od propagandy środowiskach. Ale zdecydowanie apolitycznych. Ale pamiętam, że ojciec po premierze Kołedy — Nocki, którą skomponował, przypiął znaczek Gdańsk 1970, wypowiadając się w Dzienniku Telewizyjnym. Niestety, Solidarność roku 1980 była dla mnie wyłącznie medialnym wydarzeniem. Wspominam, że w grudniu 1981 większość rodziców moich kolegów i koleżanek z ursynowskiego osiedla szła do wojska — nie do więzienia, ale do wojska. A mój ojciec wyjechał na pół roku do USA. Dla mnie decydująca chyba była ponowna przeprowadzka z powrotem na Żoliborz w roku 1986. Zamieszkałem wtedy obok kościoła Popiełuszki, w którym prężnie działał Klub Inteligencji Katolickiej, no i brało się udział w licznych zadymach. Nie jestem praktykującym katolikiem, ale tamten ferment na mnie wpłynął bardzo inspirująco. Do tego co najmniej setka knujących przeciw systemowi przyjaciół w warszawskich liceach. Zaczęło się roznoszenie ulotek, gazetek itp. Aktywnie działałem we władzach Międzyszkolnego Komitetu Solidarności, wydawałem gazety w drugim obiegu, przywoziłem książki drugiego obiegu z Londynu itp. Okupowaliśmy przez dwa dni gmach ZSMP, a także uczestniczyliśmy aktywnie w strajku NZS na UW w 1988 roku. Potem zaangażowałem się w kampanię w wyborach w '89 roku w sztabie Jacka Kuronia, co było dla mnie okresem naprawdę niezwykłym, czystym i nie boję się tego

© Fundacja Ośrodek KARTA



© Fundacja Ośrodek KARTA



słowa — pięknym. Pamiętam zresztą trochę ten kontrast, kiedy my z Adasiem Wajrakiem kleiliśmy plakaty, a Agata z rakieta na plecach szła grać w tenisa. Dla mnie społecznie decydujący i formujący mój światopogląd był okres aktywności przy różnych wyborach u boku Jacka Kuronia do 1993 roku. Ludzie, których dzięki Jackowi poznałem, to była elita intelektualna Polski. Bardzo mocno zastanawiałem się wtedy, w którą stronę powinienem dalej iść. Jacek Kuroń uczył nas, że każdy powinien mieć swoją działkę, w której będzie pracował i tworzył tak, aby ten kraj mógł się rozwijać i niekoniecznie to musi być działalność polityczna. No i poszedłem w muzykę, estetykę, kulturę. Po 20 latach uważam, że trochę wylaliśmy dziecko z kąpielą, ponieważ w naszym pokoleniu, a już szczególnie wśród osób w pokoleniu Marcina, był potencjał polityczny. Kiedy dziś patrzę na ludzi zaangażowanych w politykę, to nie widzę ludzi z naszego pokolenia. Nawet jeśli oni wiekowo są w tej grupie, to ja ich nie pamiętam z wydarzeń roku 1989 czy 1991. Wydaje się, że było ogromne zapotrzebowanie na ludzi w różnych innych kierunkach, głównie biznesowych, dziennikarskich i reklamowych, a to spowodowało pewne wysianie ludzi ze strefy publicznej.

A. P.: Wydaje mi się, że kluczowe było jednak to, co powiedział Marcin, czyli atmosfera w rodzinie. Ty wysłałeś z mlekiem matki pogląd, że tamta Polska jest czymś złym. Moi rodzice byli nieszczęśliwi, że żyją w Polsce komunistycznej, ale byli szczęśliwi, że w ogóle żyją. Aspekt Holocaustu był jednak bardzo silny. Kiedy teraz czytam wspomnienia mojej mamy z roku 1968, to w jej pamiętnikach jest zachwyt, że możemy być nad jeziorami, że żyjemy, mamy co jeść, jest ciekawa proza Hłaski, że ktoś przeżył z całej rodziny. Mama nigdy nie była zrzeszona w żadnym Stowarzyszeniu, ale działała na swój sposób, taki, jaki był możliwy dla poetki i kobiety. Pisała listy, wystawiała się na tyle, na ile była odważna. Była zafascynowana Michnikiem, nie wiem, czy teraz po latach dalej byłaby taka zafascynowana, jestem tego ciekawa. Jej wspomnienia, które pisała dla niego, kiedy siedział, to był specjalny pamiętnik.

Trzciński: Jacek uczył nas, że każdy powinien mieć swoją działkę, w której będzie pracował tak, aby ten kraj mógł się rozwijać i niekoniecznie to musi być działalność polityczna. Po dwudziestu latach uważam, że trochę wylaliśmy dziecko z kąpielą, ponieważ w naszym pokoleniu, a już szczególnie wśród osób w pokoleniu Marcina, był potencjał polityczny.

Pisanie wierszy, które dają ludziom nadzieję — to też uważam za formę angażowania się.

P. C.: Wydaje mi się to dość naturalne dla środowiska artystycznego. Artyści mogą działać na zewnątrz, układać ładne historie, opisywać piękno przyrody. Natomiast moje wspomnienie stanu wojennego to poczucie zimna, kiedy moja mama budzi mnie rano i biegniemy razem do naszego malucha zapalanego na szcztokę i jedziemy przez te śniegi, żeby sprawdzić, kogo z naszych bliskich zabrali.

S. T.: Po raz kolejny widzimy, że to, w jakim towarzystwie przebywałeś, jest bardzo istotne. I to nie do końca musi być rodzina. Ale bliscy ludzie...

L. J.: Szymonie, a co wtedy pchnęło młodego matematyka, żeby zostać zaraz później asystentem Jacka Kuronia?

Szymon Gutkowski: Rzeczywiście, od 1989 roku zmieniło się dużo. Zaczynając od tego, że wtedy siedzielibyśmy w kościele w podziemiach, a teraz siedzimy i rozmawiamy w centrum artystycznym [Skwer – filia Fabryki Trzciny prowadzonej przez Wojciecha Trzcińskiego, ojca Stanisława — przyp. red.]. Jeśli chodzi o mnie, moje doświadczenie lokuje się gdzieś pomiędzy waszymi doświadczeniami. O Katyniu nie musiałem dowiadywać w szkole, bo mój dziadek zginął w Katyniu. Jak poszedłem do szkoły to już wiedziałem, że jednego dziadka zabili mi Faszyści, a drugiego Stalinowcy. Mój ojciec nigdy nie był w partii, a w Solidarności był raczej milionowym członkiem, a nie setnym, ponieważ przyglądał się wszystkiemu z dystansem. Ojciec mi mówił: „Historii będziesz się uczył tutaj, a nie w szkole. Wartości będziesz się uczył w domu, nie dowiesz się tego ani w szkole, ani w kościele”. Przez to trochę więc uważałem, że szkoła jest bez sensu. Nie mam natomiast za sobą jednego bardzo ważnego doświadczenia naszego pokolenia, tj. stanu wojennego. Ponieważ, gdy była lekka odwilż w 1980 roku mój ojciec dostał kontrakt, został profesorem na Uniwersytecie w Nigerii i tam wyjechaliśmy. Jak wróciłem w roku 1986 to miałem kompleks „stanu wojennego”. Przez ten kompleks miałem straszną presję, żeby się wykazać, chociaż w tym ostatnim momencie byłem przewodniczącym liceum Reya i działałem w Międzyszkolnym Komitecie Solidarności. Ła-

twiej było mi myśleć o Okrągłym Stole i ewentualnym porozumieniu z „czerwonymi”, łatwiej było myśleć o tym, że Jaruzelski odegrał dużą rolę, bo stan wojenny mógł się inaczej potoczyć, ponieważ go nie przeżyłem. Kiedy Paweł Ciacek przedzierał się przez śnieg w Warszawie, martwiąc się o swoich bliskich, to ja wówczas wspinałem się na drzewa w Afryce, żeby rozpiąć drut, który służył nam za antenę do słuchania Wolnej Europy. Pamiętam poczucie, że ziemia nam się zarwała, poczucie, że de facto nie mamy państwa. Już w Polsce pamiętam też to wielkie wzruszenie w roku 1989. Plac Konstytucji, gdzie wykrzykiwano nazwy kolejnych województw, gdzie wygrała Solidarność, pamiętam, jak tam stałem i leciały mi łzy, choć miałem już 19 lat.

A. P.: A czy wy jesteście rozczarowani moim pokoleniem, ludzi 4 — 5 lat młodszych od was, tym, że nie jesteście zaangażowani?

P. C.: To jest bardzo ciekawe i wynika również z badań nad frekwencją wyborczą. Rzeczywiście, rocznik '74, '75 i młodszy to jest pokolenie braku zaangażowania. Oni na ogół nie głosują, a jak chodzą, to nie są konsekwentni w swoich wyborach. To jest pokolenie, które niejako już nie załapało się na rok 1989.

A. P.: Ja jestem totalnie rozczarowana postawą moich rówieśników. Zapewne państwo wiedzą, że od kilku lat ludzie się spotykają i są tu takie specjalne dni Organizacji Pożytku Publicznego. Chodzę na takie spotkania regularnie od trzech lat i bardzo często bywa tak, że publiczność liczy tylko cztery osoby! Nie mówiąc już o mediach, które powinny to wspierać.

M. M.: Dla mnie znaczące było to, co się stało, kiedy Roman Giertych został ministrem edukacji. Wydawało mi się, że warszawskie uczelnie są liberalne, studiują na nich dziesiątki tysięcy osób, a na największą demonstrację antygiertychowską przyszło raptem niecałe 2 000 osób. Chociaż jednocześnie pamiętam takie pytanie: „Dlaczego ty Marcin nie angażujesz się przeciwko Giertychowi?”. I pamiętam moją reakcję: „Ja już przecież swoje zrobiłem”. Na podstawie takich reakcji, również swoich, oraz frekwencji w wyborach uważam, że Polacy przestają się po prostu cokolwiek przejmować. Zajmujemy się rodziną, przyjaciółmi i tyle.

P. C.: OK, ale wróćmy do dawnych czasów, po stanie wojennym. Ty Marcin byłeś bardzo zaangażowanym liderem. Przychodzi rok 1989, każdy idzie swoją drogą, jeden robi agencję reklamową, drugi jest dziennikarzem. Rok 1989 to była dla mnie gigantyczna szansa i już wiedziałem, że będę robił badania, że będę z tego żył i miał z tego pieniądze. Ale co się stało z naszym zaangażowaniem społecznym, które było przedtem? Czy uznaliśmy, że poprzednio to była dla nas jakaś forma bycia razem, taka towarzyska walka o wolność?

A. P.: A może było trochę tak, że kiedyś był jeden cel, który was jednocił, a teraz jest ich bardzo wiele, jak choćby ekologia, prawa gejów i to się tak rozczłonkowało?

S. T.: To jest chyba myśl przewodnia tych 20 lat. Ale tak naprawdę nie jest źle — każdy robi to, co umie, co mu wychodzi i prze do przodu, buduje Polskę na swoim polu. I to jest w ogóle genialnie dla państwa, w którym żyjemy. Tylko że niestety idzie to w parze z brakiem aktywności w sferze publicznej. I tak dalej nie można. Trzeba będzie się kiedyś zaangażować!

P. C.: Marcin napisał kiedyś tekst o pokoleniu '89, w którym pytał nas i siebie, co się stało z naszą publiczną aktywnością.

M. M.: Szkoda, że w Polsce nie stało się to, co stało się na Węgrzech, kiedy powstał FIDESZ, czyli partia młodych ludzi, węgierski odpowiednik NZS-u. FIDESZ zaraz po '89 przekształcił się w partię polityczną. Oni są teraz wielkim prawniczym ruchem, coś pomiędzy PO i PiS. Cały czas się zastanawiam, co by było, gdybyśmy w Polsce powtórzyli ten ruch. Przecież Orban stając na czele partii był daleko przed 30-stką. Kto wie, co by się stało, gdyby ktoś od nas miał odwagę zrobić taki ruch. Ale nikt nie miał. Tam też było łatwiej, bo nie było tego silnego starszego pokolenia, nie było Wałęsy, nie było Geremka, Kaczyńskich itd. Może taka partia mogłaby połączyć różne środowiska, bo de facto jest tak, że mnie od Pawła Poncyliusza z PiS-u nie dzieli tak wiele poza tym, że on jest w PiS-ie, a ja tej partii serdecznie nie znoszę.

P. C.: Ale czy bylibyśmy w stanie tam wnieść jakąś nową wartość?

S. T.: Plusem mogłoby być to, że młodzi ludzie angażowaliby się w taki ruch mocniej niż w Unię Demokratyczną czy Porozumienie Centrum. Taki projekt mógłby pozyskać bardzo sensownych młodych i zdolnych ludzi do działalności publicznej. Przecież ja pamiętam to załamywanie rąk nad różnymi naszymi legendami i przy kolejnych porażkach, a zaczęło się od wygranej Stana Tymińskiego nad Tadeuszem Mazowieckim w I turze wyborów w 1990 roku — brakowało młodych, dynamicznych osób.

P. C.: Dla mnie to, co jest bardzo słabe, to mechanizmy partyjne w Polsce — w partiach nie działają pozytywne mechanizmy społeczne, idziesz tam, żeby zrobić karierę, a nie, żeby zmieniać świat. W polityce czy raczej w politykach oba te elementy powinny współwystępować. Czyli i chęć wybiecia się, i poczucie, że polityka jest także służbą społeczną i tym właśnie różni się od biznesu.

S. T.: Ja sądzę, że różne głupie sprawy, które nas wkurzają, dzieją się trochę dlatego, że brakuje nam reprezentantów naszego pokolenia w życiu publicznym. Jednocześnie uważam, że ta Polska NGO-sowa rozwija się doskonale dzięki kilku wybitnym osobom. A brakuje nas w partiach.

S. G.: Doskonale rzeczy można realizować właśnie w NGO-sach. Mimo że one się rozwinęły, to jednak przeciętny Duńczyk dziesięciokrotnie częściej należy do organizacji społecznej niż Polak. Jesteśmy na samym końcu Europy. Myślę, że można dużo więcej zrobić, łącząc NGO-sy z pracą zawodową. Ktoś powinien naszym pokoleniem potrzęsnać. Dostaliśmy wolność w prezencie i robimy za mało by o nią dbać. Oczywiście trochę robimy, np. płacimy podatki, ale to nie wystarczy.

S. T.: Powiedziałeś jedną ważną rzecz, że nie trzeba koniecznie myśleć kategoriami partyjnymi. I właśnie tak myśli nasze pokolenie, tak myśli elita intelektualna naszego pokolenia. Sam mówiłeś, że najpierw pracujemy na siebie, potem na jakiś samorząd zawodowy itd. A za 20 lat, jak ten lord w Londynie, będzie można pójść do Parlamentu i służyć krajowi, mając już swój osobisty dorobek i pieniądze do końca życia. Obawiam się, że nie na tym niestety polega w Polsce skuteczne uczestniczenie w życiu publicznym. Nie mam prawa tego krytykować, bo sam nie zaangażowałem się w te partyjne

działania, ale niestety potrzebujemy ludzi, którzy wejdą do tych struktur politycznych, o których ty mówisz, że to nie jest niezbędne! Ale nie mam pomysłu, jak to zrobić w praktyce. Próbowaliśmy 5 lat temu skrzyknąć taki Think Tank w Pałacu Kultury. Pamiętacie? Po siedmiu spotkaniach uznaliśmy, że jest na to jeszcze za wcześnie. Uważam, że wielka szkoda. Trzeba to jakoś inaczej wymyślić.

Meller: Może taka partia mogłaby połączyć różne środowiska, bo de facto jest tak, że mnie od Pawła Poncyliusza z PiS, nie dzieli nic poza tym, że on jest w PiS, a ja tej partii serdecznie nie znoszę.

P. C.: Nie tylko ty nie masz pomysłu. Jesteśmy w pewnym sensie pokoleniem bezpartyjnym. W roku 1989 mieliśmy poczucie, że uczestniczymy w ogólnonarodowym zrywie. Wszyscy się cieszyli. To, co robiliśmy wtedy, było właśnie niepartyjne. To było myślenie o tym, że coś może się nam udać. Inicjatywa RAZEM 89 pokazuje, że można działać wspólnie.

S. T.: A ja właśnie dostrzegam brak jakichkolwiek działań partyjnych wśród przedstawicieli naszego pokolenia i uważam to za duży błąd. Powtórzę — wylaliśmy dziecko z kąpielą, stając się antypartyjni.

L. J.: Chciałbym, żebyśmy przeszli od szczegółów waszych biografii do ogólnych podsumowań. Marcin Meller sformułował ciekawą tezę, w której stwierdza, że brak odwagi spowodował np. rozpad dobrze zorganizowanego środowiska NZS-u, które działało przecież w pewnej opozycji wobec elity Solidarności.

M. M.: Myślę, że zabrakło odwagi i doświadczenia. Gdyby Piskorski był wówczas starszy o pięć lat, to on by to zrobił. W roku 1989 sam się zastanawiałem, czy iść na te wybory. Miałem wtedy radykalne poglądy, uważałem, że to jest zbyt daleko idący kompromis, że komunę należy dobić, ale potem mi przeszło. Zmierzam do tego, że nawet ci w NZS-ie, którzy angażowali się w wybory, robili to z lekko zaciśniętym nosem. W tym sensie, że starszaki nas wystawiły do wiatru, ale i tak trzeba poprzeć Solidarność.



© Fundacja Ośrodek KARTA



© Fundacja Ośrodek KARTA



© Fundacja Ośrodek KARTA

S. G.: Czy rzeczywiście mleko się wylało? Uważam, że gdyby nie było sejmu kontraktowego, to Mazowiecki by sobie nie poradził z przegłosowaniem większości ustaw, mogłoby nie być planu Balcerowicza. Gdyby od razu zacząć radykalne rozliczenia z „komuną”, gdyby zacząć radykalnie zwalniać wszystkich dyrektorów departamentów w ministerstwach, to nikt by nie wiedział, jak sobie w ogóle z tym rządzeniem poradzić. Gdzie byś postawił kreskę, czy źli są tylko członkowie KC, czy wszyscy członkowie partii? Nasze pokolenie byłoby podzielone i żyłoby dziś tym, co robili rodzice. Dziś mimo lustracji to nie ma żadnego znaczenia.

M. M.: Ja uważam, że wręcz odwrotnie. To, że zaraz po 1989 roku nie zrobiono jakiejś formy dekomunizacji i lustracji, to masz to, że po 20 latach to się wciąż ciągnie za nami.

S. G.: Ja nie wiem, jak to można było skutecznie zrobić.

S. T.: Jak ja lubię te polskie debaty i brak zgody. Nawet my się mocno różnimy, co do diagnozy...

L. J.: Widać, że debaty o lustracji i Okrągłym Stole wciąż nas ożywiają. Ale mi chodziło o coś innego. Marcin Meller powiedział rzecz bardzo ważną, gdyby tam było kilka trochę starszych osób, np. Paweł Piskorski, to oni by tę rewolucję młodych poprowadzili. Mam wrażenie, że moje pokolenie ma ten sam problem obecnie. Mam poczucie, że wasze pokolenie nas zostawiło [Leszek Jażdżewski — rocznik 1982 — przyp.red.]. Gdzie wasze pokolenie jest w polityce? To są trzy osoby: Gierzych, Piskorski i Olejniczak. Nie prowadzicie nas ku polityce.

M. M.: Wydaje mi się, że Schetyna i ulubieniec Polski Gosiewski również wiekowo są do nas zbliżeni.

L. J.: Mentalnie Gosiewski jest z pokolenia Kaczyńskiego. A ja mówię o zaangażowaniu światłych osób, które są czołowymi dziennikarzami, marketingowcami itd. To jest wasze pokolenie. Młodą nadzieją partii, z którą się identyfikowałem, byli przez długi okres czasu 55-letni Władek Frasyniuk albo 45-letni Andrzej Potocki.

S. T.: Nie jestem politologiem, ale uważam, że w polityce zostały te osoby z naszego pokolenia, które wyznawały radykalne poglądy. Natomiast ci centrowo-liberalni w ogóle nie zaangażowali się w politykę, ponieważ zajęli się biznesem i zarabianiem pieniędzy. Ta gonitwa trwa i nie ma końca. Ideowcy wyszli z polityki.

S. G.: Ale czy mamy takie medium pokoleniowe, które nas reprezentuje i formuje? W psychologii jest taka technika opisująca rzeczy, nazywana personalizacją. Ile lat miałyby „Gazeta Wyborcza”, gdyby była człowiekiem?

M. M.: Dla mnie to jest taki wyłysiały facet ze strąkami z tyłu, który udaje, że ciągle ma 20 lat.

A. P.: Dla mnie medium pokoleniowym był program III Polskiego Radia. Tego się jednak słuchało. Wydaje mi się, że teraz Internet jeszcze bardziej rozrzedza ten przekaz.

M. M.: Wiadomo, że przez lata była to „Wyborcza”, która jednak przez realizowanie radykalnej linii zniechęciła do siebie bardzo wiele osób. Jedni dziś nie biorą do ręki „Wyborczej”, a drudzy „Rzeczpospolitej”.

A. P.: Chciałam się jeszcze odnieść do wypowiedzi Jażdżewskiego o osieroceniu młodych przez nas. Sądzę, że to młodzi są od robienia rewolucji. A tu się wydaje, że powinniśmy odnaleźć telefony do tych Francuzów z 1968, bo tylko w nich jest jeszcze nadzieja.

P. C.: Też mi się tak wydaje. Bardzo się cieszę, że to powiedziałaś. Prawda jest taka, że my możemy pomóc. Jeśli chodzi o utworzenie nowego ładu w Polsce, jak on ma wyglądać, to my się mniej więcej zgadzamy. Ale to zadanie należy do ludzi, którzy nie pamiętają już okresu PRL-u.

L. J.: Ale dlaczego 40-latkę kapitulują? Dlaczego oczekujesz od studenta, że założy partię? Dziś nie ma rewolucji, rewolucja to może była w 1980 roku.

P. C.: Myślę, że trzeba zadać pytanie, jakie są pragnienia ludzi, którzy się wychowali po 1989 roku. Na co młodzi mają poświęcać swoją energię, czy na rozwalanie systemu, czy na wyrąbywanie się

kierą swojego korytarzyka, którym będą szli do końca swoich dni? My patrzymy w przeszłość, która porządkuje nasze wartości i poglądy, natomiast wasze pokolenie może dążyć do zmiany systemu.

A. P.: Ja pamiętam hasło z ważnego dla mnie teatru: „Zróbmy coś, co by od nas zależało”.

S. G.: Przydałoby się nam natomiast spoiwo. No właśnie. Dlatego uważam, że w mediach za mało jest odpowiedzialności za sprawy publiczne. Chodzi wyłącznie o rankingi.

A. P.: Przepraszam cię Szymonie, ale jak wytłumaczysz swojemu klientowi, żeby przestał nadawać reklamę w jakiejś stacji?

S. G.: Nie, to niemożliwe. Uważam jednak, że TVN i Polsat powinny same nałożyć sobie element misyjności. „Gazeta Wyborcza” i „Rzeczpospolita” go mają. Ale „Wyborcza” jest cały czas gdzieś obok naszego pokolenia, mimo że Jarosław Kurski został redaktorem naczelnym.

M. M.: Wracając do kwestii pokoleniowej, przy okazji kręcenia pewnego filmu o Pokoleniu ‘89, ktoś słusznie zauważył, co to jest pokolenie. Przecież w 1968 roku w barykadach nie siedziało całe pokolenie. Większość nie siedziała. Pokolenie to elita, ci najbardziej aktywni. I u nas było podobnie, to byli ci w odpowiednim wieku i jednocześnie ci, którzy symbolicznym rzutem kamieniem w ZOMO przyczynili się do wolności. Jeśli szukamy przestrzeni wspólnoty kulturowej, to wydaje mi się, że ważniejszy od Trójki, a równie ważny co Herbert był Kult, Perfect, punk rock. Jak był rok 1988 i Kult grał Polskę, tysiące ludzi tego słuchały, dreszcze szły przez tłum, a emocje były naprawdę ogromne. Pokolenie ‘89 to dojrzewanie w komunie, stosunek do komunizmu od lekkiej niechęci po zwalczanie systemu, pierwsze w życiu głosowanie w 1989 roku, a potem „róbta co chceta”, czyli każdy poszedł w swoją stronę. Jest to najbardziej fuksiarskie pokolenie Polski.

L. J.: A jaki jest wasz stosunek do pokolenia waszych rodziców, wobec „pokolenia styropianu”, które przynajmniej politycznie przejęło władzę w Polsce? Czy jakoś określaliście się wobec nich?

M. M.: Pewnie będziemy się tutaj różnić. Ja nie kryję, że w latach 90. byłem na emocjonalnej kontrze wobec tego, co prezentowała Unia Demokratyczna, „Gazeta Wyborcza” itd. Raczej od samego początku dopingowałem środowiska liberalów, właśnie Tuska — środowisko z Trójmiasta, które było na kontrze wobec Mazowieckiego i Geremka. Oni się potem połączyli, po czym zostali znów wypchnięci przez starszych panów. Gdy Unia Wolności umierała, to ja nie płakałem, a nawet miałem rodzaj mściwej satysfakcji. Nie ma więc wspólnego podejścia, bo niektórzy mieli stosunek nabożny do ojców założycieli, a inni krytyczny. Porozumienie Centrum, mimo że budowane przez Kaczyńskich, czyli ludzi w wieku elity UW, przyciągało młodych ludzi, którzy byli właśnie na kontrze.

P. C.: Mi się wydaje, że dla nas punktem odniesienia był system komunistyczny. Jak on się skończył, to skończył się problem i coś, co nas łączyło.

S. G.: Nie było przeciw czemu się buntować. Dostaliśmy kapitalną szansę. Od razu poszliśmy w wir pracy. Miałem 21 lat, jak razem ze współnikami zaczynaliśmy firmę. Skończył się łączący nas bunt i zaczęła się praca.

S. T.: Wydaje się, że wszyscy poszli w kierunku egoistycznego, prywatnego wyścigu o coś tam. Potrzeba większego zaangażowania społecznego ludzi z naszego pokolenia. Ale jak to zrobić, na to pytanie nie umiem odpowiedzieć. Natomiast nie ma wątpliwości ze w obliczu jakiejś narodowej katastrofy odnajdziemy się ponownie i zaangażujemy społecznie. I ja powiem tak — wolałbym, aby nigdy nie było takiej potrzeby!

L. J.: Na koniec mam jeszcze pytanie o wasze aspiracje, prywatne satysfakcje wynikające z tych 20 lat.

M. M.: Pod pewnym względem jestem w 100 proc. Polakiem. Kiedy Polaka się zapyta, jak jest w Polsce, mówi, że „na maksa do dupy”, a jak jest jemu — „fantastycznie”. Ja jestem w 100 proc. taki. Ostatnie 20 lat prywatnie — super było i z nikim bym się nie zamienił. Nie mam jakichś specjalnych nowych aspiracji.

A. P.: Ja jestem tak szczęśliwa, że nie żyję w 1954 roku, że codziennie wstaję szczęśliwa. Mam

natomiast problem tożsamościowy. „Zróbmy coś, co będzie od nas zależało” i do końca nie wiem, czym ma być to coś.

S. G.: Może czas się zapisać do Projektu: Polska?

S. T.: Cieszę się, że żyjemy w czasach pokoju. Brońmy tego stanu, nie dajmy się też odpędzić od zachodniej cywilizacji. Cóż, ja od lat działam na swoim polu muzyczno-producenckim i marketingowym i staram się poprzez swoje projekty, aby estetyka naszego narodu była na coraz wyższym poziomie. Według mnie zwykła telewizja, rozrywka masowa, a nawet kultura i sztuka wyższa — rozwija lub ogranicza dany naród. Zatem jest tu sporo do zrobienia. Sprawia mi to satysfakcję. I może dzięki temu, chociaż wśród kilkuset tysięcy osób, udaje mi się kształtować nieco bardziej szlachetną estetykę. A być może to się później rozleje na inne sfery życia.

P. C.: Ja jestem zadowolony ze swojej pracy. To, czego mi brakuje, to jest nowoczesny polski patriotyzm. Ja się trochę boję, że przez to, że mamy neurotyczny, zamknięty na świat pseudopatriotyzm, uciekamy od polskości. Myślę, że to, co się nie udało przez te 20 lat, to stworzenie obywatela-patrioty.

Ciacek: Ale co się stało z naszym zaangażowaniem społecznym, które było przedtem? Czy uznaliśmy, że poprzednio to była dla nas jakaś forma bycia razem, taka towarzyska walka o wolność?

© Fundacja Ośrodka KARTA



© Fundacja Ośrodka KARTA



S. G.: Mój rocznik '70 miał wielkie szczęście. Miałem fascynującą młodość, pracowałem z wielkimi autorytetami, np. Jackiem Kuroniem. Trafiłem na gospodarczy dziki zachód, a kto był pierwszy ten był lepszy. Wygraliśmy na loterii. Trzeba o tym pamiętać. Powinniśmy stać się bardziej odpowiedzialni

Meller: Ja nie kryję, że w latach 90. byłem na emocjonalnej kontrze wobec tego, co prezentowała Unia Demokratyczna, „Gazeta Wyborcza” itd.

za otaczającą rzeczywistość. Moje aspiracje są proste, w pracy robić to, co umiem, a w Projekcie: Polska nagłaśniać różne problemy społeczne i szukać dla nich rozwiązań. Moje aspiracje to mieć poczucie, że coś oddałem z tego, co udało mi się osobiście uzyskać. To jest rodzaj sztafety, trzeba przekazać pałeczkę dalej. ■

O autorach:

Paweł Ciacek

Absolwent Wydziału Filozofii i Socjologii Uniwersytetu Warszawskiego. Jest współzałożycielem firmy zajmującej się badaniami opinii publicznej i rynku MB SMG/KRC, gdzie obecnie pełni funkcję Dyrektora d/s Obsługi Klienta. Specjalizuje się w badaniach komunikacji i marki.

Szymon Gutkowski

Absolwent Wydziału Matematyki, Informatyki i Mechaniki Uniwersytetu Warszawskiego. Na początku lat 90. był asystentem Jacka Kuronia. Współwłaściciel i dyrektor generalny agencji reklamowej DDB Warszawa. Przewodniczący Stowarzyszenia Projekt: Polska.

Marcin Meller

Dziennikarz i prezenter telewizyjny. Ukończył historię na Uniwersytecie Warszawskim. Przez wiele lat pracował jako reporter w tygodniku "Polityka", gdzie zajmował się tematyką międzynarodową, polityczną i obyczajową. Był działaczem NZS-u. Redaktor naczelny miesięcznika „Playboy”.

Agata Passent

Felietonistka i dziennikarka. Ukończyła filologię germańską na Uniwersytecie Warszawskim, studiowała również na Uniwersytecie Harvarda. Jest założycielką i prezesem Fundacji Okularnicy im. Agnieszki Osieckiej.

Stanisław Trzcinski

Wydawca muzyczny i felietonista. Jest współwłaścicielem i dyrektorem zarządzającym agencji marketingu muzycznego STX Records / STX JAMBOREE. Szef działu kultury tygodnika „Gala”.





— krótka historia świętowania

Adam Szłapka

Naszym motywem jest działać RAZEM i razem cieszyć się z wywalczonej wolności, więc wysyłamy stroną kubeczki, tak by 4 czerwca można było wzniesć toast za wolność.

4 czerwca 2009 Polacy po dwudziestu latach pierwszy raz świętowali swój ogromny sukces - udaną transformację. W obchody rocznicy zaangażowało się społeczeństwo: ludzie, szkoły, organizacje, samorządy, nie zwracano uwagi na to, co zrobi rząd, prezydent i inni przedstawiciele władzy państwowej.

Świętowaliśmy prawdziwie i RAZEM. Stworzyliśmy obywatelskie Święto Wolności - w rocznicę przełomowych wyborów do Sejmu i Senatu, które zapoczątkowały niezwykłą drogę polskiej transformacji.

Do Inicjatywy RAZEM '89 przystąpiło więcej niż 150 organizacji, szkół i samorządów z ponad 50 miejscowości: od Świnoujścia do Przemyśla, od Suwałk do Zgorzelca. Zrealizowano 250 inicjatyw o bardzo zróżnicowanej skali i zasięgu: od pokazu filmów w szkole w Resku po wielki projekt Wyłącz System, który miał miejsce na Krakowskim Przedmieściu w Warszawie; od spotkania w Dreźnie do ogólnopolskiego happeningu Tak dla Wolności zorganizowanego w 14 miastach przez Stowarzyszenie Projekt: Polska. Na stronie www.razem89.pl zarejestrowaliśmy prawie 80 tysięcy podziękowań, a ponad 80 tytułów, w tym i „Liberté!” zmieniło 4 czerwca swoje logotypy na pisane sławną „solidarycą”. Tak więc tego dnia cała Polska świętowała 20. rocznicę wolności.

Jak do tego doszło?

Zaczął się od kilku spotkań, jeszcze we wrześniu i w październiku. Grupy przedstawicieli z Fundacji im. Stefana Ba-

torego, Polsko Amerykańskiej Fundacji Wolności, Fundacji Wspomagania Wsi, Domu Spotkań z Historią, Fundacji Forum Obywatelskiego Rozwoju, Stowarzyszenia Projekt: Polska, Stowarzyszenia Wolnego Słowa, Fundacji Ośrodka KARTA. Wspomniana grupa powołała Społeczny Komitet: Inicjatywa 1989-2009, nazwa (szczęśliwie) została zmieniona na RAZEM '89. Stworzono zespół, który miał pokierować inicjatywą, a przygotowanie strategii kampanii oraz prowadzenie większości działań sekretariatu powierzono Stowarzyszeniu Projekt: Polska.

Przeprowadziliśmy serię spotkań eksperckich - z historykami i uczestnikami przemian (udział wzięli m.in. Aleksander Smolar i Konstanty Gebert), z młodymi liderami opinii oraz dwa spotkania z korespondentami zagranicznymi. Podczas wszystkich dyskusji powtarzano: „Udało nam się, dlatego, że potrafiliśmy się porozumieć i działać RAZEM. Byliśmy w tym konsekwentni”. Dla osób, które wzięły udział w spotkaniach, właśnie to wspólne działanie stało się symbolem przemian 1989. Spotkania podsumowała grupa DDB i po intensywniej pracy mieliśmy założenia strategii. Zatem RAZEM '89 - to będzie nasz motyw przewodni.

Startujemy

Start kampanii zaplanowaliśmy na 6 lutego - dwudziestą rocznicę rozpoczęcia obrad Okrągłego Stołu. Czasu zatem było mało, a do wykonania ogromu pracy. BNA opracowało logo RAZEM '89 (przygotowane specjalnie w wielu językach - RAZEM wolność wywalczyła przecież cała Europa Środkowa). Trwały intensywne prace nad stroną internetową, została utworzona kwatera główna i sekretariat. W styczniu zostały rozesłane też pierwsze informacje do pozarządowych instytucji o powstaniu Inicjatywy - momentalnie przyłączyło się kilkadziesiąt organizacji. Gdy „wici” zostały już rozpuszczone, na jedno z roboczych spotkań wszedł lekko spóźniony Henryk Wujec z najnowszymi informacjami z rządu: „Wygląda na to, że uruchomiliśmy lawinę, która nas przykryje” - powiedział i poinformował, że rząd powołał grupę, która ma zająć się rocznicą 4 czerwca. Lawina faktycznie została uruchomiona, ale co dalej?

5 lutego strona w wersji podstawowej została uruchomiona (samo to było już dużym osiągnięciem),

a informacje prasowe przygotowane (koordynacją PR Inicjatywy zajmowała się również grupa ze Stowarzyszenia Projekt: Polska). Jednym słowem, zwarci i gotowi odliczaliśmy czas do konferencji prasowej, inaugurującej kampanię. Konferencja zorganizowana była w Fundacji Batorego; wzięli w niej udział: Aleksander Smolar, Henryk Wujec, Jacek Michałowski i Szymon Gutowski. Na starcie Inicjatywa RAZEM '89 liczyła ponad 30 partnerów, a na naszej stronie internetowej było już opisanych kilkanaście inicjatyw, związanych z obchodami dwudziestolecia wolności.

Początek

Pierwsze tygodnie upłynęły na intensywnym informowaniu, że inicjatywa powstała i poszukiwaniu funduszy. Kończyliśmy projekt i rozwijaliśmy stronę internetową. Codziennie dołączały kolejne organizacje, pojawiały się nowe inicjatywy. Niestety pora roku i pogoda nie zachęcała do entuzjastycznego świętowania, RAZEM '89 rozkręcało się systematycznie, acz powoli.

Pierwsze duże wydarzenia

W marcu Inicjatywa RAZEM '89 zaczyna nabierać rozpędu, przyłączają się kolejne organizacje, szkoły, samorządy. Działania Inicjatywy finansowane są cały czas tylko ze środków, jakie przeznaczyli inicjatorzy, tak więc prawie całą energię zespołu koordynującego kampanię pochłania walka o dofinansowanie z Narodowego Centrum Kultury. Mimo trudności w ramach RAZEM '89 realizowane są pierwsze duże inicjatywy: spotkanie z Lechem Wałęsą zorganizowane przez Stowarzyszenie Projekt: Polska na Uniwersytecie Gdańskim oraz wielki koncert Solidarni z Białorusią organizowany przez Inicjatywę Wolna Białoruś. Z różnych stron wpływają także informacje o kolejnych wydarzeniach, które przygotowują członkowie RAZEM '89. W międzyczasie udaje się wyprodukować pierwszą partię koszulek i kubeczki, które niebawem na biorą cech kultowości. Uruchomiona zostaje także druga odsłona strony internetowej, w zasadzie rozbudowanego portalu, który zawiera: codzienne aktualizowane kalendarium „zdarzyło się 20 lat temu”, informacje o 1989 roku, rozbudowaną czytelnię, bank pomysłów, galerię oraz zwiększającą się bazę inicjatyw.

Kop i młyn

Kulminacja - 4 czerwca zbliża się wielkimi krokami, a my cały czas dostajemy informacje, że „za tydzień będzie odpowiedź” w sprawie dofinansowania z NCK. Każdego dnia spływają kolejne inicjatywy z całej Polski. RAZEM '89 pojawia się z dużym stoiskiem na dniu otwartym w sejmie 3 maja (m.in. Jacek Żakowski, Tomasz Sianecki, Andrzej Morozowski i Grzegorz Miecugow prowadzą konkursy wiedzy o 1989 roku), a tydzień później pojawia się na Paradzie Schumana.

W połowie maja o 4 czerwca robi się coraz głośniejsza sprawa konfliktu na linii prezydent-premier-stocznio-wcy. Naszym motywem jest działać RAZEM i razem cieszyć się z wywalczonej wolności, więc wysyłamy stroną kubeczki, tak by 4 czerwca można było wznieść toast za wolność. Tego samego dnia

Do Inicjatywy RAZEM 89 przystąpiło więcej niż 150 organizacji, szkół i samorządów z ponad 50 miejscowości: od Świnoujścia do Przemyśla, od Suwałk do Zgorzelca.

kubeczki pojawiają się w programie Tomasza Lisa, a premier Tadeusz Mazowiecki na antenie mówi, że RAZEM to świetna inicjatywa, kubek, rzecz jasna, ma już od jakiegoś czasu. Słowa premiera dają „kopa” i ładują akumulatory całemu zespołowi. Z każdym dniem spływa coraz więcej informacji o różnych inicjatywach, które odbędą się w ramach RAZEM '89 w całej Polsce. Trzy tygodnie przed 4 czerwca otrzymujemy dofinansowanie z Ministerstwa Kultury i Europejskiego Centrum Solidarności; zdecydowana większość środków przeznaczona

jest na materiały. Przed nami karkołomne zadanie - w dwa tygodnie skoordynować produkcję i rozesłać do ponad 150 partnerów w 51 miastach olbrzymią ilość materiałów.

Ostatnie tygodnie i 4 czerwca

Kilka dni przed 4 czerwca wystartowała strona www.razem89.pl/dziekujemy. Do 5 czerwca ponad 75 tysięcy ludzi podziękowało za wolność, a dodatkowo kilka tysięcy wpisało imienne podziękowania dla konkretnych osób: dla Jacka Kuronia, Bronisława Geremka, Tadeusza Mazowieckiego, ale także dla rodziców, przyjaciół, sąsiadów.

W tym samym czasie w największych stacjach telewizyjnych pojawiają się spoty RAZEM '89: animowany oraz z udziałem: Joanny Szczepkowskiej, Mai Komorowskiej, Zbigniewa Zamachowskiego, Michała Żebrowskiego, Jana Frycza, Krzysztofa Zanussiego, Borysa Szyca, Andrzeja Chyry, Krzysztofa Kolbergera, Urszuli Dudziak, Tomasza Stańko, Justyny Steczkowskiej, Reni Jusis, Grzegorza Miecugowa, Szymona Majewskiego, Grzegorza Markowskiego, Marcina Meller, Mateusza Kusznierewicza. Prawie każdy, kto go zobaczył, mówił, że ciarki przeszły mu po plecach.

W międzyczasie rusza akcja RAZEM '89 w sieci Multikino i Silverscreen. Wszyscy pracownicy noszą koszulki RAZEM, pojawiają się specjalne plakaty, przed projekcjami filmów leżą spoty. Wszystko daje niesamowity efekt (szczególnie pracownicy robią wrażenie).

Niecały tydzień przed 4 czerwca w Polskę ruszają paczki z materiałami. Zgodnie z zasadą racjonalności paczka dla wszystkich organizacji w mieście idzie na jeden adres. Przesyłka w postaci palety materiałów RAZEM '89, to duży szok.

4 czerwca 2009 - 20 lat po wyborach

Dzień rozpoczął się tradycyjnie od przeglądu prasy i portali internetowych... 81 tytułów, w tym największe dzienniki i portale internetowe, zmieniły swoje logotypy na pisane „solidarycą”, wszędzie dodano informację „jest to akcja zainicjowana przez RAZEM '89 - www.razem89.pl”. Wszystko udało się utrzymać w tajemnicy do ostatniej chwili, chociaż przygotowania trwały prawie miesiąc. Stały kontakt z Jerzym Janiszewskim, autorem logotypu

pu „Solidarności”, który wyrażał zgodę z Hiszpanią, oraz rozmowy z mediami przyniosły niesamowity skutek. W całym nakładzie „Gazety Wyborczej” pojawiła się wlepka RAZEM, którą do teraz można spotkać w pociągu, na pocztce, czy nawet na torbie przechodnia.

Od rana w całej Polsce świętowano: najróżniejsze inicjatywy, spotkania, koncerty, happeningi, wystawy. Wszędzie pojawiły się koszulki, flagi, plakaty „RAZEM '89 - świętujemy odzyskanie Wolności”. W Katowicach zorganizowano Lot ku Wolności, w Pile wystawę, we Wrocławiu Festiwal'89, a w całej Polsce happening Tak dla Wolności Stowarzyszenia Projekt: Polska.

W Warszawie rozpoczyna się projekt Wyłącz System na Krakowskim Przedmieściu. Sztab RAZEM '89 w Hotelu Europejskim w Warszawie obsługuje ponad 100 wolontariuszy, którzy rozdają naklejki przechodniom na Krakowskim Przedmieściu, w centrum ciężko zobaczyć choć jedną osobę bez naklejki. Inicjatywa RAZEM '89 pojawia się na Żoliborzu, koło domu Jacka Kuronia.

O 20:00 na Placu Konstytucji w Niespodziance, gdzie 20 lat wcześniej ogłoszono wyniki wyborów, na toast zebrało się kilkaset osób. Wzniósł go premier Tadeusz Mazowiecki, kubkiem RAZEM. W pierwszych słowach podziękował Inicjatywie RAZEM '89. Na koncertach w Warszawie i Gdańsku pojawiają się flagi RAZEM '89. Polska świętuje odzyskaną wolność.

W sobotę 6 czerwca w kilku miastach w Polsce odbyła się jeszcze impreza Klubowa Noc Wolności, a w pierwszym tygodniu tego miesiąca pojawiło się ponad 20 relacji telewizyjnych oraz kilkaset relacji prasowych i radiowych. Z całej Polski spływały informacje o udanych inicjatywach, zdjęcia, wzajemne podziękowania. 4 czerwca 2009 był prawdziwie obywatelskim Świętem Wolności. ■

O autorze:

Adam Szłapka

Absolwent politologii i wschodoznawstwa na Uniwersytecie im. Adama Mickiewicza w Poznaniu. Pełni funkcję sekretarza generalnego Stowarzyszenia Projekt: Polska. Radny i wiceprzewodniczący Rady Miasta w Kościanie.

Plahr Oury Lorinc Klejnowski Ostrowski

NOWE POKOŁENIE Wspólnej Europy

Lorinc: Jest to ważne przede wszystkim dlatego, że przyszłość demokracji na Słowacji przy obecnym rządzie wydaje się bardzo niestabilna i niepewna.

Igor Ostrowski: Nie mamy wiele czasu, więc przejdźmy od razu do sedna. Dziś chcemy porozmawiać o tym, co znaczy dla nas - młodego pokolenia - wolność i demokracja oraz jak rozumiemy solidarność. Razem ze mną jest tu dzisiaj czterech panelistów, pozwolę sobie ich przedstawić: **Alexander Plahr**, **Jean – Paul Oury**, **Milan Lorinc** oraz **Łukasz Klejnowski**. Ja nazywam się **Igor Ostrowski** i dla tych, którzy mnie nie znają, jestem członkiem zarządu krajowego Projektu: Polska.

Już 20 lat minęło od wydarzeń z 1989 roku, przez ten czas wiele się wydarzyło w naszym regionie.

W Polsce świętujemy 20. rocznicę pierwszych częściowo wolnych wyborów, które miały miejsce 4 czerwca 1989. Wielkimi krokami zbliża się rocznica Aksamitnej Rewolucji oraz 20. rocznica upadku muru berlińskiego. Jest to idealna okazja, by popatrzeć wstecz i przedyskutować to, co za nami, a zarazem zastanowić się nad tym, co nas czeka.

Stowarzyszenie Projekt: Polska wraz z innymi organizacjami pozarządowymi z całej Polski bardzo aktywnie próbowało przywrócić pamięć o tych wydarzeniach. Pod hasłem RAZEM '89 zorganizowaliśmy wiele wydarzeń, które miały być swoistym symbolem przypominającym o 20 latach demokracji i solidarności w Polsce. Co więcej, w zamyśle miało to być święto na cześć wydarzeń z 1989 roku. Dzięki temu cyklowi udało nam się zarówno zwrócić uwagę polskiej opinii publicznej na temat naszej przeszłości, jak i wywołać refleksję dotyczącą naszej przyszłości.

Stąd też na początku chciałbym zapytać, jakie znaczenie dla każdego z Was ma demokracja i wolność oraz jak rozumiecie pojęcie solidarności. Może zaczneć od Aleksandra?

Alexander Plahr: To jest trudne pytanie, ponieważ wolność ma inne znaczenie dla każdej indywidualnej jednostki, nie można tu więc ani generalizować, ani też podejść zbyt subiektywnie do tematu. Ja myślę, że dla nas pochodzących z różnych części Polski i Europy wolność to możliwość zrobienia tego, co chcemy bez praktycznie żadnych ograniczeń, nie odbierając jednak wolności innym, a więc biorąc odpowiedzialność za egzekwowanie swojej wolności. Oczywiście wiąże się to z solidarnością, która różni się od tego, jak obecnie próbują ją przedstawić systemy socjalistyczne.

Obecnie jest tak, że państwa starają się za wszelką cenę chronić i walczyć o prawa swoich obywateli, jednak nie do końca można to nazwać solidarnością. Bo jeśli mówimy o solidarności, mówimy o społeczeństwie, które walczy o siebie, o swoje racje i prawa, dodatkowo nie pozwala sobie odebrać tego, co już wywalczyło. Solidarne społeczeństwo jest też odpowiedzialne za swoje działania.

I.O: Dziękuję. Milan, może teraz ty?

Milan Lorinc: Mówiąc o solidarności, patrzę na ten temat przez pryzmat Słowacji, kraju socjalne-

go, w którym obserwujemy wzrost siły, z jaką uderzają w nas wartości socjalistyczne. Młodzi ludzie są przez to pod silnym wpływem ducha państwa socjalistycznego. Wmawia się im, że słusznym systemem nie jest demokracja, ale demokracja połączona z silnym i stabilnym państwem opiekuńczym, ponieważ tylko państwo jest w stanie dobrze zadbać o swoich obywateli, o ich pieniądze, przyszłość i bezpieczeństwo. To jest to, co widzimy dzisiaj mówiąc o demokracji. Jednocześnie zastanawiając się nad przyszłym wyglądem demokracji, należałoby spojrzeć na młodzież. Młodzi ludzie nie tylko zostali wychowani w demokracji, ale też swobodnie korzystają z wszelkich jej uroków oraz z przywilejów wynikających z przynależności do UE, jak np. swoboda podróżowania. Niestety, ci sami młodzi ludzie nie doceniają ani nie szanują tego, co zostało im dane, traktują to jako coś oczywistego i codziennego. Dlatego uważam, że naszym celem na przyszłość powinno być zachęcenie tych osób do działalności politycznej, samorządowej oraz pozarządowej. Tylko w taki sposób będą mogli w pełni zobaczyć, zrozumieć i docenić demokrację i wolność. Jest to ważne przede wszystkim dlatego, że przyszłość demokracji na Słowacji przy obecnym rządzie wydaje się bardzo niestabilna i niepewna.

I.O: Jean Paul, jakie jest twoje zdanie?

Jean Paul Oury: Dla mnie wolność, solidarność i demokracja są dobrami absolutnie nadrzędnymi oraz bezcennymi. Jest to coś, do czego trzeba się przygotować, dorosnąć. W żaden sposób nie można ludziom wolności nadawać, o wolność się walczy. Zachęcanie młodych ludzi do działalności politycznej jest więc bardzo istotne.

Niestety, z przykrością muszę stwierdzić, że we Francji wolność obywatelska jest coraz częściej zabierana. Państwo powoli dąży do tego, aby mieć wpływ na każde działanie obywateli, od przewozu dóbr po otwieranie barów. To partie liberalne powinny o te prawa walczyć. We Francji jest teraz tak, że w momencie, gdy mówisz, że walczysz o wolność, ludzie zastanawiają się, o co tak właściwie walczysz. Dzieje się tak, ponieważ dla nich wolność i solidarność nie są pojęciami połączonymi. Ja zawsze staram się udowodnić, że jest inaczej, że wolność i solidarność idą w parze i jedno bez drugiego nie występuje. Ludzie, którzy walczą razem, tworzą naród i to właśnie jest solidarność.

I.O: Dziękuję bardzo. Łukasz?

Łukasz Klejowski: Myślę, że wypowiedzi moich przedmówców są wystarczającym dowodem na to, że możemy nazywać się liberałami, ponieważ nasze poglądy na tak kluczowe kwestie jak wolność, demokracja i solidarność niemalże się pokrywają. To, co również nas łączy, to chęć walki o wolność i niezależność, a jednocześnie przeciw paradoksom państwa i ograniczaniu wolności. Pamiętam, jak pięć lat temu na Ukrainie miała miejsce Po-

darność, co spowoduje nieścisłości i problemów polityczno-instytucjonalnych, nie tylko wokół samych pojęć, ale również wokół ich przekładania na życie. Jeszcze raz spójrzmy więc szerzej na przyszłość demokracji, wolności oraz solidarności, może zaczniemy od Aleksandra.

A.P.: Myślę, że należałoby wyjść od tego, że w wielu społeczeństwach ludzie nie są w pełni zaangażowani w proces demokratyzacji, pomimo tego, że żyją w demokratycznych państwach. Dzieje

Milan Lorinc: Jest to ważne przede wszystkim dlatego, że przyszłość demokracji na Słowacji przy obecnym rządzie wydaje się bardzo niestabilna i niepewna.

marahczowa Rewolucja, w Polsce powstał wtedy ogromny ruch społeczny, który głośno mówił o tym, że źle się tam dzieje i że naszym zadaniem jest jechać na Ukrainę i powiedzieć zdecydowane „nie”. Działo się tak dlatego, że nie chcemy, aby nadużywano i zniekształcano pojęcie oraz znaczenie demokracji, wartości, które są bardzo ważne dla Polaków.

I.O: Historia lubi się powtarzać. W latach 80. krążył slogan mówiący o tym, że nie ma Solidarności bez wolności ani wolności bez Solidarności. Dziś już zarówno znaczenie, jak i perspektywa, przez jaką się patrzy na te słowa, uległy zmianie, jednak w dalszym ciągu oddają one problem, z jakim zmierzaliśmy się 20 lat temu. Jeśli popatrzymy na szerszy obraz, na ogół i porównamy znaczenie tego sloganu wtedy i teraz, to zauważymy dysonans, o którym wspominał już Aleksander. Dla młodej generacji traktowanie wolności i demokracji jako pewnika jest niebezpieczne. Sęk tkwi w tym, że z biegiem czasu te słowa zwyczajnie się przeterminują i tracą swoją wyjątkowość oraz ważność, stając się po prostu częścią administracji i ustroju. Popatrzmy więc przez moment na ogół i przyjrzyjmy się niebezpieczeństwom, jakie wynikają z faktu przedmiotowego potraktowania słów „wolność” i „demokracja”. Kolejną niepokojącą rzeczą jest proces definiowania słowa „solidarność” na nowo, gdzie głównym winowajcą jest UE na czele z Komisją Europejską. Niestety, możemy dojść do takiej sytuacji, że za 10 lat Unia Europejska będzie nam dyktować, co mamy rozumieć pod pojęciem soli-

się tak, ponieważ 60–70 proc. prawa, które jest egzekwowane w państwach członkowskich, nie jest w nich tworzone, a jedynie implementowane z prawa wspólnotowego. W niektórych państwach liczba ta sięga nawet 90 proc. Oznacza to, że wiele decyzji dotyczących społeczeństwa danego kraju jest podejmowanych na poziomie ponadkrajowym. To, co ustanawiane jest na poziomie UE, zdecydowanie przewyższa to, co jest ustanawianie na poziomie kraju członkowskiego, czyli to, na co obywatele tego kraju mogą mieć chociaż małeńki wpływ. Skutek jest taki, że opinia publiczna nie jest włączona w te działania i nie utożsamia się z prawem tworzoną w Brukseli czy też Strasburgu.

Takiego poczucia posiadania wpływu na to, co się dzieje, nie powinno się ludziom odbierać, bo niestety skutkiem tego będzie uprzedmiotowienie wartości takich jak demokracja czy wolność. Poruszony aspekt nie byłby aż tak istotny, gdyby nie fakt, że UE stara się ingerować, a tym samym regulować każdy aspekt życia. Banalnym przykładem może być żarówka. Nie wiem, czy wiecie, ale do września tego roku tradycyjne żarówki mają zostać wycofane ze sprzedaży, dostępne będą jedynie energooszczędne. Chronią one środowisko, można je kupić wszędzie, dłużej trzymają, więc chyba zmiana ta będzie na plus, bo nawet różnica w cenie w ostatecznym rozrachunku się wyrównuje. Tylko że przez takie właśnie działania odbiera się ludziom wolność wyboru. Wyobraźcie sobie sytuację, kiedy to za kilka lat lećcie do Stanów czy innego nieeuropejskiego kraju i znajomy prosi was

na boku, żebyście mu przywieźli zwykłe żarówki. Nie prosi o jakieś rzeczy, które tam mogą być tańsze, np. papierosy. Prosi o żarówki, bo już ich tu nie sprzedają. To nie jest UE, jaka była nam obiecywana, to są rządy przysłowiowych trzech osób, które wiedzą, albo wydaje im się, że wiedzą, co dla społeczeństwa jest najlepsze.

I.O: Jean Paul, a jak ty patrzysz na tę kwestię?

J.P: Mamy tezę i antytezę. Tezą jest twierdzenie, że faktycznie prawo, które jest tworzone w UE i na potrzeby UE nie powinno, a wręcz nie może być kontrolowane, tak samo jak nie można na nie wpływać. Z drugiej strony, jeśli popatrzymy na ten problem z punktu widzenia społeczeństwa francuskiego, polskiego czy innego państwa członkowskiego UE, ma to swój plus. Prawo jest unifikowane, dzięki czemu wiemy, czego się spodziewać w innych krajach, nie wspominając o swobodzie handlu czy podróżowania.

A.P: Nie zrozum mnie źle, nie jestem kompletnym przeciwnikiem UE, zwracam tylko uwagę na sprzeczności, jakie występują. UE sama w sobie nie jest problemem, natomiast podejście do demokracji już tak.

J.P: Zgadzam się co do żarówki.

I.O: Więc można powiedzieć, że pewne zachowania prowadzące do przedmiotowego traktowania słów „wolność”, „demokracja” i „solidarność” są niebezpieczne, problemem jest jednak zanikanie procesów demokratycznych. Milan, może chcesz coś dodać?

M.L.: Mamy w UE wielu ludzi, którzy w przyszłości będą nam dyktować, co jest dobre, a co złe. Słowacja jest państwem z najniższą frekwencją w wyborach i niestety z przykrością muszę stwierdzić, że nie wygląda na to, by ten trend się zmienił, raczej wszystko wskazuje na to, że będzie się utrzymywał. Natomiast wracając do tematu, młodzi ludzie z zasady nie zgadzają się z PE oraz polityką, która ich zupełnie nie interesuje, więc się nią nie zajmują. Po raz kolejny ludzie z socjalistyczną przeszłością są zmuszeni zakasać rękawy i wziąć się do roboty, wymyślając te wszystkie dziwne rzeczy. My jako liberałowie mamy natomiast problem z UE, ponieważ nie uważamy, by po raz kolejny

wprowadzanie systemu centralnego planowania było dobrym rozwiązaniem. Moim zdaniem może to stać się nawet poważniejszym problemem w przyszłości.

J.P: Zaczyna wyglądać to tak, jakby Bruksela, PE i KE były największymi pogromcami i przeciwnikami demokracji, to jest śmieszne.

I.O: Koncentrując się po raz kolejny na szerszym obrazie i niebezpieczeństwach, jakie my, młodzi liberałowie widzimy dla demokracji w Europie, Łukasz, chcesz coś dodać?

Ł.K: Myślę, że problem, z którym się zmagamy, nie jest obecny jedynie na poziomie europejskim, ale przede wszystkim na poziomie krajowym. Jeśli spojrzymy chociażby na Polskę, do urn chodzi tu zaledwie 50 proc. społeczeństwa. Dlatego uważam, że wybrani ludzie nie są reprezentatywni, oni reprezentują tylko część społeczeństwa. Tak też jest na poziomie UE.

Osoba dla mnie bardzo ważna i myślę, że dla części członków Projektu: Polska również, Bronisław Geremek, powiedział kiedyś: „Stworzyliśmy Europę, teraz czas na stworzenie Europejczyków”. Myślę, że właśnie w tym dokładnie tkwi problem, bo jak można stworzyć Europejczyków? Samo ustanowienie instytucji oraz zachęcanie do udziału w wyborach jak widać nie wystarcza. Istnieje przecież potrzeba wyjaśnienia, a przez ludzi zrozumienia, że kandydaci wybierani są nie na fikcyjne stanowiska, ale mają faktyczny wpływ na to, co się dzieje. Efektem niezrozumienia tego jest 43 proc. frekwencja.

Uważam, że problem leży w zaangażowaniu ludzi w proces demokratyzacji.

I.O: Nim przejdziemy do pytań z sali, mam jeszcze jedną uwagę. W Polsce powstał Plan Polska 20-40, ma on na celu zachęcić społeczeństwo do popatrzenia 20 lat wstecz oraz 20 lat wprzód. Przez minione 20 lat osiągnęliśmy wiele — zakończyliśmy proces transformacji, staliśmy się zarówno członkami NATO, jak i UE, bierzemy czynny udział w dystrybucji funduszy UE. Teraz Polska potrzebuje kolejnego przełomu, kolejnego zadania, które pozwoli nam przetrwać następne 20 lat „w ruchu”. Pojawiają się nowe priorytety, zadania, takie jak

budowanie stabilnej i silnej demokracji, stworzenie prawdziwego społeczeństwa obywatelskiego. Patrząc na to, jakie wy, członkowie organizacji pozarządowych, możecie zaproponować projekty i inicjatywy?

A.P.: Patrząc generalnie czy na niebezpieczeństwo stagnacji?

I.O.: Stagnacja jest jedynie przykładem, możecie dostosować wypowiedź do tego, jak to wygląda u was w kraju. Zastanawia mnie, jak to jest we Francji, w Niemczech, na Słowacji...

A.P.: W Niemczech nie ma takiego krajowego projektu, który by spajał wszystko. Co więcej, Niemcy znajdują się na tym samym lub bardzo podobnym poziomie życia jak cały zachód, więc od tej strony nie ma do czego dążyć. Niemcy nie mają, ale myślę, że tak naprawdę chyba też nie potrzebują żadnego przełomowego projektu. Co jednak staje się niebezpieczne zarówno dla kraju, jak i dla społeczeństwa to groźba wszechwiedzącego państwa, które raz po raz stara się odebrać obywatelom kolejną część wolności. Chodzi tu na przykład o to, że po 11 września, a dokładnie od 01.01.09 wszelkie rozmowy telefoniczne, maile, SMS-y są kontrolowane i przepuszczane przez sito, odbierając nam odrobinę prawa do prywatności. Istnieje coraz więcej sfer życia, w których pod pretekstem ochrony są nam zabierane wolność oraz prawa, np. prawo do zgromadzeń. Jest to poważne zagrożenie dla demokracji, ludzie przez takie działania już zupełnie przestają wierzyć, że mają wpływ na to, co się dzieje w ich kraju. Weźmy na przykład demonstracje — ludzie demonstrują, by coś osiągnąć, tylko pojawia się pytanie, czy z taką samą śmiałością i pewnością głosiliby na demonstracji swoje zdanie w momencie, gdy byłaby tam kamera? Czy ich zachowanie choć trochę uległoby zmianie? Nawet w demokratycznych społeczeństwach obserwuje się tendencję, by łagodzić swoje poglądy, gdy jest gdzieś w okolicy kamera lub inne medium. Przyczyny bywają różne, od niepewności po strach przed konsekwencjami. W demokratycznych społeczeństwach nie powinno mieć to miejsca. Bezpieczeństwo w wolnych społeczeństwach czy też państwach to coś, co pozwala cieszyć się wolnością, a nie ją odbiera. Kolejnym zagrożeniem czy też niebezpieczeństwem są zmiany demograficzne, ponieważ wielu młodych ludzi podaje się naciskom, jakie wywiera na nich aktualny system.

Łukasz Klejnowski: Osoba dla mnie bardzo ważna i myślę, że dla części członków Projektu: Polska również — Bronisław Geremek — powiedział kiedyś: „Stworzyliśmy Europę, teraz czas na stworzenie Europejczyków”.



I.O.: Milan, jak się odniesiesz do tego samego pytania?

M.L.: Na Słowacji jako liberałowie mamy niewiele do powiedzenia, dlatego też nie mamy dużych projektów związanych z UE czy Brukselą, ale współpracujemy z wieloma europejskimi think tankami.

Naszym głównym przekazem jest to, by wolny rynek działał samodzielnie bez ingerencji państwa, staramy się pokazać, jak szkodliwe dla tego rynku są subwencje i inne ingerencje rządu, np. w ceny. Podkreślamy również, jak ważne jest to, by każdy mógł dopasować system podatkowy, system oszczędności i bezpieczeństwa do swojej osoby. Ludzie poczuwają wtedy, że na pewne rzeczy mają wpływ i zaczynają nabierać chęci na działalność polityczną — zarówno na poziomie UE, jak i krajowym oraz samorządowym.

I.O.: Łukasz, a jak sprawa wygląda twoim zdaniem?

Ł.K.: Nasza perspektywa różni się od tego, co powiedział Alex czy Jean Paul, ponieważ państwo w Polsce nie jest tak silne jak we Francji czy w Niemczech. Co jest dla mnie całkowicie niesamowite, to powstanie projektu 20–40, ponieważ jak dotąd jedyny projekt dla Polski to był Projekt: Polska.

Prawdziwym zagrożeniem jest to, że będąc członkiem NATO i UE nie mamy celu, do którego możemy zmierzać, nie ma celu, który zachęcałby ludzi do pracy. Musimy na nowo zdefiniować cele. Przede wszystkim, jeśli chodzi o poczynania polityczne. ■

Tłumaczenie: Katarzyna Wodław

Debata odbyła się w trakcie konferencji „Młode pokolenie dzisiaj i rola przemian demokratycznych po 1989 r. z punktu widzenia liberałów”, zorganizowanej we Wrocławiu w dniu 16.06.2009 r., przez Fundację Projekt:Polska oraz Fundację im. Friedricha Naumanna — Fundację na Rzecz Wolności.

O autorach:

Aleksander Plahr

Informatyk, programista software. Wiceprzewodniczący organizacji LYMEC (European Liberal Youth), organizacji zrzeszającej młodzieżowe stowarzyszenia liberalne z całej Europy. Kandydat do Parlamentu z ramienia FDP (partii niemieckich liberałów).

Jean-Paul Oury

Doktor historii i technologii. Konsultant ds. komunikacji i specjalista e-renomy. Członek i założyciel Alternatywnej Partii Liberalnej. Jest współautorem Manifestu Liberałów Alter (Michalon 2007).

Milan Lorinc

Liberał ze Słowacji. Członek zarządu słowackiej organizacji Mładi Liberali, zrzeszającej słowacką młodzież liberalną.

Łukasz Klejnowski

Stypendysta Fundacji Roberta Schumana i asystent Róży Thun w Parlamencie Europejskim. Absolwent europeistyki na Uniwersytecie Jagiellońskim. Członek Zarządu Projekt: Polska.



Polacy nie rozumieją prawa

Wywiad Tomasza Krzyżanowskiego
z Jerzym Stępnem

Na podstawie rozmowy przeprowadzonej w dniu 17 lipca 2009 r. z Panem Jerzym Adamem Stępnem, polskim prawnikiem, byłym sędzią, prezesem Trybunału Konstytucyjnego oraz senatorem I i II kadencji.

Panie Sędzio, działał Pan w Solidarności lat 80., był Pan internowany w czasie stanu wojennego. Jak z perspektywy czasu ocenia Pan dzisiejszą Polskę? Czy cele, które postawiła sobie ówczesna Solidarność, zostały zrealizowane?

Mówiąc o Solidarności trzeba sobie uświadomić, jak wielki był to ruch, jak wielu różnych ludzi go tworzyło. Był to ruch przypominający konfederacje szlacheckie z czasów Rzeczypospolitej Obojga Narodów. Można mieć wątpliwości, jak to się stało, że w latach 80. XX w. ludzie (w tym robotnicy) nie posiadający szczegółowej wiedzy historycznej mogli nawiązać do instytucji konfederacji. Otóż wszyscy Polacy czytają dzieła Sienkiewicza, w tym *Ogniem i Mieczem*. Sienkiewicz dokładnie opisał konfederacje, np. Tyszowiecką, które były formą obywatelskiego nieposłuszeństwa wobec praw łamiących zasady ówczesnej demokracji. Stąd właśnie w ruchu solidarnościowym można zaobserwować te same mechanizmy co w konfederacjach, m.in. masowy opór przeciw niesprawiedliwości. Solidarność zrealizowała swoje cele w 100 a nawet

W konstytucji w obecnym kształcie jest wpisany konflikt pomiędzy prezydentem a rządem.

w 200 proc. Ostatecznie 17.09.1993 r. (wyjście wojsk rosyjskich z Polski) Polska odzyskała suwerenność, a to właśnie był główny cel Solidarności jako masowego ruchu społecznego. Co więcej, to Solidarność dała impuls do zmian w całej Europie zakończonych obaleniem muru berlińskiego i upadkiem komunizmu.

Wielu ludzi twierdzi jednak, że „za PRL było lepiej”, są głosy niezadowolenia z sytuacji w III RP.

Solidarność zrealizowała plan „maks”. Podkreślam, że Polaków zadowolonych ze zmian jest znacznie więcej. Ludziom, którzy twierdzą, że „wtedy było lepiej” trzeba by pokazać kraj, gdzie granice są zamknięte, na paszport czeka się rok albo wcale nie można go uzyskać, w sklepach niczego nie ma i tak dalej. Większość z nich prawdopodobnie zmieniłaby wówczas zdanie o III RP na lepsze.

Na stronach internetowych Trybunału Konstytucyjnego można przeczytać tekst Pana wystąpienia w czasie, gdy był Pan prezesem Trybunału Konstytucyjnego pt. 500 lat tradycji państwa prawa w Rzeczypospolitej. Mówił Pan o tradycyjnym przywiązaniu Polaków do wolności i prawa. Jak Pan ocenia szacunek dla prawa dzisiejszych Polaków, skoro często się mówi, że nie jest on wielki?

Zanim zaczniemy krytykować obywateli za brak szacunku dla prawa, trzeba powiedzieć wyraźnie, że problem leży po stronie instytucji tworzących prawo. Jest to prawo złej jakości, którego Polacy nie rozumieją. Ustaw jest zbyt dużo, do tego są one pełne błędów. Polskie prawo jest niestety tworzone poza rządem. Tymczasem powinno być tworzone w jednym miejscu, przez jedną specjalistyczną instytucję, taką jaką jest np. Centrum Legislacyjne Rządu. Sejm i posłowie nie powinni grzebać w projektach. Ich zadaniem powinno być tylko przyjęcie ustawy lub jej odrzucenie.

Podobnie senat powinien mieć możliwość przyjęcia projektu, odrzucenia bądź ewentualnie na wzór angielskiej Izby Lordów, odłożenia projektu na rok, tak, aby można sprawę dokładnie przeanalizować. Znamienne, że Trybunał Konstytucyjny często uchylał ustawy po prostu dlatego, że żaden z sędziów nie był w stanie zrozumieć, o co w nich

chodzi. Rola Trybunału często sprowadza się do wykonywania funkcji tzw. „brakarza” w fabryce, który wyłapuje wybrakowane produkty.

Do wprowadzenia proponowanych przez Pana rozwiązań potrzebna byłaby zmiana Konstytucji?

Tak, Konstytucja powinna zostać zmieniona. W tym przypadku powinno się uporządkować kompetencje sejm i senatu. Sejm powinien stanowić prawo (uchwalać) i zajmować się kwestiami politycznymi. Tworzenie projektów prawa powinno należeć do rządu. Oczywiście odpowiednie zmiany musiałyby również zostać wprowadzone do regulaminów obu izb.

Był Pan senatorem w latach 1989–93, czy senat powinien zostać zlikwidowany?

Senat należy zachować. Powinien stać się taką „izbą refleksji”, ale jednocześnie nie powinien mieć możliwości wprowadzania poprawek, powinien mieć tylko takie kompetencje, o których już wcześniej mówiłem, przyjęcie albo odrzucenie projektu bądź odłożenie go na później. Można by się było również zastanowić nad zmniejszeniem liczby posłów. Nie ma co się oszukiwać, w dzisiejszym sejmie zaledwie kilkudziesięciu posłów ma rzeczywistą pozycję pozwalającą im decydować o kształcie prawa. Tylko oni wiedzą, o co tak naprawdę chodzi w uchwalanej ustawie. Rola pozostałych posłów sprowadza się w zasadzie do podnoszenia rąk w czasie głosowań.

A co Pan sądzi o pomysle od czasu do czasu zgłaszanym przez różnych konstytucjonalistów, aby senat zamienić w taką „izbę mędrców”, tzn. wprowadzić *census* wykształcenia tak aby senatorami mogli zostać ludzie z odpowiednim wykształceniem?

To jest zły pomysł. Przychyłam się jedynie do koncepcji, o której mówił w jednym z wywiadów prezydent Kwaśniewski, żeby senatorami stawali się automatycznie byli prezydenci. To są osoby publiczne, również po zakończeniu kadencji. Mają autorytet w społeczeństwie i doświadczenie, jakie uzyskali, piastując urząd prezydenta. Jeżdżą po świecie, wykładają na uniwersytetach. Przyznanie

im dożywno miejsca w senacie jest interesującym pomysłem wartym rozważenia.

Czy Pana zdaniem konstytucja powinna zostać zmieniona również w innych dziedzinach?

Mieliśmy ostatnio dobry przykład, gdy Trybunał Konstytucyjny musiał się wypowiedzieć w kwestii kompetencji w reprezentowaniu Polski na szczytach unijnych. Prezydent jest wybierany w wyborach powszechnych, z tego powodu jest on zmuszony do przypominania się wyborcom, gdy

parlamentarnym wybór prezydenta w wyborach powszechnych nie ma sensu. Rada Ministrów jest ciałem, które ma być władzą wykonawczą, a nie prezydent, który w systemie parlamentarnym pełni funkcje głównie reprezentacyjne.

Czy proponuje Pan jakieś inne zmiany w konstytucji?

Do konstytucji należy wpisać Unię Europejską. Innymi słowy chodzi o wyraźne określenie zasad relacji pomiędzy krajowymi-polskimi organami

Konstytucja III RP powinna wprowadzić system parlamentarny, to znaczy władza w rękach sejmu i silnego rządu.

kończy się pierwsza kadencja. Ludzie wybierają prezydenta, więc oczekują od niego konkretnych działań.

W konstytucji w obecnym kształcie jest wpisany konflikt pomiędzy prezydentem a rządem. Prezydent, chcąc zwiększyć swoje szanse na reelekcję, podejmuje kroki mające zapewnić mu potrzebne poparcie. W ten sposób często wkracza w kompetencje Rady Ministrów. Należy uporządkować kompetencje organów władzy wykonawczej.

W takim razie, jeżeli dobrze rozumiem, zmiany wymagałyby rezygnacji z kompromisu wypracowanego w latach 90. XX w. i wprowadzenia albo systemu parlamentarnego, albo prezydenckiego? Które rozwiązanie uważa Pan za lepsze?

W tradycję polskiej państwowości wpisany jest parlamentaryzm. System prezydencki istniał tylko raz, na mocy konstytucji kwietniowej 1935 r. Ten pomysł się nie sprawdził. Władza prezydenta była zbyt rozległa.

Czy w związku z tym wybory prezydenckie powinny być powszechne?

Prezydent powinien być wybierany tak jak w każdym systemie parlamentarnym, przez Zgromadzenie Narodowe bądź inne ciało kolegialne. Jak już wcześniej wspomniałem, wybór powszechny powoduje, że wyborcy mają konkretne oczekiwania w stosunku do prezydenta, których on nie może spełnić, bo nie ma takich kompetencji. W systemie

władzy z organami Unii Europejskiej. Konstytucja w obecnym kształcie nie przeszkadza członkostwu Polski w UE, umożliwia je. Jednakże nic poza tym. Tymczasem Unia Europejska jest tak istotnym projektem, że konstytucja nie może jej przemilczać. Kiedy konstytucja była tworzona w latach 90., trudno było przewidzieć, kiedy (i czy w ogóle) Polska do Unii wstąpi, stąd brak odpowiednich regulacji. Od wejścia Polski do UE upłynęło już pięć lat. Najwyższy czas, żeby UE stała się wyraźnie rozpoznawalna przez polską Ustawę Zasadniczą.

Jeśli chodzi o inne propozycje zmian, to powinno się zrezygnować z upoważnienia prezydenta do wyboru Prezesa Trybunału Konstytucyjnego. Chodzi o to, że prezydent ma uprawnienie do przedłożenia projektu ustawy w celu określenia jej zgodności z konstytucją. To oznacza, że jest potencjalnie bezpośrednio zainteresowany sprawami prowadzonymi przez Trybunał Konstytucyjny. Pojawia się konflikt interesów. Prezydent nie powinien mieć wpływu na wybór prezesa tej instytucji. Prezesa powinni wybierać sami sędziowie Trybunału Konstytucyjnego, niech oni decydują, kto będzie ich szefem.

Spotkałem się z opinią powtarzaną przez niektórych konstytucjonalistów, że konstytucję powinno się chronić przed zbyt częstym zmienianiem. Jedną z propozycji jest wprowadzenie obowiązkowego przeglądu konstytucji np. raz na 10 lat przez ciało kolegialne złożone ze specjalistów, którzy proponowałiby ewentualne zmiany, gdyby uznali, że takowe są konieczne. W okresie po-

między przeglądami zmiana konstytucji byłaby bardzo utrudniona i możliwa tylko w wyjątkowych przypadkach. Co Pan sądzi na ten temat?

To jest interesujący pomysł, wart rozważenia. Jednocześnie pamiętajmy, że jak dotąd konstytucja została zmieniona tylko dwukrotnie: w 2006 roku wprowadzono zapisy dotyczące Europejskiego Nakazu Aresztowania, a ostatnio, w 2009 roku zmieniono art. 105 konstytucji dotyczący rozszerzenia przesłanek biernego prawa wyborczego, wprowadzając zakaz wyboru do sejmu lub do senatu osoby skazanej prawomocnym wyrokiem na karę pozbawienia wolności za przestępstwo umyślne ścigane z oskarżenia publicznego. Tak więc obecnie nie widzę zagrożenia zbyt częstymi zmianami konstytucji.

Wracając do Trybunału Konstytucyjnego, był Pan jego prezesem w okresie od 4 listopada 2006 r. do 25 czerwca 2008 r., czy zdarzały się próby nacisków, próby wpływania na decyzje sędziów, np. ze strony posłów?

W czasie całej kadencji zdarzyło mi się jeden raz, że próbowano wpłynąć na moje stanowisko. Zabawne, że osoba, która starała się przekonać mnie do zajęcia określonego stanowiska, nie zdawała sobie sprawy, że jest ono całkowicie zbieżne z moim własnym. Wymaga podkreślenia, że sędziowie Trybunału są całkowicie niezawisli. Żaden sędzia nie utożsamia się z opcją polityczną, która miała wpływ na jego wybór. Funkcją, którą pełni, jest ukoronowaniem jego kariery. Jednocześnie warto podkreślić, że na całe szczęście nikt nie może być wybrany na kolejną kadencję. Sędzią Trybunału można być tylko jeden raz. Gdyby było inaczej, ubiegający się o reelekcję mógłby być bardziej podatny na naciski. Obecnie takiego zagrożenia nie widzę.

Czy Trybunał Konstytucyjny można jakoś ulepszyć?

Regulacje kształtujące Trybunał Konstytucyjny są właściwe. Jedyne zmiany, które moim zdaniem można by rozważyć, to wydłużenie kadencji sędziów, np. do 12 lat [obecnie jest to 9 lat], zmiana wyboru prezesa, o której już mówiłem i zwiększenie roli senatu poprzez przyznanie mu prawa wyboru części sędziów. Inne zmiany są zbędne. Za

szczególnie szkodliwe uważam pomysły, które się czasem pojawiają — aby przywrócić uprawnienia sejmu do uchylania odpowiednią większością głosów orzeczeń Trybunału. Wymaga podkreślenia, że Trybunał zyskał realny wpływ na kształtowanie prawa właśnie z momentem, gdy jego orzeczenia stały się ostateczne.

Czy możliwe jest rozdzielenie funkcji Ministra Sprawiedliwości i Prokuratora Generalnego?

Przede wszystkim prokuratura powinna być częścią władzy sądowniczej, prokurator generalny powinien być oskarżycielem, a nie sędzią śledczym. To w latach 50., w czasach stalinizmu, przyznano Prokuratorowi Generalnemu kompetencję sędziego śledczego. To jest do zmiany. Należy poważnie rozważyć ustanowienie odrębnego w swych kompetencjach stanowiska sędziego śledczego. W ten sposób Prokurator Generalny naturalnie nie będzie miał wpływu na prowadzone śledztwa. Pozwoliłoby to ograniczyć oskarżenia o polityczne naciski na prokuraturę, jakie się czasem pojawiają. Jednocześnie Minister Sprawiedliwości nie powinien się wtrącać do władzy sądowniczej. Minister pełni funkcję polityczną i tym się powinien zajmować, polityką.

Był Pan jednym z twórców reformy samorządowej w Polsce, czy Pana zdaniem reforma się udała? Od czasu do czasu pojawiają się głosy, że np. powiaty powinno się zlikwidować.

Powiaty powinny zostać zachowane. Są one silnie umiejscowione w tradycji polskiego samorządu. One tak naprawdę zawsze istniały, nawet jeśli czasem były inaczej nazywane. Natomiast końcowy efekt reformy samorządowej odbiega od idei, która przyświecała koncepcji tworzonej przy moim udziale. Przede wszystkim brak jest skutecznej kontroli nad finansami jednostek samorządu. Taka kontrola powinna być pełna i fachowa. Tymczasem Regionalne Izby Obrachunkowe spełniają jedynie tę drugą cechę. Kontrole są tylko wyrwykowane i nie mogą objąć całości finansów gminy. Co więcej, wprowadzenie bezpośrednich wyborów wójta, burmistrza i prezydenta miasta dodatkowo osłabiło kontrolę lokalnej rady nad finansami będącymi w gestii lokalnej władzy wykonawczej.

Rozwiązaniem wartym zastanowienia jest potraktowanie finansów jednostki samorządu tak jak w każdej firmie i wprowadzenie obowiązku przeprowadzenia audytu z prawdziwego zdarzenia.

Powinien być to audyt przeprowadzony przez profesjonalistę z zewnątrz, tzn. fachowy i jednocześnie zupełny, obejmujący całość finansów i wykonanie budżetu.

Samorządy są poza tym za bardzo upolitycznione. Prowadzi to do tego, że urzędnicy nie mają wystarczająco silnej, samodzielnej pozycji w stosunku do radnych. Muszą pracować ze

W mojej ocenie wybór konkretnej osoby w wyborach większościowych przy zastosowaniu okręgów jednomandatowych byłby lepszy i pozwoliłby odpartyniować wybieralne ciała kolegialne (jak sejm czy lokalne rady).

świadomością, że narażenie się danej opcji politycznej może ich pozbawić pracy. Tymczasem radnymi zostają osoby wskazane przez partie polityczne, gdyż system wyborczy funkcjonuje w oparciu o ordynację proporcjonalną (tylko w gminach poniżej 20 000 mieszkańców jest ordynacja większościowa). W dodatku tacy radni często traktują swoją pracę nie jak misję, działanie na rzecz lokalnej społeczności, a wręcz przeciwnie — jak zwykłe źródło zarobkowania. Dlatego uważam, że radnym nie powinny przysługiwać wysokie diety, jak to jest obecnie, a co najwyżej zwrot utraconych zarobków w związku z koniecznością pracy w samorządzie.

Wspomniał Pan o nadmiernym upolitycznieniu samorządów jako efekcie zastosowania ordynacji proporcjonalnej. Pełnił Pan w latach 1990-93 funkcję Generalnego Komisarza Wyborczego, czy widzi Pan możliwość odpolitycznienia wyborów w Polsce? Skąd się bierze niska frekwencja wyborcza?

Polacy nie rozumieją prawa, o czym już mówiłem! Zasady przeprowadzania wyborów (na wszystkich szczeblach) są wyjątkowo skomplikowane i całkowicie niezrozumiałe również dla osób z wyższym wykształceniem. Nawet jeden z moich znajomych, adwokat, był bardzo zaskoczony, gdy wytłumażyłem mu, na czym polega zasada proporcjonalności. Ludziom się wydaje, że stawiając krzyżyk przy danym nazwisku głosują właśnie na tę konkretną osobę. Tymczasem taki głos oddany jest na partię, kandydat może odnieść z tego korzyść dopiero w drugiej kolejności. Niska frekwencja w czasie wyborów bierze się między innymi z tego, że ludzie nie rozumieją zasad systemu wyborczego, więc do wyborów nie idą. Nie widzą siły swojego głosu.

Obrońcy wyborów proporcjonalnych argumentują, że przy ordynacji większościowej (z okręgami jednomandatowymi) duża część głosów może się zmarnować. Twierdzą, że wygrywa jedna osoba, a reszta, choćby w sumie zebrała kilkadziesiąt procent głosów, wybory przegra. Jednakże to jest kwestia podjęcia decyzji, czy wybieramy konkretne osoby ze względu na ich kwalifikacje lub inne zalety, czy wybieramy partię polityczną, która nam narzuca kandydatów.

Dotyczy to zwłaszcza wyborów samorządowych. Wprowadzenie w gminach powyżej 20 000 mieszkańców zasady proporcjonalności to nonsens. Uderza to w samą ideę samorządu jako takiego i powoduje to, o czym była już mowa — nadmierną władzę partii politycznych. Co więcej, system

niem obejmującym orzecznictwo sądów, to nie jest dobre rozwiązanie. Można co prawda przekazać w ten sposób wiedzę merytoryczną, ale nie da się przekazać aplikantowi wartości, które powinny przyświecać każdemu prawnikowi wykonującemu zawód zaufania publicznego. Warto pamiętać, że umiejętności mogą wręcz szkodzić, jeżeli wykorzystuje je osoba o niewykształconych zasadach etycznych.

Ponadto warto zauważyć, że w Polsce adwokatów jest bardzo dużo. Mówiąc o adwokatach, mam tu na myśli również radców prawnych, gdyż *de facto* są to te same zawody. W sumie to jest ponad 30 000 osób na 38 mln obywateli. W Niemczech adwokatów jest ponad 100 000, ale weźmy pod uwagę, że liczba ludności wynosi tam aż 82 mln.

Rozwiązaniem wartym zastanowienia jest potraktowanie finansów jednostki samorządu tak jak w każdej firmie i wprowadzenie obowiązku przeprowadzenia audytu z prawdziwego zdarzenia.

proporcjonalny powoduje, że również kandydaci z tej samej listy (partii) walczą ze sobą. To absurd, to wszystko powoduje obniżenie kultury politycznej.

Co Pan sądzi o pomysle wprowadzenia obowiązku głosowania, tak jak to jest np. w Belgii, przy jednoczesnym karaniu mandatem osoby, która nie uczestniczy w wyborach bez usprawiedliwienia?

To jest pomysł całkowicie absurdalny. Weźmy pod uwagę, że przecież niepójście na wybory to też jest wybór! Obywatel ma do tego pełne prawo.

Przez szereg lat wykonywał Pan zawód radcy prawnego. Jako aplikant radcowski chciałbym na koniec zapytać, co Pan sądzi o formie, w jakiej obecnie odbywa się aplikacja radcowska (adwokacka jest zresztą podobna).

Szkolenie aplikantów powinno się opierać na relacji mistrz–uczeń. Patron powinien kształtować przyszłego aplikanta z naciskiem na etykę zawodu, wpajając wartości moralne. Prowadzenie szkolenia polegającego na gromadzeniu masy ludzi na wykładach będących w istocie powtórzeniem tego, co aplikant usłyszał na uniwersytecie z rozszerze-

To znaczy, że nasycenie rynku w Polsce i w Niemczech wcale tak bardzo od siebie nie odbiega. Na efekty nie trzeba długo czekać. Już dziś w Polsce zdarzają się adwokaci, których nie stać na opłacanie składki korporacyjnej.

Czy korporacje radcowska i adwokacka powinny się połączyć?

Tak, powinny się połączyć, ale z drugiej strony, jeżeli tego nie zrobią, to nic złego się nie stanie.

Dziękuję za rozmowę. ■

O autorze:

Jerzy Stępień

Prawnik, były działacz opozycji demokratycznej. Ukończył studia na Wydziale Prawa i Administracji Uniwersytetu Warszawskiego. Sprawował urząd sędziego oraz prezesa Trybunału Konstytucyjnego. Był senatorem.

Dwa narody

Bronisław Geremek

Nie ma sprawiedliwości bez wolności

Wstęp Marka Goldfingera do tekstu Bronisława Geremka: *Dwa narody. Nie ma sprawiedliwości bez wolności*.

Tekst, który przedstawiam poniżej, nie wymaga właściwie żadnego komentarza. Jest on, jak się wydaje, jedną z pełniejszych prezentacji postawy z początku drugiej połowy lat 80. zmarłego przed rokiem Bronisława Geremka. Tekst nosi tytuł *Dwa narody* i został przedstawiony jesienią 1986 roku na sympozjum zorganizowanym przez Instytut Francuski w Warszawie. Był jednym z pierwszych, o ile nie pierwszym publicznym wystąpieniem Profesora po wprowadzeniu stanu wojennego.

Od tego czasu, mimo wydrukowania go jeszcze w połowie lat 80. zarówno w wersji polskiej, jak i francuskiej tekst ten był na poły zapomniany. Nie ma o nim słowa nawet w najlepszej, jak dotychczas, biografii politycznej Profesora — *Bronisława Geremka droga do wolnej Polski*, napisanej przez Andrzeja Friszke. Odkryłem go dopiero, gdy przygotowywałem kilka lat temu biogram Profesora do *Słownika opozycji politycznej* w Polsce w latach 1956–1989. I gdy powiadomiłem Profesora, że

chciałbym przedstawić korzenie jego intelektualnej sylwetki politycznej z tamtego czasu wokół interpretacji tego właśnie tekstu, ucieszył się bardzo i w liście do mnie zaakceptował ten pomysł; również ostatnio, gdy przygotowywałem podobny biogram do *Słownika dysydentów. Czołowe postacie ruchów opozycyjnych w krajach komunistycznych w latach 1956–89*, Profesor nie wniósł żadnych zastrzeżeń. Myślę więc, że mam pewne prawo do ukazania wspomnianego tekstu właśnie teraz w pełnym kształcie. Przypomnijmy tylko, że tekst ten powstał w momencie, gdy latem 1986 roku ówczesne władze PRL-u zdecydowały się na wypuszczenie z więzień ostatnich, jak twierdzono, przetrzymywanych tam z powodów politycznych osób, czyli działaczy Solidarności. Tym samym otwierał się nowy etap życia politycznego i społecznego w zmęczonym wojennym i kolejnymi nieudanymi reformami Polsce. Jesienią tego roku władze sondowały wejście poszczególnych działaczy związanych z opozycją w Polsce do powołanej w grudniu tego roku Rady Konsultacyjnej przy Przewodniczącym Rady Państwa Wojciechu Jaruzelskim. Można więc czytać ten tekst jako głos w ówczesnej dyskusji politycznej. Tym bardziej że nie umilkły jeszcze echa wystąpień „opozycyj-

nych realistów” uznających okres Solidarności za zamknięty, a za cel polityczny stawiających sobie „historyczny kompromis”, czyli w praktyce współpracę pojedynczych osób, a nie niezależnych instytucji, z ówczesnymi władzami państwowymi. Tekst oprócz bardzo przejrzystej warstwy ideowej, zawiera również inną. Obok nawiązania do myśli E. Abramowskiego (samoorganizujące się poprzez stowarzyszenia społeczeństwo), S. Ossowskiego (pluralizm w perspektywie istnienia władzy monopolistycznej), a także refleksji L. Kołakowskiego (jak być konserwatywno-liberalnym socjalistą), F. Braudela (wolny rynek bez kapitalizmu), E. Mouniera (rewolucji personalistycznej) i B. Disraeliego (konserwatyści przeprowadzającego demokratyzujące reformy polityczne i społeczne), a nawet do dokumentów Jana Pawła II (poddania kontroli społecznej władzy ekonomicznej) jest też tekstem politycznym ukazującym perspektywę możliwego porozumienia. Porozumienia, nie ugody, i to „w duchu porozumień sierpniowych”, jak powiedział to Profesor w jednym z udzielonych w tym czasie wywiadów. To znaczy porozumienia, a właściwie systemu porozumiewania się, a nie „fałszywej normalizacji” jak chciałoby władze, porozumienia przedstawicieli organizującego się społeczeństwa, może nawet bardziej szerokiego ruchu społecznego, niż tylko związku zawodowego z władzą. Warto tu zaznaczyć, że Związek „Solidarność” to dla Profesora w tym czasie „ruch (...) w realizacji praw człowieka, w usensownieniu pracy, reformie gospodarki i demokratyzacji państwa”

Tekst jest pośrednio przeciwstawieniem się zarówno bierności społeczeństwa, jak i radykalizmowi części ówczesnych działaczy. Jest również wezwaniem do samoorganizowania się przedstawicieli społeczeństwa zgodnie z myślą programu Rzeczpospolita Samorządna przyjętego przez I Zjazd Solidarności jesienią 1981 roku. Samoorganizowania się, poprzez zakładanie własnych instytucji społeczeństwa obywatelskiego, przede wszystkim stowarzyszeń, które mogą działać — zdaniem Profesora — na rzecz zminimalizowania roli państwa. Równocześnie tekst ten jest wezwaniem do prowadzenia dialogu na warunkach „równy z równym”, czyli — jak powie to Geremek w innych tekstach z tego czasu — gdy obie strony wiedzą, że muszą trochę ze swoich głównych celów ustąpić i równocześnie zachować tożsamość. Podstawą polityki ma być — przypomnijmy — linia konsekwentnego

oporu, w postaci obrony przynajmniej tego, co zostało wywalczone w porozumieniach sierpniowych 1980 roku. Przykładem takich działań jest zapewne powstała już we wrześniu 1986 roku z woli przywódców solidarnościowej opozycji, równoległe do nadal istniejącej tajnej, również jawnej struktury Solidarności w postaci Tymczasowej Rady NSZZ „Solidarność”. Jak twierdził Geremek, może ona stanowić realną ofertę dialogu wobec władz, „ponieważ powstał zespół mający możliwość działań negocjacyjnych”. Elementy podobnego myślenia można odnaleźć w tamtych czasach m.in. u Jacka Kuronia, Tadeusza Mazowieckiego czy Andrzeja Wielowieyskiego. Wśród konkretnych dotyczących podstawowego tezy prezentowanego tekstu, czyli form samoorganizowania się społeczeństwa, zarówno Profesor, jak i wspomniani powyżej autorzy wymieniają w bliskiej perspektywie czasowej m.in. pluralizm związkowy, niezależność samorządów terytorialnych, samorząd zawodowy, wolność słowa i zrzeszania się oraz szeroko rozumianą swobodę działania w sferach kultury oraz w sferze społeczno-gospodarczej. A rok wcześniej również Adam Michnik pytał o możliwość transformacji ustrojowej za pomocą kompromisu z „despotyzmu w system parlamentarnej demokracji”. Ten tekst można też czytać jako próbę wyjaśnienia stanowiska politycznego opozycji w kategoriach zrozumiałych w polityce europejskiej.

Jest to jedna z prób odpowiedzi na pytanie dyplomatów — jakie „instrumenty nacisku” może mieć wówczas opozycja? Bezpośrednim jego adresatem są przecież zaproszeni przedstawiciele francuskich elit intelektualnych. Przypomnijmy tutaj, że powstał on niedługo po tym, jak Gorbaczow, przynajmniej werbalnie, odszedł od „doktryny Breżniewa” ograniczającej swobodę działania władz komunistycznych w poszczególnych krajach bloku sowieckiego i rozpoczął politykę „pierestrojki i głośności”. A równocześnie wtedy, gdy Solidarność zaczęła prowadzić własną politykę zagraniczną. Jej przywódcy i doradcy coraz częściej spotykali się z dyplomatami zachodnimi. Być może również dlatego, a nie tylko z racji ideowych, pojawia się w tym tekście Disraeli i Mounier, a w pewnym sensie również Jan Paweł II, opowiadający się za zmianami wprowadzanymi drogą ewolucyjną, ale stanowczą. Tekst ten chce pokazać również Europejczykom możliwy polski wkład ideowy (Abramowskiego i Ossowskiego) oraz doświadczenie

społeczno-polityczne z poprzednich kilku lat w rozwiązywaniu konfliktów, które — jak zdawał się uważać już wówczas Geremek — dotyczą przede wszystkim rzeczywistości politycznej Europy Środkowo-Wschodniej, ale również w pewnym stopniu cywilizacji Zachodu, wszędzie tam, gdzie widoczny jest konflikt rządzących i rządzonych. Nic więc dziwnego, że przy tych wszystkich okolicznościach wspomniana powyżej propozycja władzy musiała spotkać się z odrzuceniem jej przez Geremka i środowisko przywódców i doradców ówczesnej Solidarności. A równocześnie znamienne jest, że w następnych latach, już po roku 1987, liczba inicjatyw społecznych (politycznych, stowarzyszeniowych, wydawniczych itp.) znacznie wzrosła i kierunek opisany przez Profesora zaowocował powstaniem m.in. środowiska, które ogłosiło program docelowego uzyskania niepodległości na drodze negocjacji, program, który stał się podwaliną Komitetu Obywatelskiego przy Lechu Wałęsie i zwycięstwa w wyborach czerwcowych 1989 roku.

Bronisław Geremek: Dwa narody. Nie ma sprawiedliwości bez wolności.

Czy w naszych czasach można być konserwatywno-liberalnym socjalistą?

Nomenklatury polityczne mają ogromną siłę inercji. Zmienia się kontekst cywilizacyjny i socjologiczny, zmieniają się struktury władzy, zmieniają się treści programów — a nazwy orientacji i partii politycznych, uformowane w większości w XIX wieku, nadal się utrzymują. Można to uznać za rezultat konwencjonalizacji gry politycznej. Zjawisko to występowało już w dawnych społeczeństwach — w Bizancjum stronnictwa określały się odmienną barwą — ale w epoce nowoczesnej stało się ono naturalną konsekwencją upowszechnienia się systemu parlamentarnego: zasadą zmiany lub kontynuacji władzy jest odniesienie do programów partyjnych. Zaangażowanie ludzi w życie publiczne dokonuje się również wedle pewnych zagregowanych opcji, na mocy których opowiadają się oni za czymś i przeciw czemuś, za i przeciw pewnym celom, a nie tylko za kimś i przeciw komuś.

W wypadku pojęcia socjalizmu sprawa komplikuje się z wielu powodów. Pojęciem tym w dyskursie politycznym określa się nie tylko ruch polityczny,

ale także organizację społeczeństwa, która stanowić ma realizację tego ruchu. Pojęcie „socjalizmu realnego” najpierw wprowadziła do obiegu antykomunistyczna politologia, a potem zostało ono przejęte afirmatywnie przez oficjalną propagandę państwową w krajach bloku wschodniego. Logiczną konsekwencją tego nawyku językowego jest konkluzja, że poza socjalizmem realnym może być tylko socjalizm nierealny. Wreszcie termin „socjalizm” funkcjonuje już od ponad półtora stulecia i obejmuje różnych ludzi i różne sytuacje. Socjalistami ogłosili się twórcy falansterów i chrześcijańscy szermierze sprawy robotniczej w XIX wieku, w okresie amerykańskiego New Deal'u prezydent Franklin D. Roosevelt otwierał posiedzenie swojego gabinetu słowami „Witajcie koledzy socjaliści” i mianem socjalistycznej określał Józef Stalin konstytucję radziecką 1935 roku [wprowadzoną w ZSRR w 1936 roku — red.]. Do socjalizmu odwoływały się ruchy totalitarne XX wieku — i Czernoni Khmerowie także. Można pozbywać się problemu twierdząc, że pojęcia socjalizmu nieraz nadużywano. Jest to jednak uchylenie się od refleksji nad słabościami wewnętrznymi programów socjalistycznych. Powstaje bowiem pytanie, jak to się mogło stać, jakie to niedopowiedzenia — lub też jakie „dopowiedzenia” — stworzyły możliwości eksploatacji pojęcia i przybierania nazwy „socjalistyczny” przez ruchy, które zagroziły cywilizacji europejskiej i łaadowi świata. Odpowiedzi na to pytanie jest wiele. Wskazują one zwłaszcza na to, że radykalna negacja status quo i towarzysząca jej pretensja do budowy nowego ładu generalnego — do stworzenia „nowego człowieka” i „nowego ludu”, jak to głosiły ideologie rewolucyjne — zagraża wartościom leżącym u samych podstaw ładu, człowieka i ludu. Ale rzeczą najważniejszą jest zachować w świadomości to najważniejsze pytanie.

Paradoks ironicznej i gorzkiej propozycji Leszka Kołakowskiego — moje pokolenie nigdy do końca nie wypowie swojego długu wobec jego refleksji — aby dać prawo obecności konserwatywno-liberalno-socjalistycznemu programowi jest tylko pozorny. Jest to apel o poddanie polityki światowi wartości. Wszelka reasumpcja musi tu być ułomna, ale można chyba powiedzieć, że w rozwichrzonym, niepewnym i nieszczęśliwym (myślę tu o braku szczęścia, a nie o jego przeciwieństwie) schyłku XX wieku chodzi o poszanowanie dorobku prze-

szłości, o pochwałę godności człowieka i wolności ludzi, grup, narodów, o sprawiedliwość, w której mieści się równość szans, przezwycięzenie egoizmu jednostek i klas, solidarność ludzi.

Konstatacja „dwa narody” przybiera w XX w. odmienne znaczenie, niż miała w ubiegłym stuleciu: zniewolenie polityczne wysuwa się przed zniewolenie ekonomiczne.

„Dwa narody, między którymi nie ma żadnych stosunków wzajemnych, jak też żadnej sympatii, które wzajemnie nie znają swoich zwyczajów, myśli i uczuć, jakby byli mieszkańcami odmiennych stref lub różnych planet; które uformowane zostały przez różne systemy wykształcenia i wychowania; które żyły się innym pożywieniem i podlegają odrębnym stylom życia i nie podlegają tym samym prawom”. Tak pisał w połowie XIX wieku Benjamin Disraeli w powieści Sybil or Two Nations (1845). Po tym opisie padały słowa: „Chodzi — powiedział Egremont z wahaniem — o bogatych i biednych”.

Ta właśnie sytuacja leżała u podstaw moralnych ubiegłego stulecia. Była wyzwaniem dla refleksji społecznej, budziła uczucie rewolty u jednych i burzyła spokój sumienia u innych. Poczucie sprawiedliwości społecznej zakorzenione w przekazie Ewangelii i artykułowane w programach socjalistycznych, kazało ten podział potępiać, bo był wynikiem zniewolenia jednych przez drugich, zasadał się na poniżeniu godności ludzkiej i uprzedmiotowieniu szerokich mas. Teorie historyograficzne podboju dokonywały nawet osobliwej racjonalizacji owego podziału na dwa narody, wyprowadzając genezę „narodu bogatych” z ludu najeźdźców i „narodu biednych” z ludu podbitego.

W sytuacji gospodarczej tkwiła niesprawiedliwość pałaca i krzycząca. W tej płaszczyźnie sytuował się przeto punkt ciężkości programów socjalistycznych i przeciwko zniewoleniu gospodarczemu człowieka kierowały się wizje porządku sprawiedliwego. Ale obraz „dwóch narodów” poddaje się także innej lekturze. Pojawił się on w refleksji nad aktualną sytuacją polską, ale można tej metaforze — bo przecież jest to tylko metafora — przyznać walor bardziej generalny. Egremont nam współczesny mógłby powiedzieć, że chodzi o rządzących i rządzonych. A nad Wisłą powiedziałaby „my” i „oni”;

odrębne więzi przyjaźni, wzajemna nieufność i obcość, odmiennosc obyczajów, myśli i uczuć. Idąca w parze z odmiennością systemów wartości różnica w rzeczywistych prawach, ba, nawet różnice w języku. Podział ten jest ostry i dramatyczny właśnie dlatego, że owa wizja dwóch narodów jest tylko metaforą, a naprawdę chodzi o jeden i ten sam naród, którego ogromna większość ma poczucie zniewolenia, utraty podmiotowych praw, poniżenia. Miejszem tego uprzedmiotowienia człowieka jest sfera życia publicznego. Dotyczy to w największej mierze krajów, w których z jednej strony państwo dysponuje monopolem własności wielkich środków produkcji (albo do niego zmierzają), bowiem sfera życia publicznego panuje bezpośrednio nad sferą pracy, z drugiej zaś strony system polityczny nosi charakter niedemokratyczny. Dramatyczne rozdarcia, które miały miejsce w krajach Zachodu w latach 60. każą jednak myśleć, że w jakiejś mierze dotyczy to także systemów demokratycznych. Jeżeli zatem współczesny dramat „dwóch narodów” przesunął się z domeny materialnej ku domenie politycznej, to imperatywem poczucia sprawiedliwości jest upodmiotowienie polityczne człowieka-obywatela, grup społecznych i społeczeństwa.

Rynek to wolność, ale może nie ma sprzeczności między rynkiem a sprawiedliwością?

W myśli dawnego i współczesnego liberalizmu powiedziano dostatecznie wiele o dobrodziejstwach rynku, a dawni i współcześni krytycy liberalizmu powiedzieli dostatecznie wiele o okrucieństwie i braku racjonalności gry rynkowej, żeby można było uznać, iż inwentarz wad i zalet został dokonany. Spór ten tkwi u podstaw podziałów ideologicznych i wielkich kontrowersji epoki nowożytnej.

Optymistycznemu zachwytowi Adama Smitha nad doskonałością mechanizmów rynkowych, w których „niewidzialna ręka” dokonuje samostnej syntezy interesów partykularnych i interesu zbiorowego, już od XVIII stulecia przeciwstawia się krytyka negatywna. Przedmiotem odrzucenia jest nie tylko rynek, ale w ogóle handel. Bowiem w handlu Rousseau widzi pokusę złą, a Babeuf głosi niemoralność konkurencji faworyzującej posiadaczy pieniędzy i pogarszającej jakość produktów. Saintsimoniści i socjaliści chrześcijańscy XIX wieku widzieli w handlu i konkurencji czynnik

ustawicznej, morderczej wojny między jednostkami i między narodami. Tę głęboką odrazę do rynku odziedziczyły ruchy i programy socjalistyczne XIX i XX w. — rynkowi przeciwstawiały planowanie i państwo, albo też planowanie, czyli państwo. Utrwalało się przekonanie, że po to, aby uśmiercić kapitalizm, trzeba uśmiercić rynek, niszczyć jego podstawy, tropić jego ślady i pozostałości. Zbędne byłoby podkreślanie, że nie była to tylko zapamiętałość doktrynalna i dyskurs teoretyczny, ale że miało to konsekwencje praktyczne dla ogromnej polaci świata. Antagonizm socjalizm versus rynek jest groźny dla przyszłości wszelkiej ideologii socjalistycznej. A co ważniejsze, jest groźny dla ludzi. Spojrzenie historyka na dzieje wymiany i rolę rynku w historii tej kontrowersji ideologicznej nie może rozwiązać. Chciałbym jednak przywołać w tym miejscu myśl Fernanda Braudela, który dokonał operacji niezwykle istotnej — rozłączenia bliźniąt syjamskich rynku i kapitalizmu. Ukazał kapitalizm jako sferę, w której dążenie do zysku jakby potworniej, doprowadzone zostaje do granic możliwości, do utraty tchu, a gospodarcze korporacje zdobywają pozycję uprzywilejowaną. Stają one ponad rynkiem, zmierzając do uwolnienia się od jego praw. Można wtedy podawać w wątpliwość kapitalizm jako wykwit gospodarki rynkowej, zachowując zarazem dla niej poszanowanie. Bo rynek jest duszą dynamiki gospodarczej i katalizatorem energii ludzkich. „Rynek — pisze Braudel — to wyzwolenie, otwarcie, dostęp do innego świata”. Zmierzając do łagodzenia lub burzenia struktur nierówności, do łagodzenia lub burzenia struktur dominacji i eksploatacji nie wolno naruszać tego, co wielki historyk francuski uważa za elementarny i zasadniczy dobrobyt nowożytnego rozwoju: „wolność u podstaw, niezależną kulturę, gospodarkę rynkową bez szulerskich kart plus trochę braterstwa”.

Powiedzieć można, że im więcej braterstwa, tym mniejsza jest presja rynku na potęgowanie nierówności społecznych. Lecz we wszelkich poczynaniach reformatorskich należy przyjąć za punkt wyjścia to, iż najpierw trzeba uznać rynek. Nie tylko dlatego, że dotychczasowe doświadczenie historyczne uczy, iż jest on generatorem wolności. Może także dlatego, że łamanie niesprawiedliwości rynku wprowadzało, jak dotąd, niesprawiedliwość przemocy. A zastępowanie wszechwładzy kapitału wszechwładzą państwa prowadzi do pogorszenia efektywności gospodarczej i do pogorszenia losu

ludzi, bo odbiera sensowność pracy człowieka i eliminuje wartości osobowe. W encyklice Jana Pawła II *Laborem exercens* [Encyklika o pracy ludzkiej — red.] znajduje się wywód o szczególnej sile krytycznej w stosunku do porządku gospodarczego opartego na zawłaszczaniu przez państwo podstawowych środków produkcji. Wskazując na racje osobowe przemawiające za prywatną własnością, encyklika stosuje „argument personalistyczny” także do zbiorowej własności środków produkcji, w której tworzyć trzeba sytuację analogicznej świadomości pracowania „na swoim”. W ślad za przesłaniem krytycznym zarysowany jest tam jednak pewien projekt zwrócony w przyszłość. Oto on: „O uspołecznieniu można mówić tylko wówczas, kiedy zostanie zapewniona podmiotowość społeczeństwa (...) Droga do osiągnięcia takiego celu mogłaby być drogą połączenia, o ile to jest możliwe, pracy z własnością kapitału i powołania do życia w szerokim zakresie organizmów pośrednich (...), które cieszyłyby się rzeczywistą autonomią w stosunku do władz publicznych”. Odnajduję w tym tekście myśli i poszukiwania nowożytnej wyobraźni społecznej, ale i nadzieję, otwartą polskim doświadczeniem sierpnia 1980 roku.

Wolność i państwo: a może jak najmniej państwa, jak najwięcej „systemu porozumień”?

W kraju, w którym na granicy ubóstwa pozostają miliony ludzi, w którym sytuacja materialna ogromnej większości emerytów uwłacza godności ludzkiej, w którym system opieki zdrowotnej cierpi na drastyczny brak środków — niepokój o nadmiar funkcji opiekuńczych państwa czy też o nieprawowość „państwa dobrobytu” (*welfare state*), może się zdawać mało zasadny, odległy, metafizyczny. Jest jednak rzeczą znaną, że pomimo tego ubóstwa opieki państwowej — a i ono wydaje się niektórym propagandystom rządowym zbyt — społeczne funkcje państwa jawią się jako wyzwanie człowieka z odpowiedzialności za innych ludzi, jako ograniczanie sfery podejmowania decyzji podmiotowych, jako paternalistyczna pretensja państwa.

Z państwem łączyły się nadzieje ruchów reformatorskich. W programach socjalistycznych ubiegłego stulecia państwu przypisywano rolę organizatora harmonijnego ładu, promotora dobra zbiorowości, strażnika sprawiedliwości społecznej. Wybór środków, jakimi państwo mogło dysponować dla speł-

nienia tych funkcji nie był problemem technicznym, ale dotyczył jego istoty: był to bowiem wybór między — mówiąc skrótowo — policją a fiskusem, między przemocą a regulacją. Rezultat zależy od siły mechanizmów demokratycznych, które stwarzają gwarancje przeciw arbitralności władzy. Przykład Szwecji można przytoczyć jako argument na rzecz takiej szerokiej regulacyjnej i sprawiedliwej tendencji rozwoju państwa, lecz jest to argument obosieczny: przecież Ingmar Bergman uciekał ze swojego kraju nie tylko chroniąc swe mienie przed fiskusem, ale w poczuciu niemocy wobec niewolącej siły biurokracji.

Europa współczesna zdaje się [być] uwikłana w jakobińską tradycję państwa, która gwarancję szczęścia abstrakcyjnego ludu widziała w centralizacji, w obejmowaniu coraz szerzej i coraz pełniej życia ludzkiego sferą działania państwa. W tej tradycji państwo jest naturalnym nosicielem wolności, w tym przynajmniej sensie, że wytwarzać ma ono przymus wolności — obywatela, jeżeli tego trzeba, należy zmusić do bycia wolnym. Doświadczeniem historycznym demokracji jest zasadnicze zanegowanie tej mentalności politycznej, bo człowiek obywatelem staje się poprzez potrzebę wolności, przez własną wolę bycia wolnym. Może jednak należy pójść o krok dalej i poddać w wątpliwość trend rozwoju etatyzmu, którego zwieńczeniem jest „pokusa totalitarna”, jest państwo, które z woli abstrakcyjnego ludu poddaje represji i opresji lud realny?

U progu naszego stulecia w polskiej myśli socjalistycznej rozlegał się głos, który uległ potem przytłumieniu, ale który u schyłku tego stulecia zachowuje jednak pewną siłę. Myślę tu o niepokojach Edwarda Abramowskiego, który w ideologii „socjalizmu państwowego” widział przeszkodę w przemianie moralności powszechnej, bo realizacja tej ideologii prowadzi ku etatyzmowi, ku wszechwładzy biurokracji i policji. Abramowicz mówił, że w tej tendencji tkwi groźba ujarzmienia moralnej indywidualności człowieka. Te słowa o przemianie etycznej zdają się w szczególny sposób współbrzmieć z Emanuela Mouniera postulatem „drugiej rewolucji”, tej, która poza nowym porządkiem społecznym i technicznym doszukiwałaby się przywrócenia człowiekowi zdolności panowania nad rzeczami. Bo przecież państwo jest „rzeczą”. Przyjmując, że wytyczną polityki demokratycznej powinno być „zawężenie zakresu państwa”,

Abramowski — nie wchodzę tu w analizę ewolucji jego poglądów w tej sprawie — dowodził, że drogą realizowania politycznej podmiotowości społeczeństwa są „stowarzyszenia: zespolenie się dobrowolne na mocy wspólnych interesów ludzi mających równe prawa, rządzących i współwłaścicieli «wspólnego dobra»”. Program rozwoju stowarzyszeń i instytucji samorządu nie jest prostym zanegowaniem państwa, lecz przede wszystkim ideą pozytywnej realizacji praw człowieka i obywatela, zakorzenionej w projekcie etycznym. „Członek stowarzyszenia — pisał Abramowski — decydujący sam o tym, co go obchodzi, współdziałający myślą i pracą w twórczości społecznej, jest istotnie nowym typem moralnym, typem indywidualisty, który umie być świadomie solidarnym i czuje się panem życia”.

Czy sięgam tu do myśli antykwarycznej, anachronicznej, naiwnej? Sądzę, że nie. Zawarte w niej niepokoje brzmią współcześnie. A co ważniejsze — współcześnie brzmią jej nadzieje. Sytuują się one całkowicie poza destrukcyjnym projektem anarchizmu, tej prostej antytezy jakobińskiego etatyzmu, i z dala od iluzji anarchosyndykalizmu. Celem tak zarysowanym jest uczynienie podmiotem politycznym człowieka i społeczeństwa, a więc stawanie się obywatela i społeczeństwa cywilnego w toku dobrowolnego łączenia się jednostek w solidarność zbiorowości.

Na tej drodze można szukać sposobów takiej zabudowy przestrzeni publicznej, ażeby zagwarantowane były prawa obywatelskie, żeby jednostki mogły je realizować i żeby zapewniona była koordynacja działań w ramach całej zbiorowości. Stanisław Ossowski kreślił perspektywę takiego ładu opartego na „systemie porozumień”, pisząc o modelu społeczeństwa, w którym „wielostopniowe porozumienie i więź społeczna miały zastąpić przymus, zapewnić szerokim rzeszom obywateli udział w społecznym planowaniu i pogodzić swobodne ścieranie się idei i skal wartości z racjonalnie skoordynowaną gospodarką”. Polski socjolog pisał te słowa w 1962 roku [data ta nie jest poprawna, w rzeczywistości socjolog pisał te słowa w 1959 roku — red.]. Čwierć wieku później można tylko powiedzieć, że nie ten model ładu społecznego był w Polsce realizowany, ale ten właśnie stawał na horyzoncie polskiego życia 1980–1981.

Może zatem właśnie na tej drodze zawężania roli państwa, negowania tożsamości przestrzeni życia publicznego z państwem, leżą nadzieje wolności? Im mniej państwa tym lepiej — pisał Andrzej Kijowski. Sądzę, że oznacza to, po pierwsze, że im bardziej państwo jest niepodległe i demokratyczne, tym łatwiej akceptuje suwerenność społeczeństwa i niezależność obywatela, a po drugie, że samoorganizowanie się społeczeństwa ogranicza ingerencję państwa w życie indywidualne i niweczy „pokusę totalitarną” władzy.

Ten tekst można też czytać jako próbę wyjaśnienia stanowiska politycznego opozycji w kategoriach zrozumiałych w polityce europejskiej.

Braterstwo i solidarność

W 1979 roku na łamach „Esprit” Tadeusz Mazowiecki, zastanawiając się nad tym co osobliwe i nad tym co uniwersalne w polskim doświadczeniu historycznym, pisał: „nabyliśmy wiedzę, że nic nie zostanie nam dane z góry, że absolutyzm oświecony socjalizmu jest złudnym ognikiem, wszystko lub prawie wszystko zależy od siły społeczeństwa, od jego wartości duchowej, od jego mądrości w rewindykowaniu praw człowieka i praw narodu”. Czy tego typu wiedza zawiera przesłanie o bardziej powszechnym znaczeniu dla współczesnej Europy? Doświadczenie historyczne Polski w czasach nowożytnych rozmiękało się z doświadczeniem Europy — dotyczy to 123 lat zaborów, dotyczy to lat powojennych. Kiedy Europa gruntowała suwerenność narodów, byliśmy jej pozbawieni. To samo można powiedzieć o wykształceniu systemu demokratycznego, opinii publicznej, realizacji praw człowieka i obywatela. Była jednak w polskich losach pewna lekcja poczucia wspólnoty.

Ulotki rozrzucone w Stoczni Gdańskiej 7 VIII 1980 r. wzywały do strajku w obronie Anny Walentynowicz. „Była zawsze pracownikiem nienagannym. Występowała przeciwko wszelkiej niesprawiedliwości, wszelkiej nierówności. Dlatego zdecydowała się na działania, które miały na celu stworzenie wolnego związku zawodowego”. I strajk się wówczas rozpoczął. Mógł się skończyć 15 sierpnia, gdy żądania stoczniowe zostały zaspokojone, podwyżki płac uzyskane — ale się nie skończył [Geremek odwołuje się do powszechnie wówczas znanego faktu, że 15 sierpnia wybuchł strajk ogólny na czele z Wałęsą, dzisiaj znany powszechnie jako „główny

strajk sierpniowy” — red.]. Bo poczucie solidarności z innymi wymagało działań dla innych. W ciągu 16 miesięcy polskiego porywu nadziei stało się trwałym z tego wstępnego poczucia solidarności. Sądzę, że trwa nadal i że nie zginie.

Były w polskim doświadczeniu ostatnich lat [Geremek pisze tu o okresie tzw. pierwszej Solidarności w latach 1980–81 — red.] wysokie aspiracje społeczne i poszukiwanie rozsądnych dróg do ich spełnienia. Było wśród nich zadanie zmniejsza-

nia krzywd — i tej zbiorowej, i tych indywidualnych. Było zadanie rzeczywistego uczestnictwa ludzi w życiu publicznym, poszukiwanie dróg budowy demokracji bezpośredniej — co stanowiło odpowiedź na brak demokracji, ale także propozycję wobec kryzysu demokracji w Europie. Poszukiwanie pluralizmu w organizacji życia społecznego, pluralizmu w systemach przedstawicielskich, było odpowiedzią na sytuację ubezwłasnowolnienia w obowiązującym tu i teraz modelu władzy, ale było także pewną propozycją dla europejskiej polis.

Wyrastająca z polskiego doświadczenia wizja nie była projektem świata sprawiedliwości, równości braterstwa, ale projektem świata, w którym byłoby więcej sprawiedliwości, równości i braterstwa. W tym polskim posłaniu znajduje się ślad myśli Mouniera i ludzi „Esprit” [„Esprit” — katolickie czasopismo francuskie o profilu chrześcijańsko-personalistycznym, założone przez E. Mouniera w 1932 roku — red.]. Tkwi w nim, sądzą, pewna propozycja, która dla Europy nie powinna być bez znaczenia, bo przypomina jej o wartości tego, co ona ma, a co może utracić, jak też o wartości tego, czego nie ma, a co może zyskać. ■

O autorze:

Bronisław Geremek

Historyk — mediewista, polityk. Jeden z najważniejszych działaczy opozycji demokratycznej. Był ministrem spraw zagranicznych, poseł na sejm kilku kadencji oraz poseł do Parlamentu Europejskiego.

Bronisław Geremek i

Realizm wartości

Solidarność

Jan Skórzyński



© Fundacja Ośrodka KARTA

Gdy w piątek 22 sierpnia 1980 roku Bronisław Geremek wchodził do strajkującej Stoczni Gdańskiej z pewnością nie wiedział, że wkracza tym samym do historii Polski. Na ogarnięte strajkiem Wybrzeże przyjechali wraz z Tadeuszem Mazowieckim, by protestującym od tygodnia robotnikom przekazać list 64 warszawskich intelektualistów. „Raz jeszcze okazało się, że polskim narodem nie można rządzić, nie słuchając jego głosu. Robotnicy polscy z dojrzałością i determinacją walczą o prawo swoje i nas wszystkich do lepszego i godniejszego życia. W tej walce miejsce całej postępowej inteligencji jest po ich stronie. Taka jest polska tradycja i taki jest nakaz chwili”.

W tekście, który powstawał u niego w domu, można odnaleźć zasady, jakimi Bronisław Geremek był wierny w swej dalszej politycznej drodze: niezbywalność praw obywatelskich, kompromis jako sposób rozwiązywania konfliktów, kategoryczne odrzucenie przemocy, połączenie rozważań i wyobraźni. Akademik, historyk średniowiecza, znawca kultury europejskiej nie skłaniał się do aktywności politycznej. Szeregi PZPR opuścił w 1968 roku w proteście przeciwko inwazji wojsk Układu Warszawskiego na Czechosłowację. Socjalizm z ludzką twarzą, który próbowali urzeczywistnić czescy i słowaccy reformatorzy, był zapewne bliską mu ideą. Jednak tamten rok i lata następne udowodniły, że naprawa systemu od wewnątrz nie może się udać. W drugiej połowie lat 70. włączył się więc w działania demokratycznej opozycji; organizował wykłady Uniwersytetu Łatającego, działając w niezależnym Towarzystwie Kursów Naukowych.

Do wejścia na szerszą arenę publiczną pchnął go sierpniowy strajk i Lech Wałęsa, który zapytał przybyłych z Warszawy intelektualistów, w jaki sposób mogą pomóc robotnikom. — My możemy występować w roli doradców, ekspertów — odparł Profesor. — I to była myśl! — wspomina Wałęsa. Nazajutrz, 23 sierpnia, Międzyzakładowy Komitet Strajkowy powołał Komisję Ekspertów. Zamiast referencji stoczniovcóm wystarczyła odpowiedź Mazowieckiego na pytanie: jak długo tu z nami będziecie? — Do końca.

W tekście, który powstawał u niego w domu, można odnaleźć zasady, jakimi Bronisław Geremek był wierny w swej dalszej politycznej drodze: niezbywalność praw obywatelskich, kompromis jako sposób rozwiązywania konfliktów, kategoryczne odrzucenie przemocy, połączenie rozwagi i wyobraźni.

Rolę, jaką Geremek i jego koledzy z komisji odegrali w trakcie negocjacji, trudno przecenić. Pracowali na rzecz sukcesu strajku, podpowiadając MKS-owi najkorzystniejsze rozwiązania i sposoby uzyskania akceptacji dla wszystkich postulatów. Jednym z negocjacyjnych forteli było użycie określenia „niezależne i samorządne związki zawodowe” zamiast terminu „wolne”, który był nie do przyjęcia dla komunistów. Szło o znalezienie języka, w którym przedstawiciele zrewoltowanego społeczeństwa mogli się porozumieć z funkcjonariuszami aparatu władzy. O taką formułę społecznego kontraktu, która stwarzała przestrzeń wolności, pozostawiając ster rządów w rękach komunistów. Porozumienie Gdańskie otwierające drogę do utworzenia pierwszego niezależnego od partii związku w bloku sowieckim, a jednocześnie uznające kierowniczą rolę PZPR w państwie, było przykładem na to, że jest to możliwe.

Po zakończeniu wielkiego strajku Bronisław Geremek nie wrócił już do naukowego warsztatu. Stał się doradcą krajowych władz Solidarności, był współtwórcą wielu najważniejszych posunięć i decyzji związku. Pozostał w gronie najbliższych współpracowników Lecha Wałęsy; jego charakterystyczna, brodata postać z fajką w zębach stanowiła nieodłączną część politycznego pejzażu tych dni. Na początku 1981 roku stanął na czele rady programowej Ośrodka Prac Społeczno-Zawodo-

wych, głównego think tank’u Solidarności. Należał do umiarkowanego skrzydła ruchu, starając się go uchronić przed siłową konfrontacją z komunistami. W marcu 1981 roku szukał za wszelką cenę kompromisowego wyjścia z kryzysu bydgoskiego, by uniknąć czołowego starcia z władzą. We wrześniu i październiku, na I zjeździe związku przewodniczył komisji programowej i był jednym z głównych autorów programu politycznego ruchu, którego naczelną ideę zawarto w tytule: *Samorządna Rzeczpospolita*.

13 grudnia polityka uporczywego poszukiwania kompromisu stała się bezprzedmiotowa. Profesor został aresztowany w Gdańsku, tuż po ostatnich obradach Komisji Krajowej. Białoleka, Jaworze, Darłówek — następny rok spędził w obozach internowania. Spotkał tam wielu przyjaciół, nie tylko z opozycji, ale także z życia naukowego i literackiego.

Internowanie to, paradoksalnie, urlop od polityki, okazja powrotu do roli badacza. Toteż w Jaworzu Bronisław Geremek bierze żywy udział w pracach PEN-Clubu, którego liczni członkowie stali się pensjonariuszami obozu. Wygłasza wykład pt. *Człowiek i grzech. Uwagi o kulturze średniowiecza*; dyskutuje o roli Kościoła i katolicyzmu w czasie II wojny światowej, a także o tym, dlaczego historycy nie lubią Pawła Jasienicy. Na 60. urodziny Władysława Bartoszewskiego pisze historyczno-socjologiczną rozprawkę *Człowiek w więzieniu*. Wspomina w niej swoje prace o „ludziach zbędnych” w średniowieczu, analizuje subkulturę grypsery, z którą zetknął się w Białolece. Zastrzega, że jego wnioski mogą być powierzchowne z powodu zbyt krótkiego czasu obserwacji — ale przecież „to jest błąd do naprawienia”.

Z obozu internowania zwolniono go jako jednego z ostatnich, 23 grudnia 1982 roku. Nie odstępuje od sprawy Solidarności, służąc dalej radą

związkowi i jego przewodniczącemu. W maju następnego roku zostaje wraz z innymi doradcami — min. Lechem Kaczyńskim, Tadeuszem Mazowieckim, Janem Olszewskim — zatrzymany po zebraniu z udziałem Lecha Wałęsy i przywódców pozostałych nurtów związkowych, którzy razem wystąpili o przywrócenie pluralizmu i uwolnienie więźniów politycznych. W Pałacu Mostowskich spędził wtedy 48 godzin. Po kilku tygodniach aresztowano go na dłużej. Z więzienia wychodzi dopiero na mocy amnestii w lipcu 1983 roku. Nie zaprzestaje działalności opozycyjnej. Zabiega o zwolnienie pozostających w więzieniu przywódców ruchu, tzw. „jedenastki”, uczestnicząc w latach 1983/84 w rozmowach na ten temat pod egidą Kościoła.

Doradza podziemnemu kierownictwu Solidarności — Tymczasowej Komisji Koordynacyjnej i Zbigniewowi Bujakowi, jest jedną z najważniejszych postaci w gronie doradców Lecha Wałęsy, z którym spotyka się regularnie w sekretariacie Episkopatu Polski. O jednym ze spotkań z ukrywającym się Bujakiem opowiadał Andrzejowi Friszke: „Miałem wszystkie instrukcje. Wchodzę do tego mieszkania i otwiera mi pani, coś mi mówi o cieście. Mówię: przepraszam, że tak... Na co ona: Z wami nie można konspirować, jak wy hasła zapominacie. Bo zdaje się miałem coś powiedzieć, nim wejść do środka”.

Od dawna pozbawiony prawa wyjazdu za granicę, w 1985 roku zostaje decyzją generała Jaruzelskiego wyrzucony z Instytutu Historii PAN po trzydziestu latach pracy. Bezpośrednim powodem był odczyt wygłoszony w Gdańsku na temat: *Polska między Wschodem i Zachodem*. Geremek, zgodnie ze swoją naukową specjalnością, mówił głównie o średniowieczu, ale to nie uspokoiło konsula generalnego ZSRR, który osobiście pofatygował się na wykład znanego opozycjonisty. Bezrobotny historyk znalazł zatrudnienie w bibliotece przy Kościele Seminaryjnym, ale koncentrował się na pracy dla Solidarności. Wraz

O jednym ze spotkań z ukrywającym się Bujakiem opowiadał Andrzejowi Friszke: „Miałem wszystkie instrukcje. Wchodzę do tego mieszkania i otwiera mi pani, coś mi mówi o cieście. Mówię: przepraszam, że tak... Na co ona: Z wami nie można konspirować, jak wy hasła zapominacie. Bo zdaje się miałem coś powiedzieć, nim wejść do środka”.

z Mazowieckim był głównym redaktorem i autorem solidarnościowego *Raportu: Polska 5 lat po Sierpniu* opublikowanego w 1985 r. W raporcie została zarysowana wizja ugody między komunistyczną władzą a Solidarnością, reprezentującą społeczeństwo. Jej ramy wyznaczał wzór porozumienia gdańskiego. Władza musiała wyjść naprzeciw społecznym aspiracjom do podmiotowości; społeczeństwo winno rozumieć, że nie może



uzyskać wszystkiego do czego ma prawo i być zdolne do samoograniczenia. Podstawą kompromisu miała się stać rynkowa reforma gospodarki. Taka była linia głównego nurtu opozycji w latach następnych.

Dzięki rozległym kontaktom zagranicznym Geremek pełnił w tych latach także rolę szefa solidarnościowej dyplomacji. W liście do Bujaka pisał, że za swój obowiązek uważa przekonywanie Zachodu, że sytuacja w Polsce odbiega od wschodnioeuropejskiej komunistycznej normy, że Solidarność istnieje, że może być politycznym partnerem, „że Polska jest i pozostanie odmienną od innych. Póki mój głos będzie się liczył — a na razie tak jest — tak będę czynił” (cytuje za A. Friszke, *Solidarność podziemna 1981–1989*). Podkreślał również przynależność naszego kraju do zachodniego kręgu kulturowego, przypominając, że Polska została z niego wypchnięta po wojnie siłą.

Nie był politycznym marzycielem, nie żywił nadziei na szybką demokratyzację. „W bliskiej przyszłości nie widzę możliwości zasadniczych zmian politycznych w bloku wschodnim — mówił w wywiadzie dla „Le Monde” w 1985 roku. — Uważam jednak, że wewnątrz tego bloku Polska może stworzyć nowy model władzy, model zarządzania gospodarką i stosunków pomiędzy rządzącymi a rządzonymi. Tak jak każde rozwiązanie polityczne, ten szczególny status Polski musiałby być wynikiem kompromisu pomiędzy zasadą monopolu władzy a demokratycznymi dążeniami społeczeństwa. Doświadczenie sierpnia [1980] pokazuje, że takie rozwiązanie nie jest niemożliwe”. Wówczas robotnicy zgodzili się na kierowniczą rolę partii w państwie. Ale przecież wszystko, co nie dotyczy władzy w ścisłym znaczeniu tego słowa tzn. gospodarka, kultura, możliwość publicznego wyrażania

przekonań znajduje się poza państwem — podkreślał Profesor, rysując obszar ewentualnego kompromisu. „Dlaczego władze miałyby zaakceptować takie rozwiązanie? Po prostu dlatego, że całkowity monopol władzy, istniejący do dziś, okazał się bardzo nieskuteczny zarówno w zarządzaniu gospodarką, jak i w kierowaniu ludźmi.”

Za ważny rys polskiej odmienności na tle innych państw bloku sowieckiego Profesor uważał siłę i niezależność Kościoła Katolickiego. Było to „miejsce wolności w zniewolonym kraju”. Od dawna zaprzyjaźniony ze środowiskiem Klubu Inteligencji Katolickiej, częsty gość księdza Alojzego Orszulika, rozmówca arcybiskupa Bronisława Dąbrowskiego i innych hierarchów, poznawał w latach 80. także inny, społeczny wymiar Kościoła, jeżdżąc z wykładami do większych i mniejszych parafii.

Nie chciał angażować biskupów do polityki, ale liczył na to, że w ewentualnym procesie porozumienia Kościół odegra rolę mediatora i arbitra, gwarantując obu stronom dialogu minimum wzajemnego zaufania. Uważał, że do takiego dialogu prędzej czy później powinno dojść, że możliwy jest powrót do „filozofii umowy sierpniowej” i zastąpienie pogrudniowej, fałszywej normalizacji prawdziwą ugodą. „Alternatywa: obalić system albo biernie się podporządkować — nie opisuje (...) wystarczająco dróg, które mamy przed sobą” — mówił w wywiadzie dla „Karty”. — Tutaj jest miejsce na jeszcze jedną możliwość: ewolucyjną transformację stosunków wewnętrznych w systemie, która wynika stąd, że *consensus* jest potrzebny obu stronom”. Geremek przedstawiał tę analizę w chwili, gdy jego osobiste doświadczenie mówiło coś zupełnie innego. Latem 1986 roku był przez 20 dni codziennie poddawany wielogodzinnym przesłuchaniom. SB nie dało mu jednak rady. Podobno skarżyli się potem Jackowi Kuroniowi: „Pan jest wspaniały człowiek. Przy Geremku trzech oficerów musi być i każdy bierze Valium po rozmowach”.

Pierwszą barierą na drodze do ugody stanowiili więźniowie polityczni. Problem ten rozwiązała amnestia z 1986 roku. Bronisław Geremek był wśród tych przywódców opozycji, którzy uważali to za pierwszy etap nowej, zmierzającej do porozumienia polityki władz. Mnożąc pojednawcze gesty jak apel o zniesienie amery-



© Fundacja Ośrodka KARTA



© Fundacja Ośrodka KARTA

kańskich sankcji gospodarczych nałożonych na Polskę po wprowadzeniu stanu wojennego, nie zamierzano jednak rezygnować z pryncypiów, ani akceptować rozwiązań fasadowych. Toteż stanowczo odrzucono koncept Rady Konsultacyjnej, ciała opiniodawczego przy przewodniczącym Rady Państwa, do którego Wojciech Jaruzelski chciał przyciągnąć część umiarkowanych opozycjonistów. — „To było dla nas bagno” — wspominał Profesor. — „Jeszcze raz Front Jedności Narodu. Ani przez moment nie traktowaliśmy tego serio”.

Ważniejsze wszakże od bojkotu władz były własne pomysły polityczne. Bronisław Geremek był głównym autorem jednej z najistotniejszych inicjatyw opozycji, która przybrała kształt specjalnego oświadczenia z okazji pielgrzymki Jana Pawła II do kraju. „Polacy, jak każdy naród świata, mają prawo do niepodległości” — stwierdzano w tekście z 31 maja 1987 roku, który w istocie był konstytucją polskiej opozycji. — „Polacy mają prawo do życia w demokracji, wolności, prawdzie, poszanowaniu prawa”. Oświadczenie przedstawiające bez ogródek perspektywiczne cele ruchu solidarnościowego opublikowała prasa podziemna. Podpisały go 62 osoby. Były wśród nich najbardziej znane postacie ruchu z Lechem Wałęsą na czele, ale także naukowcy i ludzie ze świata kultury, dla których osoba Profesora stanowiła z pewnością autorytet nie tylko polityczny. W ten sposób zawiązało się grono, które spotka się jeszcze trzykrotnie „na zaproszenie Lecha Wałęsy” i jego najbliższego doradcy, a w grudniu 1988 roku utworzy Komitet Obywatelski.

Władze próbowały za wszelką cenę uciszyć niepokornego historyka. Objęty ścisłą inwigilacją, wielokrotnie przesłuchiwany był stałym obiektem operacji SB. W kwietniu 1987 r. Jerzy Urban oskarżył go na konferencji prasowej o współpracę z wywiadem amerykańskim. Jeszcze bardziej absurdalne były zarzuty o kontakty z terrorystami z Frakcji Armii Czerwonej. Jednak Geremek uporczywie ponawiał ofertę dialogu pod adresem rządzących.

Na początku 1988 r. w wywiadzie dla oficjalnego pisma „Konfrontacje” zaproponował władzy pakt antykrzysowy. Szanse na kompromis widział w doświadczeniach minionych lat. „Doświadczeniem społeczeństwa jest to, że swe aspiracje i dążenia musi utrzymywać w rozsądnych granicach; doświadczeniem władzy — że bez autentycznych sił społecznych nie można dokonać przełomu, którego wszyscy pragną”. Dla opozycji warunkiem przystąpienia do paktu była legalizacja pluralizmu związkowego (czytaj: uznanie Solidarności), natomiast obóz rządzący miał prawo oczekiwać, że społeczeństwo będzie respektować istniejący porządek prawny wraz z zasadą przewodniej roli PZPR, z której wynikał pewien zakres monopolu władzy. Geremek dopuszczał obowiązywanie tego monopolu

w polityce zagranicznej i obronnej. Zasada pluralizmu mogła objąć takie obszary jak funkcjonowanie niezależnych związków zawodowych, stowarzyszeń czy klubów myśli politycznej. Mowa też była o drugiej izbie sejmku, złożonej z reprezentantów interesów społecznych.

Ta kompromisowa oferta była przykładem politycznego realizmu Bronisława Geremka. Był to jednak realizm wartości — taki, w którym równą wagę miały względy geopolityki, jak wolnościowe aspiracje obywateli. Realizm ten nakazywał uznanie, że zarówno rządy partii komunistycznej, jak i poziom społecznych aspiracji są w Polsce trwałe. Od opozycji wymagało to taktycznego pogodzenie się z konstytucyjnym *status quo*, od władzy uznania niezależnego partnera, który gotów był zresztą do samoograniczeń. Fundamentem nowej umowy społecznej mogła być obustronna zgoda co do kierunków reformy gospodarczej. Stawka na porozumienie określała horyzont celów — w 1988 r. nie mieściła się w nim perspektywa przejęcia władzy. Solidarność miała pełnić rolę lojalnej opozycji, która krytykuje rząd, ale nie zmierza do jego obalenia.

Jednak dopiero dwie fale strajków wiosną i latem 1988 r. sprawiły, że komuniści zaczęli myśleć o kompromisie z niezależnym związkiem. Do bezpośrednich kontaktów doszło w końcu sierpnia. Obok Andrzeja Stelmachowskiego czołową rolę odgrywał w nich Bronisław Geremek. Zgodnie z przygotowaną przez nich koncepcją Lech Wałę-

nego i perspektywę wejścia do sejmu. Geremek był jednym z tych, którzy stanowczo odrzucali tę ofertę. Wierność sprawie Solidarności, a także szacunek dla Lecha Wałęsy nie podlegały dyskusji. Pod jego przewodnictwem zebrane we wrześniu 1988 roku w Gdańsku grono tzw. sześćdziesiątki (od liczby sygnatariuszy oświadczenia z maja 1987) odrzuciło możliwość porzucenia sprawy związku w zamian za liberalizację polityczną. Postulat legalizacji Solidarności uznano za „główny, najpilniejszy warunek rozpoczęcia rzetelnego dialogu między obywatelską opozycją a rządzącymi”, podejmując strajkowe hasło: „Nie ma wolności bez Solidarności”. To przekonanie będzie wyznaczało działania opozycji w następnych miesiącach. Nie zmieni tego nawet odwołanie nieudolnego gabinetu Zdzisława Messnera i powołanie nowego z Mieczysławem Rakowskim, uważanym za partyjnego reformatora, jako premierem. — „Dymisja rządu w Polsce jest aktem bezprecedensowym dla ustroju socjalistycznego, ale pozbawionym jakiegokolwiek znaczenia” — oceniał Geremek. — „Gdyż to PZPR zdecydowała o odwołaniu rządu i ta sama partia będzie powoływać nowy”. Najważniejsze, jego zdaniem, było, że wciąż nie ma woli politycznej dla zalegalizowania „S”.

Przez następne miesiące partia próbowała odwlec albo storpedować zapowiedziane już rozmowy Okrągłego Stołu. Opozycja natomiast nie godziła się na ich rozpoczęcie bez gwarancji uznania związku. Bronisław Geremek był koordynatorem

Gdy strona partyjno-rządowa zażyczyła sobie zapisu określającego porozumienie jako „postęp rozwoju socjalistycznej demokracji parlamentarnej”, usłyszała od Profesora, że niektóre przymiotniki likwidują rzeczowniki.

sa stawiał kwestię uznania Solidarności oraz swobody zakładania stowarzyszeń i klubów politycznych, w zamian proponując władzy współdziałanie na rzecz wyjścia z kryzysu gospodarczego. Partia wstępnie zaakceptowała tę ofertę, generał Kiszczak spotkał się 31 sierpnia z Wałęsą, a przywódca Solidarności wezwał do zakończenia strajków.

Jednak wkrótce okazało się, że władze wciąż nie są gotowe do relegalizacji związku. W zamian kuśliły środowiska opozycji obietnicą pluralizmu politycz-

przygotowań do negocjacji i głównym organizatorem Komitetu Obywatelskiego przy Przewodniczącym NSZZ „Solidarność”, w który przekształciła się „sześćdziesiątka”. Przewodniczył zebraniom KO oraz komisji ds. reform politycznych, gdzie rodziła się strategia negocjacyjna Solidarności. Nie zapomniał jednak także o pryncypiach, mówiąc w październiku w PEN-Clubie o „niepodległości Polski jako o zadaniu narodowym, zadaniu na dziś” (cyt. za M. Kunickim-Goldfingerem, autorem biogramu B. Geremka w słowniku *Opozycja w PRL*). W grud-

niu 1988 roku towarzyszył Lechowi Wałęsie w triumfalnej podróży do Paryża, gdzie lider Solidarności przyjmowany był przez prezydenta Mitteranda z honorami należnymi mężowi stanu.

Był zwolennikiem politycznego kontraktu z komunistami, choć widział związane z tym niebezpieczeństwa. Podczas obrad Krajowej Komisji Wykonawczej „Solidarności” 25 stycznia 1989 roku mówił o odpowiedzialności, jaka spadnie na zwią-

„Można się zgodzić na czasowe ograniczenie reguł demokratycznych pod warunkiem, że dotyczyć one będą tylko jednego głosowania” — mówił „Tygodnikowi Mazowsze”. „Następne wybory muszą być wolne — albo żadne”. „Jakie ograniczenia byłyby do przyjęcia?” — pytał dziennikarz. „Na ogół pies nie decyduje o rodzaju kagańca, jaki sobie nakłada...” - ironizował profesor.

zek w przypadku zawarcia porozumienia z władzami PRL. „Dotąd ruch miał kapitał moralny i dysponował autorytetem Lecha Wałęsy” — oceniał Profesor. — Ten kapitał rósł w miarę kompromitacji władzy. Solidarność była wszak ruchem nielegalnym, a nielegalny ruch nie ponosi konsekwencji. Jednak skoro władza nie jest w stanie zreformować gospodarki, to opozycja musi wziąć na siebie odpowiedzialność w tej mierze. „Trzeba jednak zdawać sobie sprawę, że w sytuacjach kryzysowych będziemy odtąd ponosić współodpowiedzialność” — ostrzegał swoich kolegów. Była to lekcja prawdziwej polityki, która jest sztuką wyboru między rozmaitymi celami i potrzebami społecznymi, a nie tylko prostym rozróżnieniem między dobrem a złem, do czego działacze „S” przyzwyczaili lata podziemia i oporu.

Bezpośredni udział w rozmowach z władzą Geremek wziął dopiero 27 stycznia 1989 roku. To spotkanie w Magdalence było przełomowe — przyniosło uzgodnienie podstawowych punktów przyszłej ugody. Profesor był głównym mówcą strony opozycyjnej, przedstawił zarysy kontraktu: Solidarność zgadzała się na „niekonfrontacyjne wybory” i wprowadzenie urzędu prezydenta: „Uważamy, że zgoda na rozmowy w tym kierunku, który proponujecie jest ceną polityczną, jaką musimy płacić za nasze istnienie. Ale też wiemy, że z reform tych płyną korzyści dla społeczeństwa” — mówił. Ewolucyjny model reform, z konieczności ograniczony — na przykład w kwestii wolnych wyborów — miał jednak przynieść zmiany w takich sferach jak niezależność sądów i prawa, samorząd terytorialny, dostęp sił niezależnych do środków masowego przekazu, wolność słowa.

6 lutego 1989 roku w Pałacu Namiestnikowskim przy Krakowskim Przedmieściu rozpoczęły się oficjalne negocjacje między władzą a Solidarnością. Bronisławowi Geremkowi przypadła dziedzina najtrudniejsza — zespół ds. reform politycznych. To na tym forum trwały długie, wielotygodniowe targi o ostateczny kształt nowego układu politycznego. Kluczowym elementem kontraktu miał być udział opozycji w niedemokratycznych wyborach do sejmu w zamian za legalizację Solidarności. — „Można się zgodzić na czasowe ograniczenie reguł demokratycznych pod warunkiem, że dotyczyć one będą tylko jednego głosowania” — mówił „Tygodnikowi Mazowsze”. „Następne wybory muszą być wolne — albo żadne”. „Jakie ograniczenia byłoby do przyjęcia?” — pytał dziennikarz. „Na ogół pies nie decyduje o rodzaju kagańca, jaki sobie nakłada...” — ironizował Profesor.

W elicie opozycji pojawiały się projekty daleko idącej współpracy z władzą, aż do udziału w rządzie koalicyjnym. Geremek był przeciwnikiem perspektywy współrządzenia, optował za minimalną formułą współpracy tylko w sprawach polityki gospodarczej — pod warunkiem wpływu na jej kształtowanie. Jako cel rozmów proponował „uzyskanie pewnej dynamiki demokratyzacyjnej”, czyli niezwłoczne wprowadzenie takich zmian, które umożliwią dalsze reformy. Należały do nich reforma systemu prawa i sądów, zagwarantowanie sędziowskiej niezawisłości, zniesienie monopolu władzy w środkach masowego przekazu, a więc

i instytucje mają charakter właśnie przejściowy i jednorazowy.

Rozmowy Okrągłego Stołu to w politycznej biografii Profesora, obok dni Sierpnia 1980, czas chyba najważniejszy. Rozgrywka z komunistami stanowiła okazję do ujawnienia jego wielkich talentów polityka i negocjatora. Niestrudzenie wojował o najlepsze dla opozycji zapisy, o jak największą sferę wolności w rządzonym przez komunistów państwie. Twardą ręką prowadząc solidarnościowy zespół negocjacyjny, potrafił utrzymać w ryzach dyscypliny taktycznej i politycznej grono składające się z tak wybitnych postaci jak Jacek Kuroń, Adam Michnik czy Lech Kaczyński. Posługując się na przemian groźbą zerwania rozmów i ustępstwami w sprawach mniejszej rangi, doprowadził do uzgodnienia takiego układu, w którym siła PZPR w państwie była częściowo równoważona liczbą miejsc w parlamencie i instrumentami kontroli władzy, jakimi mogła dysponować opozycja.

Szczególnie zacięty spór toczył się o uprawnienia urzędu prezydenta, który komuniści tworzyli z myślą o generale Jaruzelskim. Projekt przedstawiony na początku przez stronę partyjną przewidywał wybór głowy państwa w dotychczasowym sejmie z udziałem przewodniczących Wojewódzkich Rad Narodowych. Tak wybrany prezydent mógłby rozwiązywać parlament, rekomendować kandydata na premiera, zwoływać posiedzenia rządu i ratyfikować umowy międzynarodowe. A także

mianować senatorów na wniosek organizacji społecznych. „Ta koncepcja zamyka wszystko” — ocenił to Geremek. Odrzucił zarówno projekt senatu powoływanego w sposób całkowicie niedemokratyczny, jak tryb elekcji prezydenta. — Taki wybór prezydenta, jaki proponujecie, to obraza dla tej instytucji — mówił Profesor. Postulował powszechne wybory szefa państwa i pozbawienie go prawa rozwiązywania parlamentu; chciał też, aby prezydent na czas pełnienia urzędu zawiesił funkcje partyjne. W wyniku niezgody strony opozycyjnej na autorytarny model prezydentury komuniści zaproponowali wolne wybory do senatu. W ten sposób pojawiła się szansa na równowagę sił w no-

wym parlamencie, co miało poważne, choć nieprzewidziane konsekwencje.

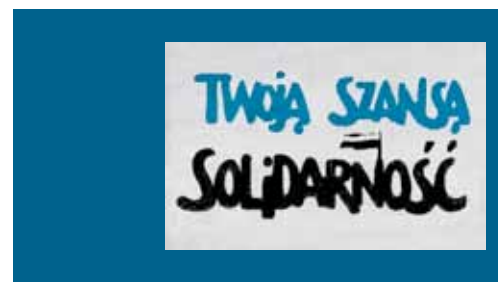
Jako szef komisji do spraw reform politycznych Bronisław Geremek sprawował pieczę nad ostatecznym tekstem porozumienia. Jego w dużej mierze zasługą jest, że został on zapisany

Latem 1986 roku był przez 20 dni codziennie poddawany wielogodzinnym przesłuchaniom. SB nie dało mu jednak rady. Podobno skarżyli się potem Jackowi Kuroniowi: „Pan jest wspaniałym człowiekiem. Przy Geremku trzech oficerów musi być i każdy bierze Valium po rozmowach”.

w języku pozbawionym nalotu komunistycznej nowomowy. Gdy strona partyjno-rządowa zażyczyła sobie zapisu określającego porozumienie jako „postęp rozwoju socjalistycznej demokracji parlamentarnej”, usłyszała od Profesora, że niektóre przymiotniki likwidują rzeczowniki. Geremek nie chciał uznać, że ugoda jest punktem docelowym reform, upierał się, że kompromis Okrągłego Stołu dopiero otwiera okres, w czasie którego dopiero „uformowane zostaną podstawy niepodległej Polski, bez której nie ma sprawiedliwej Europy”.

Wynegocjowany przy Okrągłym Stole układ był konstrukcją przejściową pomiędzy monopartyjnym modelem PRL a systemem respektującym wszystkie reguły demokratyczne. Jak długo ma trwać ów stan przejściowy, nie zostało dokładnie ustalone, ale jasną granicą były następne wybory sejmowe za cztery lata. Wbrew uporczywie powtarzanej legendzie ani w Magdalence, ani przy Krakowskim Przedmieściu nie nastąpił żaden podział władzy. Komuniści zgodzili się na zalegalizowanie opozycji, przekonani, że utrzymają ster rządów w swoich rękach. Dla opozycji z kolei najważniejsze było uznanie Solidarności — udział w wyborach do sejmu PRL był tylko ceną, jaką przyszło za to zapłacić. Nawet główny architekt zawartego 5 kwietnia 1989 r. porozumienia nie przewidywał, że zamienione w plebiscyt — za czy przeciw komunizmowi — wybory przyniosą taki sukces i dadzą opozycji kontrolę w parlamencie. A w konsekwencji przyspieszą proces przejścia do demokracji z 4 lat do 4 miesięcy. Była to jedna z niewielu politycznych pomyłek Bronisława Geremka. ■

Artykuł jest rozszerzoną wersją tekstu opublikowanego w „Tygodniku Powszechnym” w 2008 roku, po śmierci Bronisława Geremka.



O autorze:

Jan Skórzyński

Historyk i dziennikarz, doktor nauk politycznych. Autor książek *Kalendarium Solidarności 1980–89; Ugoda i rewolucja. Władza i opozycja 1985–1989; Od Solidarności do wolności; Rewolucja Okrągłego Stołu. Był zastępcą redaktora naczelnego „Rzeczpospolitej”* i szefem dodatku Plus Minus.

Consensus facit legem* — Bronisław Geremek szkoła prawa

Hanna Suchocka



Bronisławowi Geremkowi Europa była zawsze bardzo bliska. Nie tylko ta średnio-wieczna, której poświęcił swoją pracę badawczą, ale na każdym etapie, w każdym okresie. Mógł ze wszech miar nosić miano Europejczyka, jako że był zakorzeniony zarówno w Polsce, jak i w Europie. Dla niego Polska zawsze stanowiła część Europy.

Bronisław Geremek nie chciał, co niejednokrotnie mu przypisywano, „roztopienia” Polski i naszej polskiej tożsamości w tyglu współczesnej, zjednoczonej i „nijakiej” Europy. Chciał natomiast Polski silnej, mądrze zabierającej głos w sprawach europejskich i światowych.

Należy zatem uczcić i przypomnieć Wielkiego Europejczyka, jego rolę w najnowszej historii, jaką odegrał w kształtowaniu wspólnoty narodów europejskich.

Bronisław Geremek nie chciał, co niejednokrotnie mu przypisywano, „roztopienia” Polski i naszej polskiej tożsamości w tyglu współczesnej, zjednoczonej i „nijakiej” Europy. Chciał natomiast Polski silnej, mądrze zabierającej głos w sprawach europejskich i światowych. Zdawał sobie jednak sprawę ze skali tego wyzwania. Polska, która w 1989 r. rozpoczęła swoją mozolną drogę do demokracji i wolności, nie była przygotowana do wejścia do Europy takiej, jaka ukształtowała się pod naszą 40 letnią w niej nieobecność.

Posługiwaliśmy się wówczas ogólnymi hasłami o konieczności zjednoczenia się z Europą, ale nie uświadamialiśmy sobie wówczas znaczenia i skomplikowania tego procesu ani naszego zapóźnienia względem Europy.

Przygotowaniem Polski do stawienia czoła wyzwaniom współczesnej Europy zajął się Sejm wybra-

ny 4 czerwca 1989 r., tzw. Sejm okrągłostołowy. W tym Sejmie prof. Geremkowi przypadła niezwykle ważna rola, mianowicie kierowania Obywatelskim Klubem Parlamentarnym „Solidarność”. To ten Klub – inicjator wszelkich przemian – miał zerwać do końca „skorupę” poprzedniego systemu. Klub był bardzo zróżnicowany personalnie. Znaleźli się w nim ludzie, którzy przyszli z różnych ugrupowań, z różnych miejsc działalności opozycyjnej. Nie mieli z reguły za sobą doświadczenia w strukturach państwowych. Byli działaczami związkowymi, społecznymi, często wiecowymi. Stąd też prezentowali różne pomysły, dotyczące koniecznych przemian. Z chwilą wejścia do parlamentu należało zdecydowanie zmienić pewne metody i styl działania. Wielu posłów przyszło do

tego Sejmu ze swoimi wyobrażeniami, ze swoimi marzeniami o nowej Polsce. A nie wszystkie można było zrealizować, tym bardziej od zaraz. Stąd też kluczowa rola przewodniczącego Klubu, poddawanie niejednokrotnie, z powodu niemożności realizowania pewnych pomysłów, ostrej krytyce. Profesor Geremek miał świadomość tych trudności. Sam też uczył się przechodzenia od podziemnej działalności opozycyjnej do oficjalnej działalności państwowej. Wiele słuchał, zwłaszcza, mogę to powiedzieć z własnego doświadczenia, głosu

z nim dane sformułowanie. Zmuszał nas do myślenia i szukania argumentów. Zwłaszcza, kiedy dyskusja schodziła na bardzo specyficzne tematy prawnicze, takie jak różnica między pojęciami „demokratyczne państwo prawne” czy „państwo prawa”. Zawierzał argumentom prawników, dawał się przekonać. Bardzo często jednak skomplikowane formuły prawnicze, zgłaszane przez ekspertów, prostował i nadawał im konieczny polityczny charakter.

Bronisławowi Geremkowi Europa była zawsze bardzo bliska.

prawników. Pracowałam z nim od 1989 do 2001 r. Zdawał sobie sprawę, że bez dobrego fundamentu prawnego Polska, nie mając tak okrzepłej, ustabilizowanej tradycji prawnej jak inne państwa europejskie, będzie w stosunku do nich słabsza. Stąd też wielką wagę przywiązywał do rozwiązań legislacyjnych i do gwarancji praw dla każdego.

Był, co prawda, historykiem, ale miał niezwykle wyczucie prawa. Wiedział, jak wiele zależy od dobrego prawodawstwa i jak łatwo można zepsuć wszystko niekorzystnymi rozwiązaniami prawnymi, tworzonymi ad hoc, dla doraźnej sytuacji, dla doraźnych rozliczeń. Stąd był tak zawsze ostrożny w przyjmowaniu nowych, nie zawsze przemyślanych, regulacji. Dlatego tak wiele czasu poświęcał na dyskusje, na wysłuchanie różnych argumentów. Chciał przyjąć jak najlepsze rozwiązanie. A przecież podjęcie decyzji nie było proste. Nie mieliśmy tego typu doświadczeń. Musieliśmy w wielu sprawach zawierzyć instynktowi. Pamiętam długie dysputy w wąskiej grupie z udziałem prof. Geremka na temat zmian ustrojowych w Polsce, nowej konstytucji, relacji pomiędzy prezydentem a premierem czy usytuowania prokuratury. Byłam w tym pierwszym Sejmie członkiem Komisji Ustawodawczej i Komisji Konstytucyjnej, na czele której stał Geremek. W każdej chwili mogliśmy skonsultować

W tym pierwszym Sejmie okrągłostołowym ścierały się różne wizje. Choć nie przyjął on nowej konstytucji, dorobek tego Sejmu i roli Geremka jako przewodniczącego komisji pozostał. Część rozwiązań, które wówczas wypracowano, udało się w dużym stopniu wcielić w życie w okresie późniejszym.

Prawnicze doświadczenia prof. Geremka zostały w pełni wykorzystane, kiedy przewodniczył komisji parlamentarnej ds. przygotowania prawa polskiego do prawa europejskiego. Było to niewiarygodne wyzwanie. Dzięki jego umiejętności syntezy, także prawniczej, dało się w szybkim tempie zrobić postępy i przygotować znaczną część instrumentarium prawnego na dzień wejścia Polski do Unii Europejskiej. To było niczym jego ukoronowanie pracy parlamentarnej. Potem miał szanse kontynuowania swojej roli na forum Parlamentu Europejskiego. ■

* Consensus facit legem – „zgoda tworzy prawo”, sentencja łacińska

Tekst jest zapisem wystąpienia wygłoszonego w Rzymie w Accademia dei Lincei, na konferencji poświęconej pamięci Bronisława Geremka 21 kwietnia 2009. Tytuł i skróty od redakcji.

O autorze:

Hanna Suchocka

Polityk i nauczyciel akademicki. Doktor prawa na Uniwersytecie Adama Mickiewicza. Pełniła funkcję premiera Polski w latach 1992 – 1993 oraz ministra sprawiedliwości w rządzie Jerzego Buzka. Obecnie ambasador Polski przy Stolicy Apostolskiej.

Twarty orzech do zgryzienia

Solidarnościowa dyplomacja Bronisława Geremka w ocenach dyplomatów PRL

Patryk Pleskot

Geremek budował na arenie międzynarodowej wizerunek umiarkowanego, lecz mającego sprecyzowane poglądy polityka. Polityka, którego można było traktować serio.

Wybuch Solidarności siłą swego rozpędu doprowadził do narodzin nowej, alternatywnej w stosunku do reżimu dyplomacji. Samo zaistnienie wielomilionowego związku w 1980 r. sprawiło, że do skomplikowanej gry między wschodnią a zachodnią stroną żelaznej kurtyny doszła nowa, istotna karta. I chociaż straciła ona na wartości po 13 grudnia 1981 roku, to nigdy nie zniknęła; wręcz przeciwnie — w kolejnych latach polityczni gracze coraz częściej do niej wracali, a solidarnościowa dyplomacja osiągnęła jeszcze większe wpływy niż w okresie „karnawału”, czego zwieńczeniem stał się Okrągły Stół. Nie ulega wątpliwości, że jednym z głównych architektów geopolitycznej strategii środowisk solidarnościowych w Polsce był Bronisław Geremek.

Po części zdawał sobie z tego sprawę komunistyczny reżim na czele z PRL-owskimi dyplomatami, zabiegającymi o interesy „władzy robotniczej” w ambasadach ulokowanych w „obozie kapitalistycznym”. Jeśli jednak przeczuwali oni rolę Geremka, to najprawdopodobniej nie potrafili docenić jej wagi i prze-

widzieć skutków. Nie potrafili w związku z tym obrać jasnego i konsekwentnego stanowiska wobec niego. Z jednej strony współpracujący z ambasadami wywiad w 1981 r. dostrzegał, że działacze Solidarności (Geremek, a także Strzelecki, Lis, Rulowski i inni) samodzielnie podejmowali inicjatywy z dziedziny polityki zagranicznej (problem kredytów, zatrudnienie polskich uchodźców na Zachodzie, konsultacje odnośnie taktyki związkowej na wypadek interwencji radzieckiej itp.), starając się

że Solidarność nie będzie się ubiegać o przystąpienie do żadnej z central. Jego pobyt został uznany za „pozytywny”: „rozszerzył on wiedzę o zjawisku, które prasa często albo demonizuje, albo czyni przedmiotem płaskich spekulacji”. Jednak kilka miesięcy później ambasada PRL w Brukseli bardziej krytycznie oceniła wystąpienie Geremka podczas obrad Międzynarodowej Organizacji Pracy. W dyskusji na temat apartheidu Geremek, potępiając politykę południowoafrykańską, stwier-

Władze, nie mogąc zrozumieć niebezpieczeństwa, próbowały je skrepić. Nie zdawały sobie sprawy, że potęgowało to tylko „efekt Geremka” i jego solidarnościowej dyplomacji.

kreować alternatywną polską dyplomację. Budziło to zaniepokojenie i irytację, bo godziło w reżimowy monopol na uprawianie polityki zagranicznej. Jednakże z drugiej strony PRL-owcy ambasadorzy, obserwujący rozwój sytuacji w Polsce z zacisza swoich wygodnych rezydencji, potrafili pochwalić Geremka za jego umiarkowanie, docenić odcinanie się od radykalizmów i podkreślać jego dążenie do kompromisu i unikanie politycznych „provokacji”. Nie dostrzegali, że na dłuższą metę owe umiarkowanie było dla nich bardzo niebezpieczne.

To drugie „pozytywne” nastawienie szczególnie silnie uwidoczniło się w czasie 16 miesięcy solidarnościowego „karnawału”. Rozluźniony gorset ideologiczny sprawiał, że w depeszach nadsyłanych z Zachodu do warszawskiej centrali MSZ można było niekiedy odnaleźć większą swobodę wypowiedzi. Jeśli więc PRL-owscy ambasadorzy zgódnie krytykowali „ekstremistyczne siły” w NSZZ Solidarność, niepokoił się kryzysem finansowym i eskalacją przemocy, tak na ogół życzliwie patrzyli na koncyliacyjne poczynania obozu Wałęsy i jego doradców, na czele z Bronisławem Geremkiem. Szczególne natężenie komentarzy następowało przy okazji zagranicznych wizyt delegacji Solidarności. Np. w lutym 1981 r. Geremek otrzymał zaproszenie na przyjazd do Brukseli, gdzie spotkał się z przedstawicielami międzynarodowych central związkowych, krytycznie nastawionych do polskich władz. Odwiedził też polską ambasadę. Ta ostatnia pozytywnie oceniała wyważone opinie doradcy Solidarności. Miał on unikać wypowiadania się o sprawach międzynarodowych i podkreślać kierowniczą rolę partii w PRL. Zadeklarował,

dził, że Solidarność była ruchem wyzwoleniczym i z własnego doświadczenia знаła skutki dyskryminacji. Ambasada określiła te słowa jako „nieodpowiednie” i „dwuznaczne”. Poprzez podobne wystąpienia Geremek budował na arenie międzynarodowej wizerunek umiarkowanego, lecz mającego sprecyzowane poglądy polityka. Polityka, którego można było traktować serio.

W nocy z 12 na 13 grudnia całe kierownictwo Solidarności straciło nagle możliwość legalnego działania. Jak się miało okazać, na długie lata odcięto mu możliwość wyjazdów zagranicznych i udziału w życiu publicznym. Znikły też pozytywne oceny Geremka ze strony komunistycznych dyplomatów. Np. w 1983 r. ambasador w Rzymie Eugeniusz Kułaga określił wywiad, jaki Bronisław Geremek udzielił pismu „La Croix”, jako element „antypolskiej propagandy”. W rzeczywistości Geremek w spokojnym tonie wypowiadał się na temat bieżących wydarzeń w Polsce: procesów politycznych, amnestii, sytuacji gospodarczej, roli Wałęsy, Bujaka itp. W smutnej rzeczywistości „normalizacji” nie było jednak miejsca na takie wypowiedzi — stąd owo potępienie.

Paradoksalnie jednak represje, szykany i brutalne stłumienie dopiero co narodzonej alternatywnej dyplomacji opozycyjnej doprowadziło do pojawienia się „efektu Geremka”. Kwestia represji wobec niego, jak również wobec innych internowanych i całej opozycji stała się kartą przetargową w dyplomacji zachodnich państw względem Polski i elementem pewnego szantażu: uzależnianie znoszenia nałożonych sankcji gospodarczych lub/i normalizację stosunków od poczynienia przez

Jaruzelskiego gestów na korzyść szykanowanej opozycji. Jednym z najważniejszych czynników w tym „przetargu” stał się Bronisław Geremek. Polskie placówki na Zachodzie skrzętnie odnotowywały protesty demokratycznych polityków w związku ze skutkami wojskowego zamachu stanu. Już 19 grudnia 1981 r. włoski prezydent Petrini *explicite* domagał się uwolnienia Bronisława Geremka. Ogólniejsze głosy potępienia nadchodziły z niemal całego demokratycznego świata. Polski MSZ zwracał zarazem uwagę np. na bardzo ostrożne reakcje Grecji, starając się szukać światła w tym dyplomatycznym tunelu.

Kolejne przykłady represyjności reżimu Jaruzelskiego zarówno w trakcie, jak i po zniesieniu stanu wojennego, wywoływały podobne reakcje. W maju 1983 r., w obliczu kolejnej fali represji w Polsce (zabójstwo Grzegorza Przemyka, aresztowanie... Geremka), przez państwa zachodnie ponownie przebiegła fala protestów, chociaż np. rzecznik francuskiego MSZ w wydanym przez resort oświadczeniu krytykował działania polskiego

Ową rolę Geremka jako „karty przetargowej” w relacjach Zachodu z PRL świetnie oddają depesze polskiej ambasady w Rzymie z 1985 r., poświęcone trudnym negocjacjom w sprawie wizyty premiera Craxiego w Warszawie. Dla komunistycznych dyplomatów było oczywiste, że w zamian za legitymizującą reżim Jaruzelskiego podróż, Craxi pragnął ugrać coś dla opozycji. Dawał do zrozumienia, że zgodzi się na wizytę, łamiąc zasady bojkotu dyplomatycznego wprowadzonego po 13 grudnia 1981 r. głównie za sprawą Waszyngtonu, jeśli strona polska uczyni „gest” wobec nielegalnej Solidarności. Polska ambasada donosiła, że Craxi „z niepokojem” obserwował uniemożliwianie Geremkowi i Wałęsie odbycia prywatnych wyjazdów do Włoch. Wydaje się, że pewne zamrożenie negocjacji, do którego doszło latem 1985 r., było w dużej mierze warunkowane właśnie niewypuszczeniem Geremka na konferencję mediewistyczną i Wałęsę na sympozjum pokojowe w Rzymie. To kolejny dowód na znaczenie Geremka w zachodniej polityce względem PRL-u. Znaczenie, które zaczęli dostrzegać PRL-owscy władarze.

Nie ulega wątpliwości, że jednym z głównych architektów geopolitycznej strategii środowisk solidarnościowych w Polsce był Bronisław Geremek.

rządu, ale ani razu nie wspomniał o Solidarności, mówiąc tylko o „niewinnych ludziach”. Ostrożność tę z satysfakcją odnotowała polska ambasada, przewidując rychłe ostateczne wygaśnięcie zainteresowania Solidarnością na świecie. Ocena okazała się błędna — w kolejnych latach „efekt Geremka” nie tylko nie zanikł, ale i przybrał na sile. Dowodzą tego chociażby reakcje wywołane rozpoczęciem w czerwcu 1985 r. procesu gdańskiego, obejmującego przywódców KOR. Aż 33 amerykańskich senatorów wyraziło w liście swoje zaniepokojenie planowanym procesem. W ślad za nimi poszło wielu polityków brytyjskich, francuskich i włoskich. 14 czerwca Departament Stanu USA wydał oświadczenie, w którym stwierdzono zaostrożenie polityki wewnętrznej przez reżim Jaruzelskiego. Zwracano też uwagę na łamanie praw człowieka, podkreślając szczególnie szykany wobec Bronisława Geremka — co dobitnie świadczy o jego roli w dyplomatycznej grze między politycznymi blokami.

Stopniowe znoszenie w drugiej połowie lat 80. dyplomatycznego bojkotu PRL-u, praktykowanego przez państwa zachodnie po 13 grudnia 1981 r. przyjęło dla reżimu Jaruzelskiego nieoczekiwany i niepożądany obrót. Komuniści spodziewali się, że coraz częstsze bezpośrednie kontakty na coraz wyższym szczeblu będą służyć legitymizacji wojskowego reżimu PRL-u. Obawy przed taką legitymizacją miał sam Geremek, negatywnie oceniając np. wizytę Jaruzelskiego w Paryżu w grudniu 1985 r. Doradca Solidarności stwierdził w wywiadzie dla AFP, że nowa polityka europejska, dystansująca się coraz wyraźniej od stanowiska USA i zrywająca z dyplomatycznym bojkotem, była budowana kosztem interesów i aspiracji polskiego społeczeństwa polskiego, a przez to cechowała ją krótkowzroczność. Wyraził obawę, że obie wizyty mogły sugerować, iż „problem polski już nie istnieje, a w Warszawie panuje porządek”.

Tymczasem demokratyczni politycy, pragnąc zneutralizować ten legitymizujący efekt, zaczęli

podczas wspomnianych wizyt coraz bardziej „bezczelnie” spotykać się również z przedstawicielami owej „umiarkowanej”, wiarygodnej w ich oczach opozycji, której strategicznym architektem był przede wszystkim właśnie Geremek. Jest niezwykle charakterystyczne, że w 1980 r. niemiecki kanclerz Helmut Schmitt, składając wizytę w Polsce, nie chciał nawet spotkać się z Lechem Wałęsą i jego doradcami. Kilka lat później praktycznie każdy dyplomata zachodni, odwiedzając Polskę, pragnął specjalnego spotkania z przedstawicielami Solidarności. Gdy w 1987 r. do Polski przybył senator Edward Kennedy czy doradca Jimmy’ego Cartera Zbigniew Brzeziński, nie wspominając o ówczesnym wiceprezydencie George’u Bushu, władze nie były już w stanie przeszkodzić ich kontaktom z Lechem Wałęsą i Bronisławem Geremkiem. W tym samym roku szef francuskiego MSZ Jean Bernard Raimond, oprócz rozmów z Jaruzelskim, złożył również kwiaty na grobie ks. Popiełuszki, a następnie, na bankiecie wydanym w ambasadzie Francji w Warszawie, spotkał się i rozmawiał z Geremkiem, Michnikiem i Bujakiem. Podobnie Jan Paweł II, podczas swej trzeciej pielgrzymki do ojczyzny, mógł już zupełnie jawnie przyjąć Lecha Wałęsę z rodziną w rezydencji biskupa gdańskiego. Rok później, w listopadzie 1988 brytyjska premier, Margaret Thatcher, odwiedziła Gdańsk, gdzie spotkała się z Lechem Wałęsą i złożyła kwiaty pod Pomnikiem Ofiar Grudnia.

W tym samym czasie władze pozwoliły wreszcie przedstawicielom opozycji na wyjazdy zagraniczne. W ten sposób solidarnościowa dyplomacja zyskała potężną broń. W grudniu 1988 r. delegacja Solidarności wyjechała do Francji. Przyjęto ich z o wiele większą pompą niż Jaruzelskiego trzy lata wcześniej, mimo że formalnie w jej skład wchodził zwykli obywatele, niesprawujący funkcji państwowych. Kilka miesięcy później, tuż po zakończeniu obrad okrągłostołowych Lech Wałęsa, Bronisław Geremek, Tadeusz Mazowiecki i Witold Trzeciakowski przebywali w Rzymie i Watykanie. Spotkali się z Janem Pawłem II, a także z polityka-

mi i związkowcami włoskimi. Po raz pierwszy nie reprezentowali już półlegalnej czy nielegalnej Solidarności, tylko oficjalnie działające „stronnictwo wyborcze”. Za symbol końca pewnej epoki można uznać kolejną wizytę w Polsce George’a Busha, tym razem już jako szefa Białego Domu, do której doszło w lipcu 1989 r., a więc po zwycięskich dla Solidarności czerwcowych wyborach. W czasie przemówienia Busha w sejmie w pierwszym rzędzie ramię w ramię siedzieli obok siebie Wałęsa i Jaruzelski. W tym samym czasie amerykański ambasador John R. Davis życzliwie oceniał politykę głównego architekta porozumienia, Bronisława Geremka, który przekonywał (w relacji ambasadora), iż opozycja zapędziła się za daleko i teraz powinna nieco przyhamować w ramach koalicji — co oczywiście nie wszystkim w Polsce się podobalo i może być różnie oceniane po latach, ale z perspektywy Zachodu brzmiało wtedy sensownie i wiarygodnie. „Efekt Geremka” przekraczał w ten sposób upadek komunizmu.

Wydaje się, że dalekowzroczna polityka Bronisława Geremka, stosowana przez całą dekadę Solidarności — od sierpnia 1980 r. do 1990 r. — stanowiła dla dyplomatów i władz PRL ciężki orzech do zgryzienia. Nie potrafili go zrozumieć, ocenić, okiełznać. Szufladkowanie jego działalności w wygodnej, ideologicznej kategorii „opozycja”, było unikaniem problemu, ucieczką przed bezradnością. Taką ucieczkę miały też zapewnić środki represji stosowane wobec solidarnościowego doradcy: inwigilacja, podsłuchy, odmowy przyznania paszportu. Władze, nie mogąc zrozumieć niebezpieczeństwa, próbowały je skrepić. Nie zdawały sobie sprawy, że potęgowało to tylko „efekt Geremka” i jego solidarnościowej dyplomacji. W polskiej debacie politycznej ów „efekt” jest rozmaicie oceniany, pada wiele argumentów i kontrargumentów. Historyk, pragnąc nie angażować się w te spory, powinien tylko (aż?) pokazać, że Geremek odegrał bardzo ważną rolę w historii stosunków Zachód–PRL w latach 80. ■

O autorze:

Patryk Pleskot

Publicysta, doktor nauk humanistycznych w zakresie historii. Absolwent Uniwersytetu Warszawskiego i Ecole des Hautes Etudes en Sciences Sociales w Paryżu. Studiował także na uniwersytecie w Nancy. Stypendysta Fundacji na rzecz Nauki Polskiej, Ministerstwa Edukacji Narodowej, a także rządu Republiki Francuskiej.

Andrzej Wielowieyski

Pożegnanie Profesora



Mija rok od śmierci naszego Profesora. I przez ten rok czuliśmy żywo, jak bardzo Go nam brakuje. Czczymy Jego pamięć także dlatego, że jest ona częścią naszej wielkiej historii. Są bowiem daty, które określają nas jako naród: data chrztu Polski, odrodzenia Królestwa, bitwy pod Grunwaldem, 3 Maja oraz odzyskania niepodległości i Bitwy Warszawskiej. Taką datą jest też rok 1989, rok czerwcowych wyborów.

W 200-lecie Rewolucji Francuskiej zaproponowaliśmy światu nową tradycję rewolucyjnych przemian. Tradycję zdecydowanej i trudnej walki o wolność i demokrację, ale bez terroru, zjadłości, niszczenia i nienawiści. Za nami poszli też nasi liczni sąsiedzi, a także dalekie kraje, np. Południowa Afryka z Nelsonem Mandelą.

Mieliśmy wielkie szczęście, że należymy do pokolenia wielkiego przełomu, po tylu latach klęsk i nieszczęść. Przyczyny tych opatrnościowych wydarzeń były złożone. Powinniśmy je sobie uświadamiać tak, aby weszły do narodowej pamięci. W wydarzeniach tych szczególną rolę odegrał Bronisław Geremek. Co najmniej dwukrotnie podejmował wtedy decyzje, które miały duże znaczenie dla biegu wydarzeń. Oczywiście uczestniczył też w podejmowaniu różnych ważnych decyzji i przedtem i potem. Podejmował je razem z Le-

chem Wałęsą, Tadeuszem Mazowieckim i innymi. Ale te dwa momenty liczą się w naszej historii szczególnie.

Pierwszą z takich ważnych decyzji podejmował w kwietniu 1987 r. Byłem tego świadkiem. Zaproponował wtedy stworzenie komitetu jako reprezentacji różnych środowisk i orientacji opozycyjnych, który mógłby podjąć negocjacje z władzami komunistycznymi. Przez kilka tygodni układaliśmy mozolnie listę zaproszonych kandydatów. Było ich ok. 60. Lech Wałęsa zgodził się ich zaprosić. Nikt nie odmówił. I tak 31 maja, bezpośrednio przed rozpoczęciem kolejnej pielgrzymki Jana Pawła II, zebrała się „sześćdziesiątka” jako niekompletna wprawdzie, ale godna reprezentacja polskich sił demokratycznych. W parafii ks. Indrzejczyka na Żoliborzu uchwaliliśmy apel podkreślający prawo Polaków do niepodległości oraz do wolności i demokracji. Sam Profesor nie był obecny na początku zebrania, bo go profilaktycznie wezwano na przesłuchanie do „Pałacu Mostowskich” (komendy MO). Zebranie prowadziłem w jego zastępstwie.

To właśnie ten komitet półtora roku później na wniosek Edmunda Osmańczyka przyjął nazwę Komitetu Obywatelskiego przy Przewodniczącym NSZZ „Solidarność” Lechu Wałęsie. Liczył już wtedy ponad 130 osób. Odbyło się to 18 grudnia

1988 r. w kościele Miłosierdzia Bożego przy ul. Żytniej. Było to szóste spotkanie tego powiększającego się grona. Przygotowano już ogólny program i plan działania, a 11 września tego roku (u św. Brygidy w Gdańsku) udzielono poparcia dla decyzji Wałęsy o uczestnictwie w Okrągłym Stole. W grudniu Komitet pod przewodnictwem Geremka przygotował scenariusze i skład naszej reprezentacji w poszczególnych komisjach Okrągłego Stołu. Potem zaś przygotował i przeprowadził kampanię

Drugą najważniejszą w swym życiu decyzję prof. Geremek podjął 19 sierpnia 1988 r. po sygnale od sekretarza PZPR Czyrka, który dał prof. Stelmachowski, że komuniści chcą negocjować, ale stawiają warunki przerwania strajków. Było nas wtedy czworo: Geremek, Stelmachowski, pani rektor Radomska i ja. Prof. Geremek uznał, że nie wolno nie wykorzystać tej szansy i postanowił przekonać Wałęsę do podjęcia rozmów. Przez 12 dni trwały ciężkie rozmowy w Gdańsku i w Warszawie na ten te-

Obywatele na ogół akceptują Europę i uważają Unię za pożyteczną (tak było np. w Irlandii), ale mało o Europie wiedzą, nie są na nią wrażliwi i nie interesują się nią.

wyborczą przed czerwcowymi wyborami. Powołaliśmy odpowiednie zespoły oraz ponad 100 komitetów w terenie składających się głównie z działaczy „S”, z rolników, z działaczy klubów katolickich i duszpasterstw oraz środowisk uniwersyteckich. W kwietniu 1989 r. na zebraniu Komitetu w Auditorium Maximum na Uniwersytecie Warszawskim zatwierdzono nasze listy wyborcze, przygotowane w ciągu 17 dni od podpisania porozumień Okrągłego Stołu. Wchodziłem w skład Zespołu d/s. Organizacyjnych (wraz z Kuroniem, Balazsem i Wujcem), ale praktycznie przygotowaliśmy je we trójkę z Henrykiem Wujcem i jego żoną Ludwiką.

Profesor Geremek przewodniczył Zespołowi d/s. Koordynacji List Kandydatów, który rozstrzygał w sprawach spornych. Składał się on z kilku profesorów i kilku działaczy związkowych. Trzeba podkreślić, że jak na skalę zadania (261 kandydatów, po jednym na każde miejsce do uzyskania) było to zdumiewająco mało. Komitety w terenie działały niezwykle sprawnie i rozsądnie. Było dużo zrozumienia dla powagi sytuacji i dlatego mimo pewnych konfliktów, osobistych ambicji i zawodów — sporów było mało. Rzecz zadziwiająca w naszym, przecież dość kłótliwym z natury, narodzie. Na ogół popierano jedną listę kandydatów, chociaż było to przykre, bo ograniczało pluralizm w naszych środowiskach. Komitety obywatelskie przeważnie rozumiały i akceptowały tę zasadę wobec naszej słabości i siły przeciwnika. Płaciliśmy jednak za to pewną cenę. Kilku ważnych i cennych działaczy, m.in. Mazowiecki, Chrzanowski, Lipski, Bortnowska, Hall, Olszewski, Strzembosz było przeciwników i na ogół uchylało się od kandydowania.

mat. Rozpoczęła się właśnie duża akcja strajkowa, która obejmowała kilka ważnych ośrodków. Zaczął Śląsk (kopalnie Manifest Lipcowy i Andaluzja) 15 sierpnia. 22 sierpnia dołączyły stocznie, a potem huty: Lenina i w Stalowej Woli. Bardzo aktywną rolę odegrał wtedy prof. Stelmachowski, rozmawiając zarówno w naszym imieniu z władzami, jak i z komitetem strajkowym w Gdańsku. W obu przypadkach było to bardzo trudne. W naradach z Wałęsą uczestniczyli też Mazowiecki, Michnik i bracia Kaczyńscy. Wreszcie 25 sierpnia Stelmachowski i Geremek skorygowali otrzymaną z Gdańska notatkę i przekazali ją jako propozycję rozmów gen. Kiszczakowi. Zawierała ona postulat legalizacji „S” i pluralizmu politycznego.

W wyniku tego doszło do pierwszego od siedmiu lat oficjalnego spotkania Wałęsy z władzami. Geremek uważał to za duży sukces. Sytuacja jednak była bardzo trudna, bo władze nie godziły się na legalizację Solidarności, ale dla kontynuowania rozmów domagały się natychmiastowego przerwania strajków. Doradcy Solidarności byli wyraźnie podzieleni (Mazowiecki i Geremek, Stelmachowski i Wielowieyski optowali za rozmowami), przywódcy związkowi, nieufni wobec władz, byli sceptyczni. I wtedy — 31 sierpnia — Lechu podjął sam najważniejszą, jak sądzę, decyzję w swoim życiu, ważniejszą od „skoku przez płot” 14 sierpnia 1980 r. Podjął ogromne polityczne i prestiżowe ryzyko, wzywając wielkie zakłady do przerwania strajku i biorąc na siebie zadanie wynegocjowania sprawy Solidarności. Strajkujące zakłady protestowały, ale w końcu ruch strajkowy osłabł i akcję przerwano. Jednakże wielu działaczy z Kuroniem i Michnikiem

na czele ostro krytykowało Wałęsę za zbyt miękką postawę. Geremek go bronił. W kilka dni potem zarówno władze Związku (KKW), jak i „sześćdziesiątka” — zaakceptowały decyzję Wałęsy.

Jednakże jeszcze 3 miesiące trwała przepychanka i rozmowy o rozmowach. Solidarność była nieufna, co jest w pełni zrozumiałe, bo w październiku prawie wszystkie komitety wojewódzkie PZPR i całe OPZZ wypowiedziało się przeciwko porozumieniu ze Związkiem. W listopadzie na plebanii w Wilanowie omal nie doszło do zerwania rozmów. Tylko stanowczość obserwatorów kościelnych: biskupa Gocłowskiego i księdza Orszulika doprowadziła z trudem do zgody, że „rozmowy będą kontynuowane”.

W końcu osobista ambicja szefa OPZZ Alfreda Miodowicza doprowadziła do słynnej debaty telewizyjnej z Wałęsą, po której już bardzo trudno było komunistom odmawiać negocjacji z tak poważnym i popularnym przywódcą, którego w kilka dni później prezydent Mitterand przyjmował w Paryżu prawie jak głowę państwa. Towarzyszyłem mu wtedy wraz z Geremkiem. Plenum KC PZPR uległo wreszcie wbrew sobie naciskowi generałów, którzy realizowali odważnie, ale ryzykownie swój plan usidlenia Solidarności. W Pałacu Namiestnikowskim zaczęto ustawiać Okrągły Stół. Kiedy zaś po dwóch miesiącach negocjacji podpisano porozumienie, ruszyliśmy odważnie do wyborów. Byliśmy zdeterminowani, ale bez euforii. Nasze szanse i wyniki wciąż były wątpliwe. Bronisław Geremek przy Okrągłym Stole negocjował najtrudniejsze sprawy polityczne i był jednym z niewielu pewnych zwycięstwa. W kwietniu przekonywał, że staropolskim zwyczajem trzeba już śpiewać w kościołach *Te Deum laudamus*, bo to, co już osiągnięto, jest wielkim sukcesem. Traktowano to z niedowierzaniem. Byli też partyjni, którzy martwili się, że Solidarność może wyjść z wyborów zbyt słaba, aby być dobrym partnerem. 4 czerwca wielu więc bardzo zaskoczył. Utworzenie w trzy miesiące potem pierwszego niepodległościowego rządu Tadeusza Mazowieckiego w tej części Europy, upadek komunizmu w wielu krajach oraz rozkład ciemnącego nas imperium były nieoczekiwane. Co więcej — proces ten wcale nie był konieczny i nieuchronny.

Minęło 20 trudnych, dramatycznych lat z wielkimi sukcesami transformacji oraz bolesnymi do-

świadczeniami obolałego społeczeństwa. Profesor Geremek jako szef MSZ wprowadził nas do Paktu Atlantyckiego i doprowadził do Unii, ale Unia Wolności, której przewodniczył, najbardziej zaangażowana w reformy siła polityczna w Polsce, zapłaciła za to wielką cenę. Wyborcy się od nas odwrócili. Tak jak ci, co wybierali w 1991 r. Tymińskiego przeciw Mazowieckiemu. Ostatni rzeczywiście reformatorski rząd Jerzego Buzka, Balcerowicza i Geremka został odrzucony w wyborach w 2001 r.

Oddając cześć pamięci Bronisława Geremka, wyrażam przekonanie słowami poety, że „jego będzie za grobem zwycięstwo”. Wiedzieliśmy i w 1989 r., i w ostatnich latach, że udręczone społeczeństwo boi się reform i radykalnych zmian, a mimo to mieliśmy odwagę ich dokonywania i dzięki temu zdobyliśmy taką pozycję w Europie, jaką mamy.

Kształtuje się dziś jednak nowe, młode społeczeństwo polskie, świadome coraz bardziej swych potrzeb oraz swego miejsca w nowoczesnej, wspólnej Europie. To ono odrzuciło rządy PiS, rządy urazów, lęków i frustracji. Po raz pierwszy bowiem od ponad 80. lat Polacy, w większości w wyniku wejścia do Unii i uświadomienia sobie tego, zaczęli stawać się optymistami, zaczęli wierzyć w siebie i mieć poczucie większej wartości. To się zaczęło 1,5–2 lata temu. Ale się dopiero zaczęło... i jest szansa, którą musimy wykorzystać.

A o takie właśnie społeczeństwo walczył i na nie liczył Bronisław Geremek. Dziś jeszcze w życiu publicznym Polski dominują dwie partie konserwatywne, które wyrażają i wyrażają wciąż zmęczenie i niechęć społeczeństwa do zmian. Platforma nie używa nawet słowa reforma. Przed liberalnymi reformatorami, bardzo Polsce potrzebnymi, stają więc zadania, które dopiero teraz Polacy będą mogli świadomie realizować. Od nas, spadkobierców Unii Demokratycznej i Unii Wolności, zależy będzie, czy potrafimy te ambicje istotnej poprawy w Polsce wyrazić i spełniać.

Prof. Geremek był również znaczącym i uznanym liderem europejskim. W swych ostatnich publikacjach i wypowiedziach przed śmiercią precyzyjnie rysował główne dylematy i zadania. Wzmocnienie Unii i współpracy państw narodowych, która wymaga zwłaszcza dwóch rzeczy: uświadomienia

sobie i przyjęcia zbieżności interesu narodowego i europejskiego oraz zbliżenia Unii do obywateli, których wciąż jeszcze Europie brakuje. W tym zakresie jego idee są dla Unii żywym, aktualnym wyzwaniem. Jako poseł do Parlamentu Europejskiego był znany również jako poważny kandydat na przewodniczącego PE 5 lat temu. Jednakże jego znaczącym wkładem do prac PE było podjęcie bardzo istotnej sprawy „powszechnych konsultacji obywatelskich”. Uważał je za ważny i skuteczny instrument rozwoju demokracji obywatelskiej w Europie. „Stworzyliśmy już zjednoczoną Europę — mówił — a teraz trzeba jej stworzyć obywateli, bo ich jeszcze nie ma”. W tym celu proponował utworzenie instytucji „powszechnych konsultacji obywatelskich”. Tragiczna śmierć przerwała tę pracę. Wchodząc na jego miejsce w Parlamencie Europejskim, podjąłem kontynuację tego projektu. Uzyskałem poparcie czołowych europejskich ekspertów-politologów oraz naszej liberalnej

Przed liberalnymi reformatorami, których Polska bardzo potrzebuje, stają więc zadania, które dopiero teraz Polacy będą mogli świadomie podejmować. Od nas, spadkobierców Unii Demokratycznej i Unii Wolności, zależy będzie, czy potrafimy te ambicje istotnej poprawy w Polsce wyrazić i realizować.

grupy politycznej (ALDE). Mogłem też liczyć na poparcie kilku czołowych konstytucjonalistów z innych grup politycznych (EPP i PES). Niestety zabrakło czasu, aby Komisja Konstytucyjna mogła w tej sprawie przedstawić odpowiednie propozycje Parlamentowi, zwłaszcza że Komisja Europejska, od której w końcu będzie zależało wprowadzenie w życie tego projektu (oczywiście też za zgodą Rady Europejskiej, czyli szefów rządów), ustosunkowała się do niego niechętnie ze względu na duże trudności: polityczne (zgoda krajów członkowskich), organizacyjne i finansowe. Dotąd podejmowane są w UE próby konsultacji społecznych (zwłaszcza z NGO`s) w skali kilku tysięcy ankietowanych. Przygotowuje się też konsultacje w skali kilkudziesięciu tysięcy ankietowanych. Wszystko to jest jednak bardzo dalekie od budzenia społeczeństwa obywatelskiego, bo obejmie nie więcej niż jeden promil ludności UE.

Sprawa ta może okazać się problemem „być albo nie być” dla Europy. Na tym przecież polega istotna różnica w potencjale politycznym Europy w porównaniu z USA. Przewaga Amerykanów jest nie tylko technologiczna, ale przede wszystkim polityczna. Tam funkcjonuje amerykańskie społeczeństwo obywatelskie, a w Europie 27 krajów demokratycznych poczucia europejskiej obywatelskości nie ma. A jest ono bezwzględnie potrzebne, by żyć, odpowiadać na nowe wyzwania i odegrać swą ważną rolę w świecie. Przy czym, jak słusznie stwierdzono na ostatnim kongresie Ruchu Europejskiego w Hadze, integracja



O autorze:

Andrzej Wielowieyski

Polityk, działacz katolicki. Absolwent Wydziału Prawa Uniwersytetu Jagiellońskiego. Poseł na sejm oraz senator kilku kadencji. Wicemarszałek senatu oraz poseł do Parlamentu Europejskiego w miejsce Bronisława Geremka.

europańska wcale nie jest jeszcze przesądzona. Grożą nam wciąż różne znaczące postacie charyzmatycznych liderów antyeuropejskich (jak Klaus, Berlusconi, Meciar, Kaczyński czy Ganley), a zwłaszcza zjawisko implozji. W ostatnich dekadach walczyły się ustroje i rządy zarówno dyktatorskie (komunistyczne, wojskowe czy tylko semi-autorytarne, jak na Ukrainie), jak i liberalne (np. w Japonii i we Włoszech) i to nie głównie w wyniku walki i przemocy, ale po prostu z braku wsparcia obywateli.

My zaś mamy 27 demokratycznych krajów z mniej lub bardziej aktywną opinią publiczną, ale nie mamy europejskiej opinii publicznej, bo nie mamy europejskiego poczucia europejskości. Nieudane referenda to tylko symptomy głębszej słabości. Funkcjonuje „złośliwy trójkąt” — obywatele, media, partie polityczne. Obywatele na ogół akceptują Europę i uważają Unię za pożyteczną (tak było np. w Irlandii), ale mało o Europie wiedzą, nie są na nią wrażliwi i nie interesują się nią. Czasem ich irytuje i robią z niej sobie „kozła ofiarnego”. Wobec tego komercyjne media też się nią nie wiele zajmują. Z tego samego powodu partie polityczne w naszych krajach nie są sprawami europejskimi zbytnio zainteresowane, a wybory co pięć lat do PE są bardzo słabym bodźcem dla europejskiej opinii publicznej.

Trzeba więc wciągnąć obywateli do wspólnej refleksji i debaty europejskiej. Nie tyle po to, by poprawiać decyzje Unii, bo konsultacje z krajami i NGO`sami mogą tu wystarczyć, i nie po to, by poznać opinie ludzi, bo do tego wystarczą sondaże Eurobarometru. Musimy to zrobić, by pobudzać i rozwijać debatę obywatelską tak, aby wyszła poza granice narodowe i aby weszła w obyczaje i w krew. Wszystkie ważniejsze sprawy UE powinny być poddawane opinii obywateli regularnie (co rok?) i w podobny sposób. Będzie to wymagać rozwijania i doskonalenia trudnej sztuki zadawania pytań obywatelom, a potem z kolei oceny i wykorzystania wyników konsultacji tak, aby opinia publiczna była szanowana. Wdrażanie będzie wymagało czasu (pięć–osiem lat). Cały zaś system mógłby być wprowadzany etapowo, zwłaszcza przy pomocy internetu, co znacznie zmniejszyłoby jego koszty. Na początek Unia powinna zaprosić do udziału w konsultacjach i zarejestrować kilka milionów internautów. Rosnąca aktywność internetowa, zwłaszcza młodego pokolenia, stanowi tu dużą szansę.

Takie oto zadanie zostawił nam, odchodząc, Bronisław Geremek, historyk średniowiecza i badacz losów ludzkiej biedoty, który potrafił wpłynąć na bieg dziejów Europy. ■

Minister spraw zagranicznych demokratycznej Polski

Adam Michnik



I stąd filozofia Profesora Geremka była filozofią rekonyliacji, a nie odwetu. Była to filozofia amnestii, ale nie amnezji, nie sklerozy.

Bronisław Geremek jest przykładem na to, że nikt nie jest prorokiem we własnym kraju. W Polsce prof. Geremek był człowiekiem bardzo kontrowersyjnym. Jako historyk, jako członek opozycji demokratycznej i jako polityk. Był człowiekiem pewnej generacji. Przeżył Getto Warszawskie, gdzie widział rzeczy straszne. I to naznaczyło go na całe życie. Jako historyk, jako człowiek, zawsze stał po stronie biednych, prześladowanych, wykluczonych. Stąd jego droga do partii komunistycznej, tuż po wojnie. Akces do partii komunistycznej był dla niego odpowiedzią na nazizm, na faszyzm.

Jednocześnie dokonując takiego wyboru, prof. Geremek nie był zaślepiony i dlatego zdecydował się na mediewistykę, gdyż pisząc o średniowieczu, nie trzeba było na każdej stronie cytować dzieł Józefa Stalina. I stąd jego zainteresowania badawcze i ideowe. Sam chciał być po stronie tych źle widzianych przez historię, po stronie, jak wspominałem, wykluczonych. Z zainteresowań tych wzięły się jego najważniejsze książki traktujące o marginesie społecznym: *Świat opery żebraczej* czy *Litość i szubienica*. Propaganda komunistyczna w okresie stanu wojennego pisała o Geremku: „Co może wiedzieć o świecie ten specjalista od paryskich prostytutek w XIV wieku?” Zapamiętałem wtedy pewną obserwację, Karola Modzelewskiego, który

Propaganda komunistyczna w okresie stanu wojennego pisała o Geremku: „Co może wiedzieć o świecie ten specjalista od paryskich prostytutek w XIV wieku?” Zapamiętałem wtedy pewną obserwację, Karola Modzelewskiego, który powiedział mi, iż nie rozumie oburzenia komunistycznych gazet, gdyż wiedza o obyczajach prostytutek jest świetnym kluczem do rozumienia rządzących komunistów.

powiedział mi, iż nie rozumie oburzenia komunistycznych gazet, gdyż wiedza o obyczajach prostytutek jest świetnym kluczem do rozumienia rządzących komunistów.

Marksizm Bronisława Geremka zawsze był metodą badawczą, nigdy dogmatem ani obowiązującą doktryną. Kluczowym momentem dla Profesora był rok 1968 i interwencja

w Czechosłowacji. prof. Geremek oddał wtedy legitymację partyjną, wystąpił z partii komunistycznej, co w ówczesnym kontekście było aktem wielkiej odwagi. Mówiąc najprościej, łatwiej było w partii komunistycznej po prostu nie być, niż z niej wystąpić. I wtedy zaczęła się droga prof. Geremka do opozycji demokratycznej, z którą związał się blisko po powrocie z USA, a która w sierpniu 1980 roku zaprowadziła go do strajkującej stoczni w Gdańsku. Dla Geremka było to jakby swoiste zwieńczenie jego młodzieńczego marzenia, aby być po stronie biednych, skrzywdzonych, poniżonych. To była ta sama motywacja, która skierowała go najpierw w 40. latach do partii komunistycznej, a w 1980 roku do strajkujących stoczników, gdzie był jednym z najbliższych doradców Lecha Wałęsy i Komitetu Strajkowego.

Motywy prof. Geremka, tak jak ja go interpretowałem, był silny imperatyw moralny. Geremek nie godził się na świat oparty na hipokryzji, zakłamaniu i przemocy. Po 1968 roku był to szczególny klimat, klimat kampanii antysemickiej w Polsce i interwencji w Czechosłowacji. Był to czas pewnej anegdoty. Mianowicie jak na Václavské náměstí — głównym placu w Pradze — stoi pewien człowiek w 1969 roku i wymiotuje do fontanny. Podchodzi wówczas do niego pewien mężczyzna i mówi: „Ja przepraszam, my się nie znamy, ale ja chciałem panu powiedzieć, że się całkowicie z panem zgadzam”.

Otóż dla bardzo wielu ludzi był to motyw nadrzędny, motyw niezgody na wszechobecną beczelną hipokryzję oficjalnej propagandy. Sierpień 1980 roku był dla Polaków takim zbiorowym wypłuciem knebla. Polska przemówiła własnym głosem, nieskłamanym. Jeden z najważniejszych głosów Polski to głos Bronisława Geremka. Był to głos odwagi bez fanatyzmu i głos kompromisu bez tchórzostwa.

Otóż ten piękny czas Polski trwał niecałe półtora roku. Jak napisał Kapuściński, był to czas prostujących się ramion. Taki wielki łyk wolności. 13 grudnia wszystko się skończyło. I na miejsce negocjatorów ze strony władzy pojawili się więzienni strażnicy i oficerowie śledczy. Prof. Geremek uwięziony, internowany przez około rok. Po uwolnieniu włączył się do środowisk podziemnej Solidarności. Odgrywał tam niezwykle istotną rolę. Był również bardzo bliskim współpracownikiem Lecha Wałęsy. I ponownie został uwięziony. A jednocześnie Pro-

fesor Geremek był ministrem spraw zagranicznych Polski opozycyjnej, Polski więzionej, Polski kneblowanej, Polski represjonowanej. Myślę, że przez cały okres, aż do śmierci, pełniąc różne funkcje, był on de facto cały czas ministrem spraw zagranicznych.

Chociaż ministrów mieliśmy różnych, ale prawdziwym, jedynym najważniejszym był prof. Geremek. Przy Okrągłym Stole w 1989 roku prof. Geremek odgrywał rolę zasadniczą, gdyż negocjował reformy polityczne. Z nas wszystkich przy Okrągłym Stole Geremek był chyba najbardziej nieufny. Bał się podstępów, pułapki ze strony komunistów. Dlatego był najostrożniejszy, dbał o precyzję każdego zapisu. Chcę powiedzieć, że w mojej perspektywie Geremek był prawdopodobnie najbardziej inteligentnym politykiem po stronie solidarnościowej, z czego nie wynika, że ja zawsze się z nim zgadzałem, wręcz przeciwnie.

W roku 1989 nikomu z nas nie przychodziło do głowy, że obóz solidarnościowy może przejąć władzę. W gruncie rzeczy po stronie solidarnościowej tylko dwie osoby były tak zdeterminowane, żeby twierdzić, iż po wygranych wyborach Solidarność powinna sformułować projekt odebrania władzy i rządu. Był to Jacek Kuroń i ja.

Prof. Geremek był ostrożny. Doskonale pamiętam ten moment, kiedy Profesor zmienił zdanie. Był to moment, kiedy zorientował się, że dwa czynniki uległy zmianie. Przede wszystkim przekształcenia w Związku Sowieckim poszły tak daleko, że w gruncie rzeczy możliwe jest, by w Polsce komuniści oddali władzę. A drugi czynnik był taki, że profesor zorientował się, iż po stronie Jaruzelskiego tego wariantu się nie wyklucza, a przejęcie władzy nie będzie oznaczało konfrontacji wojny domowej. I stąd filozofia Profesora Geremka była filozofią rekonsyliacji, a nie odwetu. Była to filozofia amnestii, ale nie amnezji, nie sklerozy. Prof. Geremek przekonał się, że w Polsce możliwy jest hiszpański wariant wychodzenia z dyktatury.

W wolnej Polsce prof. Geremek był postacią kluczową. Rzeczywiście przegrał w wyborach, ale wizja Polski Geremka zwyciężyła. Polska jest dzisiaj krajem demokratycznym, gdzie wszystkie prawa człowieka są respektowane. Jest krajem, który ma dobre stosunki z sąsiadami, z mniejszościami narodowymi. To była Gerem-

kowska wizja Polski. I ona wygrała. Geremek miał głębokie przekonanie, że miejsce Polski jest w Unii Europejskiej.

Jednocześnie Profesor Geremek był ministrem spraw zagranicznych Polski opozycyjnej, Polski więzionej, Polski kneblowanej, Polski represjonowanej. Myślę, że przez cały okres, aż do śmierci, pełniąc różne funkcje, był on de facto cały czas ministrem spraw zagranicznych.

Profesor był również, tak jak Tadeusz Mazowiecki jak Jerzy Turowicz czy Józef Tischner, zwolennikiem przyjaznego, życiowego rozdziału Kościoła od państwa.

Byłem świadkiem na konferencji w Castel Gandolfo, jak prof. Geremek miał wykład w obecności Jana Pawła II i z jak wielką aprobatą był ten wykład przez papieża przyjęty. Mówię o tym dlatego że bardzo często w wewnętrznych debatach w Polsce wizerunek Profesora jest deformowany. Za życia był on często atakowany i to sposób niegodziwy. Miał on wielką klasę i ducha arystokraty. Nie wdawał się w niskie polemiki.

Jednocześnie bał się syndromu populistycznego, który istnieje we wszystkich krajach postkomunistycznej Europy. Opowiadał się za gospodarką rynkową, ale miał to być rynek z ludzką twarzą. Był świadomy, że rzeczywisty konflikt o demokrację to konflikt na poziomie społeczeństwa obywatelskiego. To czego się bał, to syndrom polskiego piekła, tzn. destrukcyjnego wewnętrznego konfliktu między państwem a społeczeństwem. Dlatego był przeciwnikiem tej formy lustracji, która w pewnym momencie w Polsce zwyciężyła. A kiedy pojawiły się oskarżenia pod adresem Lecha Wałęsy o agenturalność, prof. Geremek był inicjatorem zbiorowego wystąpienia w jego Lecha Wałęsy. A tych, którzy formowali te oskarżenia, nazywał policjantami pamięci.

Prof. Geremek był człowiekiem bardzo dyskretnym. Nie lubił o sobie opowiadać i nie czynił tego. Ale jest tak: kiedy historyk czy pisarz chce coś ukryć, jego biograf zawsze znajdzie sposób, by to odczytać. Otóż prof. Geremek skrył się w eseju o wielkim francuskim historyku Marku Blochu. Opisuje on wyznanie Marka Blocha, który był znakomitym historykiem, a jednocześnie człowiekiem wysoko zaangażowanym we francuski *La Résistance*. Bloch pisał o sobie w kontekście antysemityzmu Francji Vichy: „Jestem Żydem wedle ustaw norymberskich, ale jestem Francuzem wedle mojego poczucia narodowego. Ale jak mnie zabiją, umierał będę jako dobry Francuz.”

Nie mam wątpliwości, że prof. Geremek umierał jako dobry Polak. ■

Tekst jest zapisem wystąpienia wygłoszonego w Rzymie w Accademia dei Lincei, na konferencji poświęconej pamięci Bronisława Geremka 21 kwietnia 2009



© Fundacja Ośrodka KARTA

O autorze:

Adam Michnik

Redaktor naczelny „Gazety Wyborczej”. Historyk, eseista i publicysta polityczny. Był jednym z najwybitniejszych działaczy opozycji demokratycznej. Były poseł na Sejm RP.

Bronisław Geremek

— polski demokrat,
europejski mąż stanu

Bernard Kouchner



Bronisław Geremek
wiedział, że dla Polski
wolność, demokracja
i Europa to jedno, i że
są one przyszłością
Jego kraju.

Rok temu, w tragicznych okolicznościach odszedł od nas mój przyjaciel Bronisław Geremek. Po roku wiemy już, że Jego miejsce pozostało puste.

Bronisław był przede wszystkim wielkim Polakiem, jedną z tych osób, które nieustannie broniły, twardo i inteligentnie, miejsca Polski w sercu Europy po stronie demokracji. Czynił to tutaj, podczas tych trudnych lat, najpierw jako jeden z intelektualistów, a potem w szeregach Solidarności. Czynił to również za granicą, przekazując Wasze nadzieje i żądania. To dzięki takim ludziom jak On Zachód zrozumiał zakłamanie demokracji ludowych.

Bronisław był również wielkim Europejczykiem. Miał jasną wizję interesów i roli Polski w Europie. Udowodnił to podczas negocjacji przedakcesyjnych, i dalej czynił to, będąc w Parlamencie Europejskim. Ale Bronisław był kimś więcej niż tylko słuchanym i wpływowym przedstawicielem Polski w Brukseli. Bronisław miał ambicję, dotyczące miejsca Polski w Europie i samej Europy. To właśnie te zalety sprawiły, że w 2004 r. dołączyłem do tych, którzy go widzieli na czele Parlamentu Europejskiego.

Bronisław był wielkim przyjacielem Francji i Francuzów. Wybrał Francję, ojczyznę Rewolucji, wolności i praw człowieka na miejsce pracy, wykładów i publikacji. Jako uznany historyk wybrał nasz kraj jako pośrednika dla swych walk politycznych. Wszystkie koła intelektualne stały dlań otworem. Miał On wyjątkowy stosunek do Francuzów. Był w stanie zwrócić się w prasie, w telewizji do mych rodaków, którzy zawsze słuchali Go z uwagą. Można by powiedzieć, że miał autorytet moralny,

ale ja wolę mówić o zaufaniu. Wiedzieliśmy, że wzywa nas do walki za słuszne sprawy.

Bronisław był moim przyjacielem, starym przyjacielem, który pomógł mi zrozumieć i dołączyć do Was podczas lat "Solidarności". Podziwiałem umiejętności i profesjonalizm mego

20 lat po pierwszych wolnych wyborach po wojnie, kiedy niektórzy mówią o Europie dwóch prędkości, o twardym jądrze, jestem przekonany, że nie można stworzyć solidnego politycznego projektu europejskiego bez Polski.

przyjaciela. W sposób naturalny, kiedy zostałem mianowany ministrem spraw zagranicznych i europejskich w 2007 roku i kiedy postanowiłem zreformować ten resort, zwróciłem się doń z prośbą o radę. W ten sposób Bronisław dołączył do grupy osób, które zgromadziłem w celu zmodernizowania mego ministerstwa. Bronisław był również współczestnikiem mych walk, moim wsparciem w najtrudniejszych działaniach na rzecz demokracji, praw człowieka i budowy Europy politycznej.

Pokój

Podobnie jak ja, Bronisław poznał wojnę, jej horror, jej nieskończone zniszczenia. Wiedział, że Europa do tego stopnia zatraciła się w zbrodniach, w Shoah, że utraciła swą duszę, i że nie można już powrócić do tego, co było przedtem. Należało wymyślić inną historię, w której ludzie szanowaliby cierpienia, niczego nie zapominając, a jednocześnie mieli odwagę dążyć do zgody i pokoju dla przyszłych pokoleń. Była to długa droga i — czego nie należy zapominać — często trudna.

Pokój nie jest rzeczą oczywistą, ani daną na zawsze. Jest to projekt polityczny, który budujemy w Brukseli, jak i poza nią, i który stale poddajemy próbie, kiedy wspólnie działamy w Afryce lub na Bałkanach.

Pokój to również i przede wszystkim Wy, obywatele, społeczeństwo obywatelskie. To Wy,



Europejczycy, dźwigacie na swych barkach tę odpowiedzialność.

Bronisław był wielkim historykiem, dlatego że to lubił, że miał do tego dar, ale również z powodu swych przekonań politycznych. Tu w Polsce, gdzie prawie każda piędź ziemi jest miejscem pamięci całej Europy, przypadła Wam szczególna rola w przekazywaniu naszej historii. Tu w Polsce trzeba przypominać, że pokój nie jest spadkiem historii, ale umową między naszymi narodami, która wymaga codziennego wsparcia i troski.

Jedność

Jedność Europy jest naszym wielkim zwycięstwem, ale również naszą odpowiedzialnością za dzień jutrzejszy.

Europejczycy nigdy nie zaakceptowali podziału narzuconego po drugiej wojnie światowej. Nie można było pogodzić europejskich narodów bez tej części Europy.

Bronisław Geremek wiedział, że dla Polski wolność, demokracja i Europa to jedno, i że są one przyszłością Jego kraju.

20 lat po pierwszych wolnych wyborach po wojnie, kiedy niektórzy mówią o Europie dwóch prędkości, o twardym jądrze, jestem przekonany, że nie można stworzyć solidnego politycznego projektu europejskiego bez Polski. Polska również powinna być o tym przekonana. Musi wiedzieć, że oczekujemy od Niej mocnego zaangażowania w Europie, odwagi, idei i woli.

Jedność Europy to również ponowne odnalezienie się naszych narodów. Przypominam sobie autobusy zapchane studentami, którzy wyjeżdżali w 1989 roku z Paryża, by podczas jednego weekendu zobaczyć Pragę, Budapeszt, Warszawę, nareszcie wolne. Pragnę powiedzieć współczesnym młodym Europejczykom, że ta Europa należy do nich, że potrzebujemy ich projektów i energii. Nie ma już Wschodu, nie ma Zachodu, a zwłaszcza nie powinno być muru w naszych głowach, inaczej walka Bronisława pójdzie na marne.

Tożsamość

Słyszę tu i tam, że niektórzy obawiają się, że Europa pozbawi ich tożsamości narodowej lub lokalnych tradycji. Tego rodzaju obawy są całkowicie nieuzasadnione, ponieważ europejska tożsamość nie jest dodatkową tożsamością w stosunku do tożsamości narodowych. Ta tożsamość jest innej natury. Ona nas nie zubaża. Wzbogacamy się dzięki naszym różnicom. Jesteśmy Europejczykami, ponieważ chcemy być Europejczykami. To właśnie ta wola wspólnego czynu stanowi naszą więź. To nasza jedność i nasza determinacja sprawiły, że reszta świata nazywa nas Europejczykami, i że się oczekuje, że rozwiążemy różne kryzysy, konflikty, i stawimy czoło wyzwaniom jutra. Nasze postanowienie połączenia naszych losów sprawiło, że obecnie, 65 lat po drugiej wojnie światowej, 20 lat po upadku komunizmu, jesteśmy znowu razem przy stole, na którym pisze się historia.

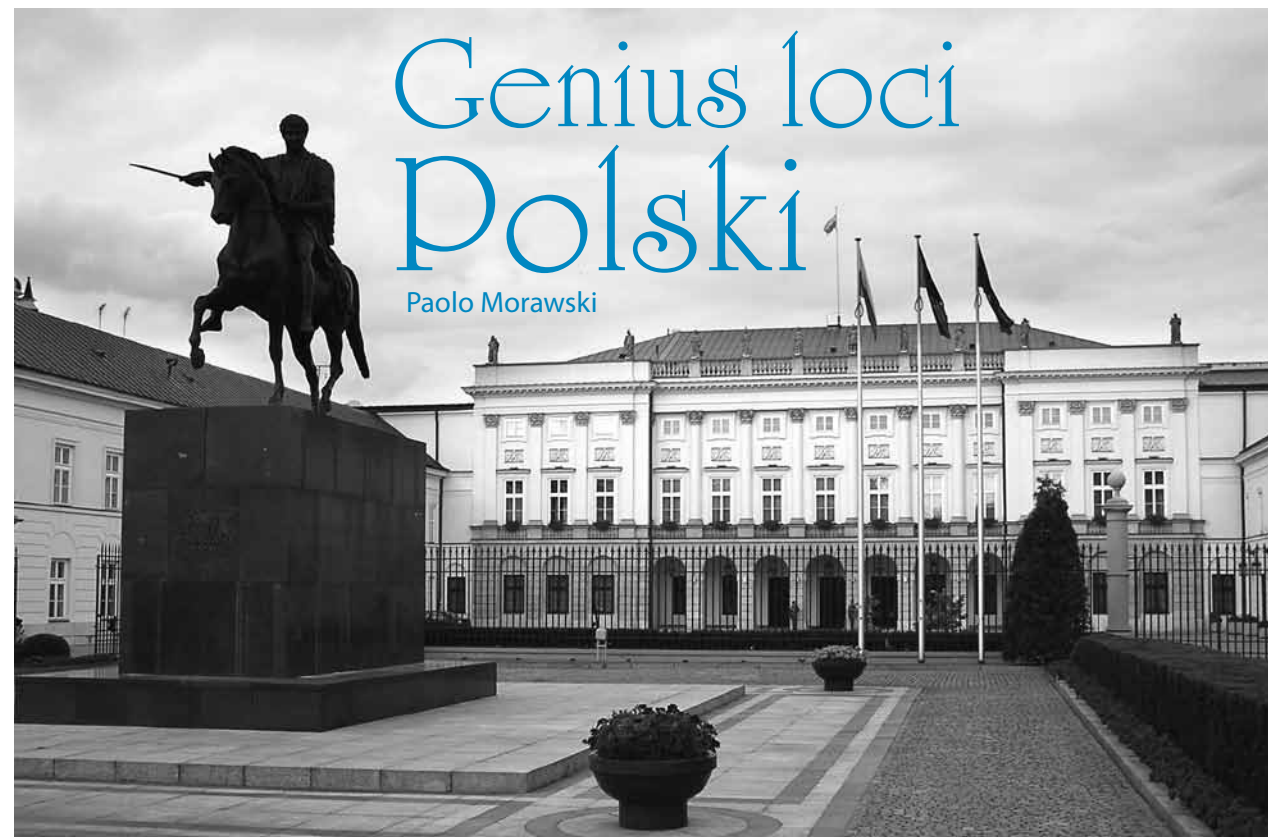
Ale ta europejska tożsamość jest krucha. Istnieje ona tylko wtedy, kiedy każdy z nas w nią wierzy. Istnieje pod warunkiem, że mamy dostatecznie dużo projektów, by ją ciągle utrzymywać. Istnieje ona, jeżeli wy, społeczeństwo obywatelskie, elity polityczne, ekonomiczne i intelektualne będziecie chcieli szerzyć ją tutaj i w świecie. Potrzebuje ona takich ludzi jak Bronisław Geremek.

Bronisław był jednym z tych przyjaciół, którzy swym zaufaniem, entuzjazmem, wielkodusznością i energią wciągają was w swe walki i życie. Z Bronisławem i innymi ludźmi miałem szansę przeżyć dodatkowe życie, polskie życie. Zachowałem z tych czasów szczególną wrażliwość, która nigdy mnie nie opuściła podczas działalności humanitarnej i politycznej. Europa to również takie przyjaźnie, spotkania, wspólne losy. Pamiętając to wszystko, pragnę oddać hołd memu przyjacielowi Bronisławowi. Tylko od Was zależy, czy pozostanie u naszego boku, służąc Nam światłymi radami. ■

O autorze:

Bernard Kouchner

Doktor medycyny i polityk francuski. Sprawuje urząd ministra spraw zagranicznych Francji. Współzałożyciel organizacji Lekarze Bez Granic.



„Ponieważ więc książę obwiązany jest umieć używać bestii, powinien sobie wybrać lisa i lwa, lew bowiem nie poradzi przeciw sieciom, lis nie poradzi przeciw wilkom. Należy więc być lisem, aby się poznać na sieciach, i lwem, aby odstraszać wilków.”

Niccolo Machiavelli, Książę

Wspominając Bronisława Geremka, warto przedstawić ogólnonarodowe uznanie, jakim się cieszył. Sprawił bowiem, że Polacy zmienili wyobrażenie o sobie samych.

Geremek został uroczystie pożegnany jako bohater okresu Solidarności. Obok krewnych i przyjaciół na mszę żałobną do katedry Świętego Jana Chrzciciela przyjechało wielu zwykłych obywateli, a także najważniejsze osoby w państwie: prezydent Lech Kaczyński, premier Donald Tusk, marszałkowie sejmu i senatu Bronisław Komorowski i Bogdan Borusewicz, prezydent Warszawy Hanna Gronkiewicz-Waltz. Byli także prezydenci Lech Wałęsa i Aleksander Kwaśniewski oraz premier Tadeusz Mazowiecki. Aby uczestniczyć w uroczystościach pogrzebowych, do Warszawy przybyło wielu szacownych gości zagranicznych, jak była sekretarz stanu USA — Madeleine Albright czy przewodniczący Parlamentu Europejskiego Hans-Gert Poettering. Bronisława Geremka pożegnali także: historyk Henryk Samsonowicz — minister edukacji narodowej w rządzie

Mazowieckiego, Marek Edelman — ostatni żyjący przywódca powstania w warszawskim getcie oraz Adam Michnik, założyciel „Gazety Wyborczej”. Uroczystą mszę świętą odprawił metropolita Warszawy, arcybiskup Kazimierz Nycz, były metropolita gdański — arcybiskup Tadeusz Gocłowski oraz biskup Alojzy Orszulik. Geremek został następnie pochowany na Powązkach, w alei zasłużonych dla ojczyzny, niedaleko przyjaciela — Jacka Kuronia.

Zastanawiające, że przy tej okazji także przeciwnicy polityczni Bronisława Geremka poculi obowiązek złożenia mu hołdu. W czasie żałoby podkreślano potrzebę odłożenia na bok kontrowersji, sprzeczności, tego, co dzieli. Zaczynając od samego prezydenta Kaczyńskiego, aż po prasę konserwatywną, wszyscy przypominali znaczenie intelektualisty. To on pewnego dnia wsiadł do samochodu w Warszawie i przyjechał do stoczni Gdańskiej, aby wyrazić solidarność ze strajkującymi, a później stał się jednym z „ekspertów” elektryka Lecha Wałęsy. Miało to miejsce w złotych czasach Związku Zawodowego Solidarność, od sierpnia 1980 do grudnia 1981. Wtedy przeciwstawianie się reżimowi nie było czymś oczywistym. Także mediowanie pomiędzy różnorodnymi jednostkami rodzącego się wolnego i niezależnego związku nie należało do łatwych zadań...

Lis i lew

Wielu podziwiała także w Geremku opozycjonistę, który nie złamał się mimo dwukrotnego internowania na ponad półtora roku między 1981 i 1983 rokiem przez autorytarny reżim generała Wojciecha Jaruzelskiego. Pojawił się potem obok Mazowieckiego, wśród głównych doradców Wałęsy w drugiej połowie lat 80. Stał się w konsekwencji architektem polskich zmian 1987-1989, tak jak Kościół Katolicki (Jana Pawła II), Wałęsa i Mazowiecki.

Samą ideę porozumienia z władzą, która pozwoliła na polski rok 1989, wielu odbierało jako „heretycką”. Założenie, że można, a wręcz trzeba negocjować z komunistami, aby pokojowo przeprowadzić demokratyzację kraju, krytykowali nawet niektórzy liberałowie polscy. Finalizowanie porozumień trwało od lutego do kwietnia 1989, ich zwieńczeniem był tzw. Okrągły Stół. W obradach wzięli udział przedstawiciele władzy i szeroka reprezen-

tacja opozycji, pochodząca w większości z szeregow Solidarności. Doprowadziły one do prawie wolnych wyborów, niespodziewanie wygranych przez kandydatów Solidarności. W sierpniu 1989 powołano pierwszy rząd koalicyjny pod przewodnictwem niekomunisty, chadeka — Tadeusza Mazowieckiego.

Geremek dobrze znał komunistów, ponieważ był członkiem partii przez 18 lat, od 1950 do 1968 (po inwazji na Czechosłowację złożył legitymację partyjną). Podczas trudnych negocjacji, które doprowadziły do porozumień Okrągłego Stołu, grał pierwszoplanową rolę, poruszając się z niezwykłą zręcznością, ostrożnością i determinacją. To o nim napisano: „Był wielkim strategiem i wspaniałym, wolnym od uprzedzeń taktikiem”. Z pewnością należał do najlepiej przygotowanych i potrafił wykorzystać niesamowitą okazję, jaką Gorbaczow oferował Polsce. Zrozumiał być może wcześniej niż inni, że Gorbaczow z jego pomysłem ucłowieczenia ZSRR nie miał odnowić komunizmu, ale osłabić ostatnie imperium. A to otworzyło nową furtkę dla Polski.

Niektórzy komentatorzy dostrzegli także zasługi Geremka po 1989, kiedy to odniósł wielkie sukcesy w polityce zagranicznej — najpierw jako przewodniczący sejmowej Komisji Spraw Zagranicznych, następnie jako minister spraw zagranicznych od 1997 do 2000. Geremek miał wizję, jaką pozycję powinna zająć Polska na arenie międzynarodowej. Jego wkład w wytyczenie trzech kierunków dla Polski po '89 był doniosły: zakotwiczenie w NATO i UE, dialog z Niemcami (i Francją) i „wrażliwość wschodnia”, co oznaczało przede wszystkim dobre stosunki sąsiedzkie z Ukrainą i republikami bałtyckimi, w oczekiwaniu na odwilż białoruską i mołdawską.

Europa universalis

Zbliżamy się do trzeciego okresu życia Profesora. Znany za intelektualistę i polityka europejskiego formatu był szczególnie doceniany przez środowisko polityczne, europejskie i zachodnie, a także przez prasę międzynarodową. Chwalono przenikliwość jego analiz i poglądów, jego szczerą i pozbawioną ślepej ideologii pasję dla Europy. Geremek był wspaniałym ambasadorem interesów Polski w Parlamencie Europejskim, w Stras-

burgu i w Brukseli, gdzie zasiadał od 2004 roku w rządach frakcji liberalno-demokratycznej. Zawsze walczył o pozytywny i europejski wizerunek Polski. Nie przez przypadek najczęściej używane słowa przy okazji wspomniania Profesora, zarówno w ojczyźnie, jak i za granicą, to „patriota”, „polski patriota”, i jednocześnie „europejski patriota” — dla podkreślenia faktu, że można być polsko-polskim i europejsko-europejskim (pomogła mu w tym jego potrójna tożsamość: żydowska, polska i frankofilska).

Geremek naprawdę wierzył w budowę Europy jak „w drugą ojczyznę; ojczyznę wszystkich rodzin historycznych, kulturalnych i społecznych starego kontynentu”. W jego oczach UE była niesamowitą szansą dla Polski i odwrotnie, cała Europa skorzystała na rozszerzeniu Unii. Dlatego jego europejskie zaangażowanie w „tworzenie Europejczyków” dotyczyło dwóch podstawowych obszarów — przewyższenia przepaści między Wschodem i Zachodem (tej żelaznej kurtyny, wciąż tkwiącej w świadomości obywateli zarówno z jednej, jak i drugiej strony) oraz pomocy UE w osiągnięciu większej spójności, akcentując jej wymiar polityczny. Chciał wzmocnić poczucie wspólnoty Europejczyków, na przykład poprzez solidarne działania na polu energetycznym, środowiskowym, społecznym, edukacyjnym. Szkoda, że w 2006 Parlament Europejski nie wybrał go na przewodniczącego — jego, przedstawiciela innej Europy, bardziej poszkodowanej w czasie II wojny światowej i następującej po niej zimnej wojny. Szansa, by decyzja polityczna podkreśliła znaczenie rozszerzenia się Unii na Wschód, została stracona.

Tylko śmieci płyną z prądem

Geremek był żywo zaangażowany w polską i międzynarodową przestrzeń publiczną. Jego wybory nie zawsze cieszyły się jednogłośnym poparciem. Na przykład dlatego, że negocjował z reżimem komunistycznym bardzo szybko zaczęły go oskarżać radykalne środowiska Solidarności o zbytne ustępstwa wobec komunistów, którzy pozostawali przy władzy przez 50 lat. Zarzucano mu, że zaoferował im niepotrzebny list żelazny, który chronił ich od procesów i pozostawiał w ich rękach władzę finansowo-ekonomiczną. Geremek zawsze odpowiadał, że była to cena, jaką należało zapłacić za pokojową transformację, w wersji „soft”. Temat jednak jeszcze dziś zatruwa polską scenę politycz-

ną. Co więcej, to właśnie ocena Okrągłego Stołu i jego konsekwencji (szkodliwych i pożytecznych, w zależności od punktu widzenia) spowodowała rozbięcie kiedyś spójnego ruchu Solidarności na wrogie sobie obozy, które zajmują dziś przeciwnie stanowiska, często popadając w ostre konflikty. Z jednej strony obrońcy III Rzeczypospolitej — wśród nich zarówno wielu byłych komunistów, jak i przeciwników reżimu. Dziś także premier Tusk i jego Platforma Obywatelska. Z drugiej strony ci niezadowoleni z rezultatów po 1989 r., którzy żądają utworzenia nowej, „oczyszczonej” IV Rzeczypospolitej. Do drugiej grupy należą byli opozycjoniści, którzy nie doszli do władzy w latach 90., a także ci, którzy dopiero w ostatnich latach zajęli ważne pozycje, jak bracia Kaczyńscy i ich partia Prawo i Sprawiedliwość.

Paradoksalnie zarówno pragmatyzm i powściągliwość Bronisława Geremka, jak i jego upór w równym stopniu wzbudzały kontrowersje wśród Polaków. Na przykład wtedy, gdy jego jedno „nie” wywołało burzę polityczną, która z Polski rozeszła się po całej Europie. Był kwiecień 2007 i Geremek przebywał w siedzibie Parlamentu Europejskiego. Powiedział wtedy „j'accuse et je refuse” [oskarżam i odmawiam], tym samym nie wyrażając zgody, by poddać się lustracji w Polsce. Prawu, które nakazywało setkom tysięcy obywateli polskich udowodnić publicznie, że nie mieli żadnych związków z uprzednim reżimem komunistycznym. „Łamie [lustracja] zasady moralne, zagraża wolności słowa, tworzy rodzaj ministerstwa prawdy i nową politykę historyczną” — oświadczył Geremek, motywując swoją odmowę autoryfikacji. Rząd polski próbował w tej sytuacji pozbawić go mandatu eurodeputowanego, później jednak Trybunał Konstytucyjny anulował dużą część ustawy.

Wspomnienie tych faktów służy podkreśleniu, jak bardzo zaskoczył hołd złożony przez adwersarzy politycznych Bronisławowi Geremkowi w czasie żałoby. Istotne jest, że stało się to właśnie wtedy, gdy Lech Wałęsa został oskarżony (w czerwcu 2008) przez dwóch młodych historyków [Sławomir Cenckiewicz i Piotr Gontarczyk, *SB a Lech Wałęsa. Przyczynek do biografii*, IPN, Gdańsk — Warszawa — Kraków 2008] o współpracę z reżimem komunistycznym w latach 70. pod pseudonimem „Bolek” (gwoździści, o bycie tajnym współpracownikiem, otrzymywanie wynagrodzenia za swoją działalność oraz o szkodzenie swoimi donosami

kolegom ze stoczni i innym opozycjonistom polskim). Właśnie w takich nieprzyjemnych okolicznościach przyjaciele i wrogowie, krytycy i zwolennicy zjednoczyli się podczas pożegnania Geremka, jednogłośnie oddając Profesorowi należną chwałę, przynajmniej za jego działalność w pierwszej połowie lat 80. u boku Solidarności. Tak jakby politycy i inteligencja polska, bezpośrednio lub pośrednio, dzięki Solidarności zdali sobie sprawę, że obecna walka polityczna i ideologiczna posunęła się zbyt daleko.

Innymi słowy dzięki wspominaniu Geremka Polacy mogli przez chwilę uświadomić sobie, ile wspólnie dokonali w ostatnich latach. Następny krok to pielęgnowanie pamięci o tym, bez psucia obrazu przeszłości współczesnymi konfliktami. Oczekując na to, możemy stwierdzić, że chodzi o historię, która ma znaczenie międzynarodowe i znajduje się we wspólnym europejskim „bagażu”. Sposób, w jaki Europa pożegnała Geremka, dobitnie świadczy o wielkim znaczeniu polskiej historii: relacje w zachodnich mediach, udział zagranicznych osobistości i mnóstwo kondolencji z zagranicy (od prezydenta Włoch Giorgio Napolitano po prezydenta Francji Nicolasa Sarkozy’ego i byłego prezydenta Czech Vaclava Havla — wymieniając tylko niektóre nazwiska). Przekonuje to, jak ważne miejsce Polska zajmuje dziś w Europie i, ogólniej, na Zachodzie. Jeśli jest prawdą, że żelazna kurtyna wciąż jest zakotwiczona w umysłach, jest także prawdą, że procesy europeizacji zachodzą dużo głębiej, niż uważa się powszechnie.

Liberał mimo woli?

Chciałbym zakończyć następującym spostrzeżeniem: Leopold Unger napisał, wspominając przyjaciela, że Geremek reprezentował najczystsze wcielenie liberalizmu polskiego — cytuję: „Miał liberalną krew i liberalny kręgosłup, co w Polsce nie zdarza się często”. Nie wiem, jak bardzo to stwierdzenie jest przesadzone. Geremek zawsze deklarował, że ma serce socjaldemokratyczne. Zarówno w swojej pracy historyka, jak i w działalności politycznej, szczególnie europejskiej, stawiał kwestie społeczne na pierwszym miejscu. Z pewnością jednak w Polsce liberalizm jest rzadkim towarem, nawet jeśli przez ostatnie kilka lat dużo się o nim mówi, to raczej w negatywnym kontekście. „Czy-



ści” liberałowie rzadko się zdarzają, choć definicje słowa „liberał” są w Polsce bardzo różnorodne.

Odczucia i idee liberalne „spolszczyły się” wobec myśli solidarnej i wspólnotowej, sytuacji w Polsce i konkretnych problemów, którym należy stawić czoła. Także wobec konserwatyizmu społeczeństwa polskiego i siły Kościoła. Moglibyśmy zdefiniować go jako liberalizm pochodzący ze Wschodu i stanowczo „nagięty” do polskiego kontekstu. Liberalne pole polityczne jako takie nigdy się już po 1993 nie wytworzyło i dziś wydają się to jeszcze trudniejsze niż wcześniej. Zmarginalizowana jest także liberalna kultura polityczna, która interesuje tylko kilku autorów i kilka tytułów. Częste użycie słowa „liberał” sprawia wrażenie, jakby liberalizm triumfował w Polsce obecnie i w przeszłości. Jednak to rozpowszechnione znaczenie jest dziełem nie samych liberałów, lecz ich przeciwników. Dziś szerzy się stereotyp, który przedstawia liberała w negatywnym świetle. Z tego względu używa się go jako broni polityczno-ideologicznej, gdy upraszcza się polską scenę polityczną. Mimo to dynamika społeczeństwa polskiego, europeizacja kraju oraz pozytywne efekty rozszerzenia i wolnego przepływu osób (setki tysięcy Polaków są najlepszymi ambasadorami Polski w UE i UE w Polsce) sprawiają, że w sferze kulturalnej idee liberalne w szerokim sensie postępują, przekonując rosnącą część społeczeństwa, które, tak jak miało to miejsce na zachodzie, cicho je przyjmuje.

Czy Bronisław Geremek uosabiał zatem kwintesencję polskiego liberała? Wydaje się, że Unger, który od lat żyje i pracuje w Belgii, definiując Bronisława Geremka jako liberała, nie miał na myśli polskiego modelu. Osobiście odpowiedziałbym w ten sposób: jeśli tylu Polaków i Europejczyków oddało mu hold, to dlatego, że polska tradycja i wartości, które go wydały i ukształtowały, są piękne. To niemało. ■

Tekst jest zapisem wystąpienia wygłoszonego we Włoskim Instytucie Studiów Historycznych w Neapolu 25 października 2008. Skróty, tytuł, śródtytuły i motto od redakcji.

Tłumaczenie: Julia Jasińska

O autorze:

Paolo Morawski

Włoski historyk i publicysta. Jest jednym z ważniejszych menedżerów telewizji publicznej RAI. Pełnił funkcję prezydenta Europejskiego Stowarzyszenia Telewizji Regionalnych CIRCOM Regional. Autor książki „Polonia mon amour”.

Wywiad z Jolantą Kurską Centrum im. Prof. Bronisława Geremka O Fundacji i jej celach



Mariusz Samulak

Centrum im. prof. Bronisława Geremka to nowa inicjatywa. Czy mogłaby Pani opowiedzieć o jej zasadniczych celach i najbliższych projektach?

Po tragicznej śmierci Profesora jego syn wraz z grupą przyjaciół ogłosił zamiar, którego celem jest upamiętnienie i upowszechnienie dorobku Profesora. Fundacja została zarejestrowana w grudniu 2008 roku i oficjalnie otwarta 5 czerwca — w dzień po uroczystych obchodach pierwszych wolnych wyborów w Polsce. Rola Profesora w tamtych wydarzeniach była nieoceniona, dlatego chcieliśmy, aby inauguracja odbyła się właśnie w tym momencie.

Fundacja ma na razie bardzo krótką historię, która dopiero będzie się pisać. Z czym startujecie i co chcielibyście robić?

Zachowanie dorobku Profesora to jeden z naczelných celów. Chcemy stworzyć Centrum Dokumentacji i Badań, w którym zgromadzimy bibliotekę Profesora, jego wystąpienia, wykłady i artykuły. To praca czasochłonna, zajmie nam co najmniej dwa,

trzy lata. Będziemy chcieli zgromadzić wszystko, co nie jest jeszcze wydane, a istnieje w rękopisach. Zbiory te powinny być zdigitalizowane i udostępnione badaczom, którzy będą pracować nad naukowym i publicystycznym dorobkiem Profesora. Bronisław Geremek był historykiem, publicystą, politykiem i parlamentarzystą europejskim. Jego twórczość jest rozległa, więc badacze będą mieli pole do popisu.



Czy tylko naukowcy będą mieli dostęp do Centrum, czy także i szersza publiczność?

Będziemy udostępniać zbiory osobom zainteresowanym, młodzieży szkolnej, uniwersyteckiej. Fundacja będzie miejscem otwartym nie tylko dla polskich naukowców, ale również tych z zagranicy. Musi powstać Rada Naukowa złożona z wybitnych historyków, która będzie patronować temu przedsięwzięciu.

Drugie pole aktywności to działalność wydawnicza. Poprzez publikację książek i artykułów Profesora chcemy promować te wartości, w które wierzył.

Trzeci nasz cel to projekty edukacyjne, promujące takie wartości jak tolerancja, prawa człowieka, wartości europejskie. Nawiązaliśmy już współpracę z kilkoma fundacjami, m.in. Fundacją Evans, z którą będziemy realizować projekt Fabryka Pokoju. Mamy nadzieję, że wystartuje on pod koniec tego roku.

I wreszcie, 6 marca każdego roku, w dzień urodzin Profesora, pragniemy organizować międzynarodową konferencję gromadzącą najciekawsze głowy i autorytety intelektualne Europy i Świata.

Fundacja ma mieć wymiar międzynarodowy. Ma być narzędziem promowania Polski w świecie. Jednocześnie sam Profesor zasłużył na to, by wymienić Go w jednym rzędzie z takim Europejczykami jak Monnet, Schumann czy de Gasperi.

Czy nie uważa Pani, że w polskiej szkole zbyt mało mówi się o historii najnowszej? Może jest to pole działania dla Fundacji?

Badania wykazują, że młodzież nie bardzo kojarzy wydarzenia okresu komunizmu i Solidarności w Polsce. Nie zna bohaterów tamtych czasów, nie pojmuje epoki. Żywa historia jest niewątpliwie ciekawsza niż ta z podręczników i taką właśnie chcemy propagować. To obszar, któremu chcielibyśmy stawić czoła. Spotkania i warsztaty wykorzystujące świadectwa historii mogą odegrać tu nieocenioną rolę.

Nie chcielibyśmy, aby nasza Fundacja była organizacją tylko warszawską. Powinna prowadzić działalność w całej Polsce.

Fundacja to nie tylko projekty i plany, ale przede wszystkim ludzie. Kto tworzy Fundację, kto z nią współpracuje?

Przede wszystkim wolontariusze, którzy zaangażowali się w ten projekt, bowiem Bronisław Geremek był dla nich ważną postacią. Chcę im za to serdecznie podziękować. Od niedawna mamy też pierwszą osobę zatrudnioną na etacie — dyrektora biura. Ponadto będzie nam na pewno potrzebny historyk/archiwista.

W Radzie Fundacji znalazły się znaczące nazwiska, np. Pan Premier Mazowiecki.

Rada liczy dziś 11 osób. Zasiadają w niej: Tadeusz Mazowiecki, Adam Rotfeld, Henryk Samsonowicz, Adam Michnik, Helena Łuczywo, Aleksander Smolar, Krzysztof Michalski, Maciej Witucki, Mikołaj Dowgielewicz, Jacek Dubois i Marcin Geremek.

Niedawno odsądzano od czci i wiary Lecha Wałęsę. Profesor Geremek należał do tych, którzy stawali w jego obronie. Nie obawia się Pani nasilenia ataków na legendy roku 1989?

Profesor wielokrotnie był atakowany za życia, szczególnie, gdy odmówił podpisania upokarzającego oświadczenia lustracyjnego. Miał zasadę, że nigdy nie zajmował się atakami na siebie. Nawet ich nie czytał, natomiast rzeczywiście stawał w obronie innych ludzi i wartości, w które wierzył. Będziemy brali z niego przykład.

Ale teraz najważniejsze jest wykonanie konkretnej pracy, która na nas czeka. Proszę śledzić postępy w naszych działaniach na stronie: www.geremek.pl. ■

O autorze:

Jolanta Kurska

Prezes zarządu Fundacji CENTRUM im. Bronisława Geremka.

Profesor

Dominik Krakowiak

Rozmowa z Marcinem Gasiukiem, asystentem prof. Geremka w Parlamencie Europejskim

Letnie słoneczne popołudnie. Kawiarnia w tzw. dzielnicy europejskiej w Brukseli. Spotykam się w niej z Marcinem Gasiukiem, pracownikiem Komisji Europejskiej, osobą, która przez kilka ostatnich lat współpracowała bardzo blisko z bohaterem tego specjalnego wydania "Liberte!" — Bronisławem Geremkiem. Od 2004 roku do tragicznego wypadku Profesora w lipcu 2008 Marcin był jego osobistym asystentem w biurze parlamentarnym w Brukseli.

Od początku przekonany byłem, że Marcin jest jedną z niewielu osób, która nosi w sobie tę wiedzę i doświadczenia ostatnich lat działalności Bronisława Geremka, o których nie mamy jeszcze tak szerokiej wiedzy, i której nie objęły swoim zakresem jeszcze ostatnie analizy politologiczne czy historyczne. Postanowiłem zatem spróbować wydobyć od jego bliskiego współpracownika kilka z tych myśli, celów, zasad, którymi Profesor kierował się w swojej działalności. Z jednej strony, bazując na bezpośrednich doświadczeniach zawodowych Marcina, staram się zarysować portret polityka tego, jaki był, z drugiej próbuję również dociec, czy aby Profesor nie pozostawił po sobie pewnych wskazówek dla nas, dla pokolenia młodych ludzi, dopiero wchodzących w świat polityki, co do

dróg, którymi warto politycznie kroczyć bądź marzeń, w które nie powinniśmy zaprzestawać wierzyć zarówno tych dotyczących Polski, Europy, jak i ładu w świecie XXI wieku.

Z racji naszej brukselskiej znajomości z Marcinem udało mi się nakłonić go do tej rozmowy, mimo iż wcześniej wzbierał się przed wywiadami czy publicznym ocenianiem działań politycznych Profesora, kulisów ich współpracy. Rozmawiając z nim dziś, nadal dostrzegam, iż nie jest to tematyka prosta czy pozbawiona emocjonalnego bagażu doświadczeń. Marcin od spokojnego, delikatnego poruszania kwestii, o które pytam przechodzi czasami w rodzaj wyjątkowego emocjonalnego uniesienia. Widzę dzięki temu, jak dużą wagę przykład do lekcji intelektualnego dziedzictwa, które udało mu się pozyskać dzięki wspaniałej karcie swej biografii, jaką była bezpośrednia współpraca z Bronisławem Geremkiem. Cieszę się, że rąbkami tego wykładu z życia Bronisława Geremka zechciał się z nami podzielić.

Od czego powinniśmy zacząć?

Może od Parlamentu? Od listopada 2004 roku byłem asystentem Profesora w Parlamencie Europejskim. Pewnie ciekawy jesteś, jak to się stało i kiedy się poznaliśmy? Po raz pierwszy spotkałem Profesora w roku 2000, podczas mojego stażu w Ambasadzie RP w Bratysławie, następnie spotykałem go jeszcze kilkakrotnie podczas innych staży w MSZ oraz na spotkaniach Unii Wolności. Zawsze byłem zafascynowany jego konsekwencją w realizowaniu celów. Podziwiałem przy tym jego przywiązanie do wartości.

I jak ta fascynacja przeobraziła się w rzeczywistość, namacalną relację?

Latem 2004 roku właśnie ukończyłem studia na Akademii Dyplomatycznej w Wiedniu i rozpocząłem poszukiwanie pracy. Tematem mojej pracy magisterskiej był lobbying w UE, dlatego też bezpośrednio uczestniczenie w pierwszych miesiącach Polski w UE było moim największym marzeniem. Pracy dla posłów takich jak Profesor Geremek czy też panowie Onyszkiewicz lub Kułakowski była naturalnym celem. Należy pamiętać, że jako absolwent mogłem pozwolić sobie na tak ambitne działania, gdyż nie miałem nic do stracenia. Myślę,

że każdy, kto poważnie myśli o dotknięciu jakiegś dziedziny, marzy o zetknięciu się z mistrzem.

Czyli pełna realizacja marzeń i wizji młodego człowieka?

Niewątpliwie. Będąc jednocześnie realistą, w biurze Profesora ubiegałem się jedynie o staż, otrzymałem zaś możliwość pracy. Jeden z tych dni, których się nie zapomina. Do dzisiaj trudno jest mi sobie wyobrazić bardziej odpowiednią szkołę polityki i Europy niż ta u boku Profesora.

Rozmawiając o Bronisławie Geremku, często używasz zwrotu „Profesor”. Z czego to konkretnie wynika?

Bronisław Geremek piastował wiele funkcji. Myślę, że tytuł Profesora w najpełniejszy sposób odzwierciedlał charakter relacji między nami.

Z pewnością decydując się na pracę u Geremka, obdarzałeś go dużym szacunkiem, traktowałeś jako autorytet. Jak wyglądały Wasze relacje? Czy przez te wszystkie lata zdążyliście się zaprzyjaźnić czy relacja nasączona była jednak profesjonalnym dystansem?

Profesjonalny dystans jest najlepszą formą relacji. Myślę, że każdy inny wariant byłby w mniejszym lub większym stopniu fikcją. O ile dobrze pamiętam, Wiesław Walendziak powiedział kiedyś o stylu Profesora: „pełna kurtuazji forma i kateryczna treść”.

Zgadza się. Mówiło się o jego charyzmie... ale czy uważasz, że miał cechy prawdziwego lidera? Chyba jednak nie lubił wychodzić przed szereg? Czy był klasycznym „team playerem”?

Profesor wiedział, że grupa osób działająca w służnej sprawie jest nie do zastąpienia. Liderem był tylko wtedy, gdy zaistniały ku temu sprzyjające okoliczności i tylko wtedy, kiedy był pewien autentycznego poparcia. Jest to jedno z tych zachowań, których chciałoby się widzieć więcej na scenie politycznej.

Charakterystyczne dla Geremka było zainteresowanie ludźmi marginesu, widoczne szczególnie w jego pracach naukowych, pochylał się nad wykluczoną częścią francuskiego

społeczeństwa wieków średnich... ale także w jego życiu politycznym. Jakim człowiekiem był na co dzień? Salonowcem zainteresowanym marginesem? Czy umiejętnie udawało mu się przełamywać bariery społecznych granic w kontakcie z drugim człowiekiem, jak na przykład Kuroniowi? Jest w jego życiorysie chyba sporo tzw. Żeromszczyny — inteligent służący polskiemu ludowi, że wspomnę pomoc, którą okazywał Wałęsie.

Wierząc w siłę społeczeństwa, Profesor nie stronił od kontaktu z drugim człowiekiem. Dla Profesora ludzkie życie było największą wartością, cenił ideą rewolucji francuskiej, był humanistą, nie tylko w swoich słowach, ale i w czynach — wielokrotnie pomagał osobom potrzebującym, nie wyłączając anonimowych przechodniów na ulicy. Rzadko spotykana zgodność wielkich myśli, głoszonych z trybun z prozaicznym codziennym działaniem. Relacje z Lechem Wałęsą były oparte na wzajemnym szacunku, początkowo wobec wspólnych idei, a następnie zaś na szacunku dla wspólnych doświadczeń. Obaj w imię wyższych celów potrafili zdobyć się na kompromis.

Z Wałęsą chyba łączy Profesora nie tylko daleka przeszłość, ale i oskarżenia lustracyjne. Przyszło mu się z nimi mierzyć w drugiej połowie obecnej dekady, w trakcie minionej kadencji Parlamentu Europejskiego, której byłś świadkiem.

Niestety, ataki na Profesora niejednokrotnie wykraczały poza przyjęte ramy prowadzenia polityki.

Czy nie wystarczyło wtedy podpisać tego oświadczenia lustracyjnego po raz drugi i mieć po prostu „święty spokój”? Jakimi wartościami kierował się Geremek, wyrażając swój sprzeciw? Pewnie jest wielu ludzi, którzy nie do końca rozumieją postawę Profesora?

Są w życiu wartości, przekonania, idee, którym się wiernie służy niezależnie od okoliczności, od tego czy jest rok 1980, 1989, 2007. To była osobista decyzja Profesora. Każdy z nas, licząc się z konsekwencjami, również może zaprotestować czując, że jego prawa są gwałcone. Zachęcam bardzo do zapoznania się z wypowiedziami Profesora z tamtego okresu, ażeby uniknąć skrótowego przedstawienia tego zagadnienia.

A czym był ten okres dla Ciebie?

Zdecydowanie był to jeden z najtrudniejszych momentów w tej pracy, który wymagał ogromnego wysiłku zarówno w sferze psychicznej jak i fizycznej. To, czego się wtedy nauczyłem od Profesora, to konieczność bycia konsekwentnym wobec swoich czynów i przekonań.

Z pewnością były to ciężkie chwile, jak zawsze, kiedy walczy się o wartości, w które się wierzy. Czy podczas twojej pracy z Profesorem były też pewne sytuacje mniej poważne?

Tak, i to o dziwo w tych samych trudnych dniach. Na tydzień przed werdyktem Trybunału Konstytucyjnego Profesor spotkał się w Parlamencie Europejskim w swoim gabinecie z panem Januszem Onyszkiewiczem, który tak jak Profesor jest zafascynowany fajkami i tytoniem. Podczas emocjonującej rozmowy omawiane były różne możliwe scenariusze dalszego rozwoju wypadków. Dym z fajek szczerze oplatał miejsce dyskusji. Wtem otworzyły się wszystkie drzwi do naszego biura i wkroczyła ochrona budynku. Okazało się, że dym z fajek zaalarmował zespół ochrony przeciwpożarowej, która w przeciągu minuty pojawiła się na miejscu. Jednak największym zaskoczeniem tej akcji był ogromny hałas, dobiegający z korytarza. Część asystentów i posłów z biur sąsiadujących z naszym tłoczyła się z aparatami fotograficznymi. Po krótkiej konsternacji, widząc ich spuszczone głowy, uświadomiliśmy sobie, że są zawiedzeni faktem, iż nie udało im się uwiecznić momentu "usunięcia" Profesora Geremka z budynku Parlamentu. Wiele z nich potem przeprosiło za swoje zachowanie. Natomiast część osób przybyła, ażeby autentycznie bronić Profesora przed usunięciem. Po chwili wszyscy wybuchnęli śmiechem...

Zabawne i przerażające zarazem. Koniec końców, tenże Parlament Europejski, w którym przy oparach tytoniu z fajki Bronisław Geremek próbował budować wizję dla Europy naszych marzeń, stał się murem za Profesorem. Nie zaprzeczysz chyba, że był to wzruszający moment?

Tak, chociaż do dziś pamiętam, że konferencja prasowa na ten temat, zorganizowana przez Profesora w Parlamencie Europejskim, odbyła się tylko w języku polskim mimo licznego udziału dziennikarzy zagranicznych.

Dlaczego?

Profesor postrzegał swoją decyzję przez pryzmat polskiej polityki i starał się uniknąć konfrontacji na linii Europa-Polska. Profesor wierzył, że jest to sprawa, którą należy uregulować tylko na gruncie krajowym, bez pomocy Unii Europejskiej.

A czym była dla Profesora właśnie ta Unia Europejska?

Wydaje mi się, że stanowiła ona materializację pewnej idei, która 50 lat temu była tylko planem, zaś 100 lat wcześniej stanowiła czystą utopię. Myślę, że dla każdego człowieka realizacja idei, która wykracza poza kiedyś przyjęty horyzont, jest bardzo ważnym przeżyciem. Tego właśnie doświadczył Profesor.

Patrzył na nią i czuł się za nią odpowiedzialny jako Polak, Europejczyk czy obywatel świata?

Te trzy określenia w najlepszy sposób opisują format Profesora i jednocześnie ujawniają niemożność jednoznacznego "zamknięcia" opisu tylko w jednym z nich.

Wierzył w istnienie „ducha europejskiego”?

Profesor często powtarzał: „Stworzyliśmy Europę, teraz stwórzmy Europejczyków”. Wierzył czy też nawet dostrzegał, że społeczeństwo europejskie po raz pierwszy w swojej historii ma zagwarantowane fundamentalne bezpieczeństwo, które pozwala na realizację takiego projektu.

Spoglądając na 500 milionową Unię, rozdarta partykularnymi konfliktami, można odnieść wrażenie, że jest to niemożliwe...

Jest to możliwe i Profesor był o tym przekonany. Jest to możliwe, jeśli zaistnieje wspólna świadomość europejska, świadomość tworzona poprzez odniesienie do tych wspólnych wartości, które każdy z nas w sobie nosi, a o których ważkości nie raz zapominamy, biorąc je jako dożywotnio zagwarantowane. Zbyt szybko o tym zapominamy.

Nie uważał, iż staranie się o zbudowanie podstaw tożsamości europejskiej u obywateli tak wielu nacji, zamieszkujących nasz kontynent, będzie czymś sztucznym, odgórnie narzuconym,

czyms, czym ludzie nie będą po prostu zainteresowani?

Profesor był przekonany, że obywatele Europy mają ten pierwiastek łączący, oparty na wspólnym: dziedzictwie, historii i wartościach — posiadają go, choć nie zawsze są tego świadomi. Różnice językowe, granice polityczne oraz różne systemy przez wieki skutecznie nas oddalały od siebie. Dziś po zniesieniu tych sztucznych ograniczeń możemy poczuć się obywatelami Europy. Przykład setek tysięcy Polaków, którzy w przeciągu zaledwie kilku lat skutecznie asymilują się na terenie całej UE, jest tego najlepszym przykładem. Profesor postrzegał Unię głównie jako strefę wspólnych, uniwersalnych wartości.

Dlatego też Profesor był orędownikiem Karty Praw Podstawowych?

Tak. Uważał za ogromną porażkę, że to właśnie Polska, jego kraj, ten sam, którego obywatele przez ostatnie 50 lat wykazali tak ogromne przywiązanie do wartości, teraz skutecznie domaga się wyłączenia zapisów Karty Praw Podstawowych. Karta to właśnie jeden z takich fundamentów obok przykładowych projektów stworzenia uniwersalnego podręcznika historii dla uczniów szkół w Europie.

Brzmi to jak utopia...

Dlaczego? Obecnie już funkcjonują takie podręczniki francusko-niemieckie, zaś polsko-niemiecka komisja też może poszczycić się osiągnięciami w tym zakresie. Profesor zawsze zalecał skupianie się na podobieństwach, na części wspólnej interesów społeczeństw i państw uczestniczących w UE.

Czy jednakże nie bał się, iż takie ujednolicenie przeczyłoby sloganowi, któremu hołduje Unia Europejska: „Zjednoczeni w różnorodności”?

Profesor podchodził do tego zagadnienia pragmatycznie. Wierzył, że Unia Europejska wkracza tylko tam gdzie jest odczuwalna potrzeba takiej integracji. On dostrzegał tę potrzebę i unikalną szansę jej realizacji. Różnorodność UE stanowi o jej sile.

Czyli funkcjonalistyczna teoria rozwoju UE?

Profesor głęboko wierzył w Europę, ale nie jako projekt odgórnie narzucony, lecz jako ten, który

naturalnie, samoistnie dojrzewa w świadomości obywateli. Wszyscy jesteśmy ludźmi, wszyscy jesteśmy obywatelami.

Rozumiem, że miał przeświadczenie, iż zmiany historyczne, systemowe spowodują w końcu zmiany w świadomości i tożsamości obywateli, w ich sposobie postrzegania rzeczywistości. Tylko że to się nie dzieje tak od razu. Myślisz, że świadom był, iż społeczeństwa dojrzewają pokoleniami do zmieniających się warunków zewnętrznych?

Tak, Profesor miał świadomość, że każde pokolenie charakteryzuje inna rzeczywistość, inne doświadczenia życiowe. Profesor doskonale to wiedział. Przykładowo: pewien specjalny charakter jego wzajemnych stosunków z Janem Pawłem II wynikał właśnie z tego wspólnego bagażu przeżyć. Profesor wierzył jednocześnie, że nasze pokolenie, ludzi urodzonych w latach 70–80, nie musi już dźwigać tych traumatycznych przeżyć i może swobodnie realizować swoje marzenia w świecie, gdzie zagwarantowane są podstawowe prawa człowieka. To na naszym pokoleniu spoczywa obowiązek dalszego, ogólnie pojętego postępu w oparciu o wartości, wypracowane przez pokolenie naszych rodziców.

A jakimi metodami Profesor wdrażał te idee?

Ogromna wiedza, doświadczenie międzynarodowe w połączeniu z intuicją oraz nazwijmy to umownie: znajomością politycznej mechaniki, pozwalały na skuteczne zaplanowanie różnych projektów politycznych. Profesor posiadał również ten szczególny dar formułowania myśli, które cechował niepowtarzalny uniwersalizm.

Wiedza czy umiejętność zrozumienia pewnych procesów to jedno, czym innym jest umiejętność wdrażania pożądaných zmian w życie, czego na co dzień oczekujemy od polityków. Czy byłeś świadkiem "takich" chwil?

Dokładnie tak — nieraz w Parlamencie Europejskim wsłuchiwałem się w wypowiedzi Profesora, które spotykały się ze zrozumieniem wszystkich posłów bez wyjątku. Cechował je ten szczególny rodzaj argumentacji, który sprawiał, że jego słowa trafiały z tą samą siłą do obywateli w całej Europie,

niezależnie od pochodzenia czy miejsca zamieszkania. Właśnie dlatego Profesor jako jeden z nielicznych obcokrajowców był popularnym komentatorem życia politycznego Republiki Francuskiej. Jednocześnie wszystkie wypowiedzi Profesora były w duchu patriotyzmu. Uważam, że tego aspektu w naszym kraju wielokrotnie nie dostrzegano.

Z czego to mogło wynikać Twoim zdaniem? Nie wierzymy politykom „na eksport” czy może nie lubimy stawiać pomników autorytetom?

Nie, myślę, że nie należy generalizować. To, że w kilku ostatnich latach grupa osób, sfrustrowanych brakiem swoich osiągnięć, starała się w chrobrliwy wręcz sposób wymazać świadomość osiągnięć 1980 i 1989 roku, nie oznacza, że ten cel został osiągnięty. Powinniśmy przeciwstawiać się takiemu relatywizmowi, ale nie poprzez ataki na adwersarzy, lecz przez podkreślanie pozytywnych efektów przemian. Tak jak Profesor jestem zwolennikiem pozytywnej metody prowadzenia polityki: zamiast skupiać się na publicznym zniszczeniu rywala, należy koncentrować siły na uzyskaniu przewagi merytorycznej poprzez proponowanie rozwiązań lepszego niż przeciwnik. Racjonalne podejście do każdego problemu, konstruktywna krytyka — mam wrażenie, że właśnie tego wciąż jeszcze moglibyśmy się nauczyć od kilku innych demokracji w Europie.

Być może w Polsce potrzebna jest po prostu zmiana pokoleniowa w polityce? Jak Profesor oceniał młode pokolenie Polaków? Czy przyłączył się do chóru pesymistów, narzekających na notoryczny brak idei pośród młodzieży?

Sądzę, że w kontekście przyszłości Polski i młodego pokolenia Profesorowi najbardziej zależało na tworzeniu szans dla wszystkich osób, które chcą działać, tworzyć, zmieniać otaczającą nas rzeczywistość.

Tak Marcinie, tylko że czasy się zmieniły, dziś nie mamy okazji do przeskakowania przez mur, brak jest jasno określonego wroga, pojęcia dobra i zła są na tyle rozmyte, iż to pokolenie „nic” czy generacja „zero” rozplywa się często w konsumpcjonizmie, brakuje mu skrzydeł do walki czy zwykłego działania u podstaw... Nie ma dylematów moralnych i co za tym idzie dzia-

łań, charakterystycznych dla pokolenia naszych rodziców.

Wielokrotnie słyszę te argumenty. Czy naprawdę sądzisz, że scenariusz *Barw Ochronnych* i *Przypadku* nie miałby szans na realizację w dzisiejszej rzeczywistości? Rzeczywistość się zmieniła, wartości pozostały te same. Wymagają tylko okazywania ich poprzez inne działania. Na przykład: uczciwość, solidność, altruizm społeczny — to cechy, które również dzisiaj są niejednokrotnie wystawiane na ciężką próbę, nie tylko w biznesie, ale i w polityce czy nawet życiu codziennym.

Widzisz w Polsce polityków uczciwych, solidnych, altruistycznych?

Tak, zawsze w to wierzyłem, zaś praca w Parlamencie tylko mnie w tym przekonaniu utwierdziła. Myślę, że każdy z nas zna takie osoby.

Spółeczeństwo jest jednak przekonane o nieuczciwości polityków i to nie tylko w Polsce.

Myślę, że jednym z celów naszego pokolenia powinna być zmiana tego odbioru poprzez aktywne i skuteczne działania społeczne, które kiedyś mogą nabrać cech ruchu politycznego. Polityka jest trudnym zadaniem, ale nie powinna być postrzegana jako coś niewykonalnego. Dlaczego młodzi, kompetentni, niezależni finansowo politycy, zasiadający w sejmie, stanowią tak nierealną wizję? Musimy zatrzymać negatywną selekcję.

No dobrze, tylko czy taki polityk „idealista” nie traci na skuteczności? Moralne zwycięstwa to nasza polska specjalność. Może lepiej stawiać na skutecznych studentów dzieł Machiavelliego, którzy nie dadzą sobie w kaszę dmuchać niż na miażdżących idealistów?

Dzieła Machiavelliego powinny być obowiązkowe — jako przykład jednej z możliwych do obrania dróg. Każdy postawiony cel możemy osiągnąć na kilka sposobów. Machiavellizm to jednorazowa droga na skróty w porównaniu do stromej drogi, pozwalającej na realizację celów w zgodzie z wartościami. Ta z kolei jest drogą zazwyczaj najdłuższą i wymaga największego wysiłku, co czyni ją relatywnie najmniej atrakcyjną. Ale czy czyni ją niemożliwą? Nie. W tym jest właśnie jej wyzwanie i siła. Tę drogę zawsze wybierał Profesor.

Po raz kolejny mam wrażenie, że zahaczamy o utopię.

Patrząc przez pryzmat życia Profesora, wiele planów mogło się wydawać utopijnymi, niemożliwymi do realizacji. Niemniej jednak zostały zrealizowane. Myślę, że naszemu pokoleniu czasami brakuje takiej wizji, siły sprawczego myślenia. To właśnie uważam za istotne wyzwanie.

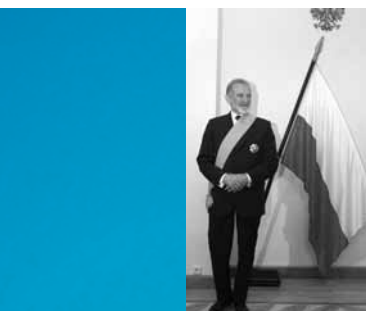
Gwoli wyjaśnienia: kogo masz na myśli, mówiąc "My"?

Wszystkich tych, którym idee Profesora były i są bliskie. Wszystkich tych, którzy nawet w niewielkim stopniu czują się spadkobiercami jego myśli i chcą konsekwentnie działać w tym kierunku. Myślę, że właśnie tego od nas Profesor by teraz oczekiwał. Jego odejście nie może nas zatrzymać. Pokolenie wolnej Polski powinno zacząć spłacać swój dług. ■

O autorze:

Marcin Gasiuk

Asystent prof. Bronisława Geremka w Brukseli. Obecnie pełni funkcję Project Managera w dziale zajmującym się funduszami strukturalnymi dla Polski, w Dyrekcji Generalnej ds. Polityki Regionalnej Komisji Europejskiej.



Skąd pomysł powołania fundacji Centrum im. Bronisława Geremka?

To wyraz pamięci o Ojcu. On nie chciałby stawiania mu pomników. Cieszyło go konkretne działanie. Pomyślałem więc, że Fundacja realizująca konkretne projekty w duchu wartości, którym służył mój ojciec, najlepiej się do tego nadaje. Ode mnie wyszedł impuls, natomiast nic by się nie udało, gdyby nie wolontariusze, przyjaciele i współpracownicy, którzy stworzyli Centrum im. Bronisława Geremka.

Jakie planujecie Państwo działania?

Fundacja ma propagować ideę europejską, która była niezwykle istotna dla mojego Ojca. W pierwszej kolejności jednak starać się będziemy utrwalić, zgromadzić i zabezpieczyć jego

dorobek tak jako polityka, człowieka Solidarności jak i historyka. W Centrum znajdą się więc wszystkie materiały niezbędne dla przyszłego biografa Ojca, jeśli się taki pojawi.

Powstanie też biblioteka. Załącznikiem jej będą dzieła wydane przez Instytut Literacki w Paryżu, ofiarowane nam przez tę instytucję, oraz księgozbiór moich rodziców. Zależy mi na tym, żeby była to fundacja ludzi młodych i dla ludzi młodych.

Był zawiedziony działalnością Parlamentu, uważał że jest on ubezwłasnowolniony przez biurokrację i dlatego nie może szybko reagować na bieżące wydarzenia.

Czy dysponują Państwo jakimiś niepublikowanymi tekstami Profesora?

Mamy szereg tekstów które trzeba będzie usystematyzować i opublikować. Prof. Adam Rotfeld przekazał wiele ciekawych materiałów. Planujemy też działalność wydawniczą, choć raczej jako partner z innymi podmiotami.

Pana Ojciec był bardzo przywiązany do idei pokojowej transformacji. Okrągły Stół — dziś często atakowany jako zmowa elit, niemal zdrada — był dla niego symbolem Ak-samitnej Rewolucji.

Wyrośłem w domu historyków, a to jest sprawa prawdy historycznej. Rok '89 w Polsce oraz Okrągły Stół to było przecież wielkie zwycięstwo wszystkich Polaków, to było otwarcie nie-spotykanej od kilkuset lat koniunktury dla Polski. O tym się zapomina w polskim piekielku. Na naszych swarach i złości korzystają Niemcy, którzy w zgodzie świętują upadek Muru Berlińskiego. I to ów mur, a nie Solidarność staje się europejskim symbolem wyzwolenia spod komunizmu. Tymczasem, gdy w Berlinie upadał mur, w Polsce był już niekomunistyczny rząd.

Ostatnim momentem, kiedy Pana Ojciec był na czołówkach gazet, była kwestia oświadczenia lustracyjnego.

Kiedy wyniknął problem oświadczenia lustracyjnego dużo i szczerze na ten temat rozmawialiśmy, nawet razem redagowaliśmy tekst dotyczący tej kwestii. Zgadzałem się z Ojcem w 100 proc. To była pisowska operacja, której celem było upokorzenie całych grup społecznych i zawodowych, dzielenie Polaków i odbieranie prawa do obrony niesłusznie oskarżonym. Ojciec był człowiekiem pryncypiów. Wcześniej sześciokrotnie podpisywał takie oświadczenia i nie było powodu, żeby robić to kolejny raz. Okazało się, że miał całkowitą rację. Trybunał



Konstytucyjny na ustawie lustracyjnej nie zostawił suchej nitki. Bardzo go w tej sprawie popierałem.

Profesor Jerzy Buzek został przewodniczącym Parlamentu Europejskiego. Czy prof. Geremek głosowałby na niego?

Oczywiście że tak, choć chyba raczej by już nie startował do PE. Był zawiedziony działalnością Parlamentu, uważał że jest on ubezwłasnowolniony przez biurokrację i dlatego nie może szybko reagować na bieżące wydarzenia.

Ojciec był w domu i miał dla mnie czas, robił mi śniadania przed pójściem do szkoły. Dużo podróżowaliśmy, zwiedziliśmy całą Europę, żeglłowaliśmy razem.

Jak Pan postrzegał opozycyjne zaangażowanie swego Ojca?

Imponowało mi to oczywiście. Nie, to nie był przypadek, że gdy w 1980 roku byłem studentem w Akademii Medycznej w Warszawie — zakładałem NZS, a po 13 grudnia zostałem aresztowany. Potem miałem problemy ze znalezieniem pracy. Zatrudniłem się w Szpitalu Praskim, gdzie nauczyłem się solidnie medycyny. Po wyjściu z więzienia jeździłem na widzenia do Jaworza, Drawskiego Pomorskiego, Białogóry. Pamiętam, że w 1989 roku Ojciec był zmęczony, ale miał poczucie uczestniczenia w wielkim historycznym przełomie. Czuliśmy, że to jest niespotykany w dziejach sukces Polski, która wreszcie stanie się krajem otwartym. Szybko to odczułem, także jako chirurg, bo dzięki temu przełomowi wreszcie można było sprowadzać fachową literaturę, a przecież nie było wtedy Internetu. Skądinąd to właśnie mój Ojciec, o czym mało kto wie, „otworzył” go dla Polski.

Proszę o tym powiedzieć coś więcej.

Żeby być dopuszczonym do sieci, kraj musiał mieć certyfikat bezpieczeństwa. Zostaliśmy do Internetu dopuszczeni właśnie dzięki działaniu Ojca, kiedy sekretarzem stanu była Madeline Albright. To wcale nie było takie proste, weszliśmy do sieci chyba jako pierwszy kraj Układu Warszawskiego.

A jak Pan wspomina zaangażowanie opozycyjne Ojca w latach 70.? Rozumiem, że Profesor był zanurzony w działalności i nie było go w domu.

Ojciec był w domu i miał dla mnie czas, robił mi śniadania przed pójściem do szkoły. Dużo podróżowaliśmy, zwiedziliśmy całą Europę, żeglłowaliśmy razem. W niedziele robiliśmy obiady rodzinne, Ojciec parzył kawę. Pamiętam, że czasami

go nie było, ale generalnie prowadziliśmy życie rodzinne.

Opozycja Ojca nie wryła się w Pana życie?

Byłem dorosłym człowiekiem. Miałem własny krąg przyjaciół z kręgu „Nowej” i innych wydawnictw podziemnych. Mieliśmy bardziej radykalne plany niż KPN, chcieliśmy po prostu obalić rząd siłą. W domu były rewizje, podczas jednej z nich zabrali mi radio stereofoniczne Jola 2 i nie oddali. Ale jak patrzeć na przykład Maćka Kuronia, to widzę,

zarzucenia, że nie umiał wyluzować. Każdą wolną chwilę wykorzystywał. Nawet w czasie wakacji pisał, czytał, przygotowywał przemówienia.

Był zdyscyplinowany i narzucał tę dyscyplinę Panu?

Wszystkim swoim pracownikom. Rodzice zawsze traktowali mnie poważnie i narzucali mi dyscyplinę do czasu, kiedy skończyłem studia medyczne. Kiedy zacząłem pracować jako lekarz, ojciec próbował mnie trochę pouczać, ale potem zrozumiał,

Czasami Ojciec zamykał kluczyki w samochodzie. Jest nawet takie zdjęcie, gdy siedzi w bagażniku i próbuje wydostać kluczyki. Ojciec był naprawdę fajnym człowiekiem. Jedyne, co miałem mu do zarzucenia, że nie umiał wyluzować.

że mnie te nieprzyjemności za strony SB *de facto* nie dotknęły. Rewizje u nas w domu nie były tak brutalne – może dlatego, że mieliśmy dużego psa.

Mieliście psa?

Ojciec chodził z nim na spacer, choć wracali raczej oddzielnie. Kiedyś zostawił Snapa na placu Grzybowskim. To był bardzo mądry pies i na szczęście umiał sam wrócić do domu, czasami nawet przed ojcem. Pies był znany we wszystkich knajpach.

Czasami Ojciec zamykał kluczyki w samochodzie. Jest nawet takie zdjęcie, gdy siedzi w bagażniku i próbuje wydostać kluczyki. Ojciec był naprawdę fajnym człowiekiem. Jedyne, co miałem mu do

że jest to dziedzina na której się nie zna i był całkowicie zafascynowany tym, że nie ma pojęcia o dziedzinie, którą opanował jego syn.

Prowadził życie towarzyskie?

Tak, choć było ono wtłoczone w ramy zawodowe.

Czy Profesor miał czas na refleksję, wyciszenie?

Nie było takiego czasu. Zresztą myślę, że w tym tkwi tajemnica jego dobrej formy — ogromna dyscyplina i to, że nigdy nie zwalniał. Także jako lekarz mogę powiedzieć, że utrzymanie dobrej formy do późnego wieku jest możliwe dzięki utrzymywaniu wysokich obrotów. Ojciec nie okazywał słabości. ■

O autorze:

Marcin Geremek

Doktor medycyny. Pracuje jako chirurg w Szpitalu Wolskim w Warszawie. Syn Bronisława Geremka.



POLSKA KONFEDERACJA PRACODAWCÓW PRYWATNYCH LEWIATAN



Polska Konfederacja Pracodawców Prywatnych Lewiatan zabiega o konkurencyjność polskiej gospodarki i sukces polskich przedsiębiorstw. Skupia 57 branżowych i regionalnych związków pracodawców oraz 17 członków indywidualnych – łącznie reprezentuje 3500 firm, zatrudniających ponad 600 tys. pracowników.

Od momentu powstania członkowie i eksperci Lewiatana zaopiniowali ponad 2000 projektów ustaw i rozporządzeń dotyczących różnych sfer gospodarki, zabiegając o uwzględnienie postulatów przedsiębiorców w procesach legislacyjnych. Lewiatan, który w roku 2009 obchodzi 10-lecie swojego istnienia, jako jedyna polska organizacja pracodawców ma swoje biuro w Brukseli i jest członkiem **BUSINESSEUROPE**, największej organizacji biznesowej w Unii Europejskiej.

FUNDACJA IM. FRIEDRICHA NAUMANNA FUNDACJA NA RZECZ WOLNOŚCI

Fundacja im. Friedricha Naumanna – Fundacja na Rzecz Wolności jest niemiecką fundacją promującą ideę wolności i liberalizmu. Jej celem jest propagowanie zasady wolności w oparciu o edukację obywatelską, ukazującą istotę demokracji, państwa prawa, gospodarki rynkowej, tolerancji oraz społeczeństwa obywatelskiego, dającą obywatelom jednocześnie wiedzę niezbędną dla świadomego podejmowania decyzji politycznych. Współpracując z różnymi partnerami, Fundacja propaguje kształcenie obywatelskie osób dorosłych oraz młodzieży, prezentując liberalny punkt widzenia w takich dziedzinach jak polityka ekonomiczna i społeczna, prawa człowieka i obywatela, prawa mniejszości, samorząd lokalny, kwestie bezpieczeństwa europejskiego, zagadnienia związane z integracją europejską oraz rozszerzeniem Unii Europejskiej.

Zadania te Fundacja realizuje w odniesieniu do trzech zasadniczych obszarów:

- wolność i własność
- wolność i społeczeństwo obywatelskie
- wolność i państwo prawa.

Będąc fundacją polityki liberalnej, Fundacja im. Friedricha Naumanna – Fundacja na Rzecz Wolności reprezentuje także światowy ruch liberalny, pośrednicząc w kontaktach z organizacjami i instytucjami liberalnymi w Europie i na świecie.

Fundacja, której centrala mieści się obecnie w Poczdamie, prowadzi działalność w Niemczech od chwili swego powstania, tzn. od roku 1958, a począwszy od lat 60. – także za granicą: w krajach Ameryki Łacińskiej, Azji i Afryki, a od momentu epokowych przemian w Europie Środkowo-Wschodniej i Wschodniej w 1989 r., także i w tym regionie Europy, gdzie działania Fundacji koordynowane są przez Biuro Regionalne w Sofii.

Poza wymienionymi regionami przedstawicielstwa Fundacji istnieją także w Brukseli i w Waszyngtonie. Przez przedstawicielstwo w Waszyngtonie realizowany jest tzw. Dialog Transatlantycki, którego celem jest przybliżenie zasad funkcjonowania amerykańskiego społeczeństwa wielokulturowego. Przedstawicielstwo w Brukseli natomiast wspiera działania Fundacji w zakresie promowania integracji europejskiej i rozszerzenia Unii Europejskiej.

W Polsce Fundacja działa poprzez Biuro w Pradze (Czechy) oraz koordynatora projektów w Polsce, w ramach Sub-regionu Europy Środkowej i Krajów Bałtyckich, który tworzą kraje środkowoeuropejskie, będące członkami Unii Europejskiej w 2004 r. (Czechy, Słowacja, Węgry, Słowenia, Polska, Estonia, Litwa, Łotwa).

Fundacja im. Friedricha Naumanna – Fundacja na Rzecz Wolności

Koordynator projektów: Roman Benedyckiuk
Tel/Fax: +48 22 643 81 73
kom: +48 501 288 684
Lokal U-4, MAIL BOXES ETC, skr. nr 94
Al. KEN 46, 02-797 Warszawa
email: roman.benedyckiuk@fnst.org
www.freiheit.org

projekt: **polska**^{PL}

Magazyn **LIBERTÉ!** został stworzony przez ludzi środowiska **Projekt: Polska**

Projekt: Polska to środowisko gromadzące ludzi, którzy chcą uczestniczyć w życiu publicznym przyczyniając się do budowy Polski otwartej, gotowej do podjęcia wyzwania szybkiej i liberalnej modernizacji.

Projekt: Polska to platforma, która daje młodym ludziom szanse profesjonalnego, nie partyjnego przygotowania do uczestnictwa w życiu publicznym. To również platforma, która daje możliwość pokoleniu profesjonalistów, którzy weszli w życie zawodowe po 1989 roku, wykorzystania swoich doświadczeń w sprawach społecznych i przekazywania swojej wiedzy młodym ludziom. Projekt: Polska chce gromadzić partyjnych ekspertów pracujących w administracji publicznej i szkolnictwie wyższym. Projekt: Polska chce gromadzić liderów organizacji pozarządowych w taki sposób, aby głos sektora pozarządowego silniej przyczyniał się do zmian w kraju.

Przykłady naszych projektów:

Przestrzeń Miasta — to projekt, w którym w innowacyjny sposób walczy z godzącymi w godność ludzką napisami malowanymi na ścianach, chodnikach i elewacjach. Więcej na:

www.przestrzenmiasta.pl

Razem '89 — Projekt: Polska jest jednym z inicjatorów projektu Razem '89, czyli świętowania dwudziestolecia polskiej wolności. Więcej na: www.razem89.pl

Pępek Europy — Projekt: Polska był jednym z inicjatorów projektu Pępek Europy, czyli akcji pro frekwencyjnej przed wyborami do Parlamentu Europejskiego. Projekt: Polska koordynował m.in. prawyborzy studenckie, które odbyły się na 50 uczelniach na terenie kraju. Więcej na: www.7czerwca.org.pl

NapiszmydoEuropy.pl — to projekt, w którym organizowaliśmy poparcie społeczne oraz lobbowaliśmy za ideą powstania Europejskiego Instytutu Technologicznego we Wrocławiu. Na stronie internetowej projektu zebraliśmy ponad 100.000 podpisów. Nasz projekt otrzymał nagrodę Złotego Spinacza 2008 w kategorii Lobbying & Public Affairs.



www.projektpolska.pl